# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Nr 11/121 1957




*• « La Culture » • Revue mensuelle •*

J. MIEROSZEWSKI :
**ABC POLSKIEJ SYTUACJI**

J. PONIATOWSKI :
**POLSKIE GOSPODARSTWA ROLNE**

W. WEINTRAUB :
**Z ZAGADEK MICKIEWICZOWSKICH**

# SPIS RZECZY





# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Listopad-Novembre 1957



INSTYTUT LITERACKI

# NOTY BIOGRAFICZNE

*Henryk SPEEDBY-SZPIDBAUM*. Urodzony w Warszawie w 1902 roku. Po ukończeniu gimnazjum państwowego im. Tadeusza Rejtana studia lekarskie na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie uzyskuje doktorat w 1928 roku. Do wybuchu wojny praktykuje jako internista i ogłasza kilkanaście prac z dziedziny antropologii i medycyny w krajowych i zagranicznych pismach naukowych. W 1946 roku uzyskuje doktorat medycyny na wydziale lekarskim Uniwersytetu w Bolonii i po przedstawieniu pracy, opartej na obserwacjach leczenia zgorzeli gazowej w czasie akcji we Włoszech w 2. Korpusie. Członek rzeczywisty Polskiego T-wa Naukowego na Uchodźstwie, Fellow Royal Society of Medicine i innych towarzystw lekarskich. Praktykuje w Londynie.

KOZIK Edward, urodzony w 1922 na Podkarpaciu. W czasie wojny więziony w niemieckim obozie koncentracyjnym w Mostach (Sudety). Maturę otrzymał w polskim Liceum w La Courtine. Zamieszkały we Francji gdzie pracował w następujących zawodach: robotnik tekstylny, robotnik drukarski, agent handlowy, hodowca pieczarek, szofer, mechanik, tokarz, frezarz. Obecnie jest zatrudniony jako majster w zakładzie dekoratorsko-malarskim.

*Janusz MATIASIAK*, ur. w 1934. Pierwsze publikacje zamieszczał w śląskiej Trybunie Robotniczej. Studiując na Uniwersytecie Warszawskim współpracuje z *Nową Kulturą*, gdzie drukował reportaże literackie: „Wyznanie agitatora", „Westchnienie do Ojczyzny".

W 1956 roku otrzymał na warszawskim konkursie Młodych wyróżnienie I stopnia za reportaż „Zapach wilgotnej ziemi".

Obecnie przygotowuje do druku tom nowel robotniczych ze Śląska.

# WPŁATY NA BIBLIOTEKĘ NARODOWĄ

Stanisław Orłowski, Meksyk ........................ 21.000 fr

Dalsza zbiórka na terenie Argentyny, zorganizowana z ramienia Klubu Polskiego przez inż. W. Różyckiego. Ofiarowali: Józef Silakowski, 50 p.; Tadeusz Dobrzański, 50 p.; Władysław J. Różycki, 150 p.; Eugenius Tromszczyński, 50 p.; Eugeniusz Siedlecki, 100 p.; Tadeusz Muszyński, 50 p.; Adam Szarek, 20 p.; Janusz Lobaczewski, 100 p.; Kazimierz Rerutkiewicz, 20 p.; Henryk Siedzieniewski, 15 p.; Janusz Łaszewski, 50 p.; Henryk Rabalski, 20 p.; Jerzy Lipka, 10 p.; Stefan Styliński, 50 p.; Z. S., 100 p.; Seweryn Sadowski, 50 p.; T. P., 100 p.; Andrzej Bartak, 100 p.; Aleksander Pastewski, 50 p.; Aleksander Czekalski, 20 p.; Stanisław Jasiński, 60 p.; oraz Józef Cząstkiewicz, 50 p. RAZEM ZEBRANO pesos ........................................ 1.26

# DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

| | |
|---|---|
| Karol Styczniewski, London, Ont. (Kanada) ponownie ...... | 1.250 fr |
| I. W., Montreal, Que. (Kanada), ponownie ................ | 4.250 " |
| Felicja Turynowa, Urbana, Illinois (USA), po raz trzeci .... | 1.700 " |
| Zofia Starczyńska, Berno (Szwajcaria) .................... | 750 " |

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France.

# Z zagadek mickiewiczowskich

Czy ,,Paroles d'un Croyant'' Lamennais'go należą do progenitury duchowej ,,Ksiąg'' Mickiewicza? — Pytanie to nie jest bynajmniej po prostu ciekawostką erudycyjno-,,wpływologiczną''.

Prawda, ,,Słowa wierzącego'' należą do tych, jakże licznych, płodów muzy romantycznej, które nie najszczęśliwiej wytrzymały próbę czasu. Trącą dziś sentymentalną retoryką i w czasie ich lektury boleśnie odczuwa się niewspółmierność między tym, co miało być w wyczuciu autorskim porywającą swym entuzjazmem, rozpaloną do żaru wizją, a co jest w odczuciu współczesnego czytelnika afektacją, startą kliszą literacką. Tym niemniej, należą one do kilkunastu kluczowych, reprezentacyjnych dzieł romantycznej Francji. Ba, romantycznej Europy. Powodzenie ich mało ma sobie równych w dziejach lite-

---

Szkic nieniejszy jest rozszerzoną i znacznie przeredagowaną wersją angielskiego artykułu ,,Mickiewicz, Lamennais and Biblical Prose'', ogłoszonego w książce zbiorowej ,,For Roman Jakobson'', wydanej w ubiegłym roku w Hadze, z okazji sześćdziesiątej rocznicy urodzin Jakobsona. W niniejszej redakcji wypadło w szczególności zająć się bliżej pominiętą zupełnie w wersji angielskiej historią polskiej pia fraus, rzekomego wyznania Lamennais'go, iż pomysł ,,Paroles d'un Croyant'' zawdzięcza Mickiewiczowi, skoro wypłynęło ono w ostatnich miesiącach znowu w literaturze naukowej. Przypiski w niniejszym studium ograniczono do minimum, stosując je systematycznie tylko w odniesieniu do tekstów, nie cytowanych w szkicu angielskim. Pełny ich aparat znajdzie czytelnik w tekście angielskim. Autor składa serdeczne podziękowania kol. Ryszardowi Pipesowi za sprawdzenie w paryskiej Bibliothèque Nationale cytatów Krystyna Ostrowskiego i za zwrócenie uwagi na tekst Aleksandra Jełowickiego.

ratury francuskiej. W ciągu jednego tylko roku 1834 dziewięć wydań we Francji, osiem w Belgii, siedem w Szwajcarii. W dwa miesiące po ich pojawieniu się obliczano nakład ,,édtion ordinaire'' na sto tysięcy, wydań popularnych — na dwieście tysięcy.

Są to cyfry, które przyprawiają o zawrót głowy i dzisiaj, kiedy przyzwyczailiśmy się do wielkich, masowych nakładów. O ileż znamienniejsza jest ich wymowa dla czwartego dziesięciolecia ubiegłego wieku. Niewielka broszura Lamennais'go wstrząsnęła sumieniami, zelektryzowała umysły, sprowokowała gwałtowne polemiki, zaniepokoiła rządy. Stała się manifestem dla tych ludzi wierzących, którzy właśnie jako katolicy chcieli w oparciu o Ewangelię przystąpić do radykalnej przebudowy i społecznego, i politycznego porządku świata. Mimo iż ogłoszenie jej okazało się przełomowym momentem w procesie zerwania Lamennais'go z Rzymem, wywarła ona ogromny wpływ na rozwój doktryny społecznej Kościoła. Jak to przyznają sami pisarze katoliccy, tacy jak Georges Goyau czy Bernanos, zawdzięczają jej sporo te wszystkie prądy, które znamy jako ,,liberalny katolicyzm'', ,,chrześcijańską demokrację'' czy ,,lewicę katolicką''. I niewątpliwie też dużo z etosu Lamennais'go jest w ruchu francuskich księży-robotników.

Ferment, jaki ,,Paroles d'un Croyant'' wytworzyły, nie ogranicza się bynajmniej do świata francuskiego. Bardzo szybko przełożono je na niemal że wszystkie języki europejskie. Szczególnie silny oddźwięk wywołały one wśród tych narodów katolickich, których wolnościowe aspiracje kłóciły się ze stanem rzeczy, usankcjonowanym przez Kongres Wiedeński, wśród Belgów, Włochów i Polaków (2).

Ustalenie zatem charakteru wpływu ,,Ksiąg'' na utwór historycznie tak ważki ma nie bagatelne znaczenie dla określenia zasięgu doniosłości europejskiej tego zjawiska literackiego, które się nazywa Mickiewicz.

Sprawa nie jest bynajmniej prosta. Kiedy się przystępuje do jej rozplątania, łatwo zgubić się w gąszczu sprzecznych stwierdzeń i pretensyj, wśród których jest też i jedno oczywiste a mające twarde żywot, fałszerstwo historyczno-literackie. Komplikuje też problem i to, że niełatwo jest rozwikłać w dziedzinie ideologicznej zakres wpływów, kiedy — jak w naszym wypadku

---

2) Na język polski ,,Słowa wierzącego'' tłumaczone były kilka razy. Trudno w Ameryce opracować dokładną bibliografię tych przekładów. Michał Chodźko, kiedy w roku 1843 zwrócił się do Lamennais'go z prośbą o przedmowę do nowego przekładu — wierszem! — pisze w swym liście drukowanym w ,,Revue Latine'' z 1908 roku (t. VII, str. 765), że istnieją już trzy przekłady polskie. Estreicher zna dwa wydania przekładu Jełowickiego, wymienia też przekład Wiktora Henryka Rochetina, dokonany w Lyonie w roku 1834, oraz przekład Michała Chodźki, który datuje na rok 184. Przekład Chodźki nie doczekał się druku. Wyszedł tylko, jak informuje wydawca listu M. Chodźki, Kazimierz Woźnicki, prospekt książki, w którym przytoczono fragment dostarczonej przez Lamennais'go przedmowy.

— mamy do czynienia z dwoma pisarzami, którzy wyrastali w podobnym klimacie ideologicznym i którzy wzajemnie na siebie oddziaływali. Stąd też jeśli się ją ujmuje tylko w aspekcie ideologicznym — najgruntowniejsza i najsystematyczniejsza taka próba podjęta została przez Kridla jeszcze w roku 1909 w książce „Mickiewicz i Lamennais" — niesposób wyjść poza stwierdzenie pewnego pokrewieństwa ideowego i poza sprecyzowanie zasięgu tego pokrewieństwa, zinwentaryzowanie wspólnych idei.

Sprawa ta ma jednak także i swój aspekt formalny. Idzie tu o pewien swoisty rodzaj prozy literackiej, typ ujęcia materiału literackiego. Ponieważ tak w polskiej jak i we francuskiej tradycji literackiej ten typ ujęcia był czymś nowym, śmiałym, nie mającym precedensu, zagadnienie wpływu w tym aspekcie da się i sprecyzować, i rozwinąć.

Zacznijmy od dat.

Lamennais długo się wahał, zanim się zdecydował na ogłoszenie wiosną 1834 roku (książka wyszła spod pras drukarskich 30 kwietnia) swoich „Paroles d'un Croyant". Jego poprzednia impreza publicystyczna, założony w 1830 roku dziennik „L'Avenir", wywołała burzę w „dobrze myślących" kołach katolickich. Burzy tej nie udało się zażegnać w Rzymie. W roku 1832 przyszło pismo zawiesić. Nie uchroniło go to od potępienia ze strony Rzymu. W tych warunkach ogłoszenie manifestu rewolucyjnego katolicyzmu, jakim były „Słowa wierzącego", oznaczało ostateczne zerwanie z Rzymem. Starali się go od tego kroku odwieść przyjaciele. Nic dziwnego, iż długo się namyślał.

W rzeczywistości rękopis książki był gotów już od lipca 1833 roku. W liście do jednego ze swych przyjaciół, Gerbet'a, z 14 lipca, Lamennais pisze o swoim „dziełku" (*petit ouvrage*), które zdecydował się przetrzymać w szufladzie i nie ogłaszać. A zatem „Paroles" były już wtedy napisane. Nie mamy danych, które by nam pozwoliły z absolutną pewnością stwierdzić, kiedy Lamennais powziął pomysł swoich „Paroles" i zabrał się do pracy nad nimi. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć, że stało się to w lutym 1833 roku.

Badacz Lamennais'go Yves Le Hir w swoim wydaniu krytycznym „Paroles" z 1949 roku wysunął przypuszczenie, że pierwszym śladem pracy Lamennais'go nad nimi jest wzmianka z listu do Montalembert'a z 26 lutego 1833 roku. Informując tam przyjaciela o swoich studiach filozoficznych, Lamennais pisze: „Przyszły mi do głowy różne idee na temat sztuki, które, jak sądzę, spodobają ci się; ponieważ jednak obecnie zajęty jestem zupełnie innym tematem, będę je mógł spisać dopiero za kilka miesięcy". Ów „zupełnie inny temat" — przypuszcza Le Hir — to właśnie „Słowa wierzącego". Wzmianka Lamennais'go, jak widzimy, jest bardzo ogólnikowa. Jeśli ją jednak rzucić na tło ówczesnej jego korespondencji, przypuszczenie Le Hir'a nabiera dużego prawdopodobieństwa.

Lamennais wrócił z rzymskiej misji przybity i obolały. Zaszył się w swoim bretońskim ustroniu La Chênaie, spragniony

nade wszystko spokoju. Na najbliższą przyszłość chciał poświęcić się wyłącznie pracy nad swym dziełem filozoficznym. Działalności publicystycznej, kontynuowania walki o wolność nie zarzekał się ostatecznie. Ale odkładał ją na dalszą przyszłość, gdzieś za dwa lata. I miała to być działalność publicystyczna, utrzymana wyłącznie w płaszczyźnie politycznej, trzymająca się na uboczu od spraw religijnych. ,,Powinniśmy odtąd mówić wyłącznie jako Francuzi, a nie jako katolicy'', pisał do Montalembert'a.

Plany te musiały być mu drogie. Nawraca do nich raz po raz w listach do Montalembert'a z 23 i 26 stycznia oraz 12 lutego 1833 roku. Natomiast w liście z 26 lutego, w tym samym, w którym po raz pierwszy słyszymy o ,,zupełnie innym temacie'', o planach tych nie ma ani słowa. I, co najciekawsze, nie wrócą one już ani razu w dalszej korespondencji. Najwyraźniej ów ,,inny temat'' plany te z gruntu wywrócił. I jeśli przyjmiemy, że słowa te odnoszą się do pierwszego pomysłu ,,Paroles d'un Croyant'', to zarzucenie planów staje się od razu rzeczą zupełnie zrozumiałą. Przystępując do pracy nad ,,Paroles'', Lamennais wrócił do publicystyki, i to do publicystyki o wyraźnym zabarwieniu religijnym.

Oryginał polski ,,Ksiąg'' ukazał się drukiem w grudniu 1832 roku. Przekładu na język francuski podjął się Charles Montalembert. Ponieważ jego znajomość polskiego nie była wystarczająca po temu, aby przekładu takiego mógł się podjąć o własnych siłach, przyszło mu uciec się do pomocy polskiej. Jak wynika z korespondencji jego z Lamennais'm — szczegół to przeoczony dotychczas — przekładu pierwszych stron dokonał sam Mickiewicz. W liście Montalembert'a z 2 stycznia 1833 roku czytamy: ,,Zrobił on (Mickiewicz) przekład francuski, o którego przejrzenie mnie prosił. Otrzymałem już dwie pierwsze strony, które mnie rozentuzjazmowały'' (3). Ostatecznie jednak brulion przekładu całości, który Montalembert potem szlifował, wyszedł spod pióra Bohdana Jańskiego.

Pierwsze arkusze francuskiego tekstu ,,Ksiąg'' dotarły do Lamennais'go w La Chênaie — datę można ustalić z dokładnością co do dnia — jeszcze w trakcie druku przekładu, pierwszego maja 1833 roku. Dalsze arkusze przyszły szybko potem w miarę odbicia. Wiemy wprawdzie, że jeszcze przed tą datą fragmenty ,,Ksiąg'' w przekładzie L. Lemaître'a pojawiły się w paryskim ,,Le Temps'', ale nie wydaje się rzeczą prawdopodobną, aby przekład ten znalazł się w ręku Lamennais'go. Zachowała się obfita korespondencja Lamennais'go z krytycznego roku 1833, w szczególności jego częste i obszerne listy do Montalembert'a. W listach tych Lamennais daje wyraz swe

3) ,,Il en a fait une traduction française, qu'il m'a prié de revoir. J'ai reçu déjà deux premières feuilles qui m'ont enthousiasmé'' ,,Lettres de Montalembert à Lamennais'', ed. G. Gouau i P. de Lallemand, Paryż, 1932, str. 34-35.

niecierpliwej chęci jak najszybszego zapoznania się z przekładem Montalembert'a. Kiedy przekład ten nareszcie w maju do niego dociera, wybucha entuzjazmem. Wrażenie musiało być wyjątkowo silne i świeże. Podobnie entuzjastyczne sądy znajdujemy w jego listach do markiza de Coriolis, Benoit d'Azy i baronowej Cottu, wszystkich z maja i czerwca 1833 roku. O jakiejkolwiek jego wcześniejszej znajomości tekstu ,,Ksiąg'' w korespondencji tej ani śladu.

Tak więc z samym tekstem ,,Ksiąg'' zaznajomił się Lamennais dopiero w maju 1833 roku, kiedy sam już od z góry dwóch miesięcy pracował nad swoimi ,,Paroles d'un Croyant''. Potwierdzają to słowa z jego listu do Montalembert'a z 16 maja: ,,Zanim przeczytałem Mickiewicza, zacząłem dziełko bardzo podobnego rodzaju''.

Wszystko to tłumaczyłoby zbieżności ideologiczne obu utworów i zapożyczenia frazeologiczne czy obrazowania ,,Paroles'', wzięte z ,,Ksiąg''. Lamennais zapoznał się z tekstem ,,Ksiąg'', kiedy miał ,,Paroles d'un Croyant'' jeszcze na warsztacie, i tekst ten, który wywarł na nim silne wrażenie, odcisnął się szeregiem reminiscencji na ostatecznej redakcji ,,Słów wierzącego''. Wrażenie było tak silne, że Lamennais bez mała przejął nawet najbardziej swoiście, ezoterycznie polski element ideologii ,,Ksiąg'', wiarę w Polskę jako naród wybrany, odkupujący swoimi cierpieniami grzechy świata. Bez mała, ale nie ze wszystkim:

> ,,Kiedy widzicie naród w kajdanach i oddany w ręce kata, nie śpieszcie się mówić: ten naród to naród gwałtowników, który chciał zamącić pokój świata. Albowiem być może jest to naród męczennik, który umiera dla odkupienia rodzaju ludzkiego'' (rozdz. V, werset 4).

Bardzo to znamienny ustęp. Znamienny zarówno dla zasięgu oddziaływania Mickiewicza na Lamennais'go, jak i w swoim cofnięciu się przed bezapelacyjnym przejęciem ryzykownej doktryny, w ostrożnym ,,być może'', które kłóci się z biblijną stylizacją tekstu i zdradza jej sztuczny, literacki charakter.

Wszystkie te zbieżności, pokrewieństwa ideowe i zapożyczenia — zajęli się nimi bliżej Kridl oraz niezależnie od niego Yves Le Hir w swym krytycznym wydaniu ,,Paroles d'un Croyant'' z 1949 roku, a przed tym jeszcze w specjalnym artykule, ogłoszonym w ,,Annales de Bretagne'' w 1948 roku — nie tłumaczą jeszcze bliskiego powinowactwa samej zasadniczej koncepcji literackiej obu dzieł, powinowactwa tym bardziej zaskakującego, że koncepcja ta jest czymś nowym i niezwykłym tak w polskiej, jak i we francuskiej tradycji.

Ujmując rzecz bardzo ogólnie, stylizacja biblijna w literaturze polskiej miała charakter dwojaki: albo była to stylizacja tekstu charakteru modlitewnego (czy wizyjnego) — najwybitniejszym jej przykładem jest ,,Psalmodia'' Kochowskiego — albo też była to stylizacja, użyta w literaturze publicystycznej dla celów parodystycznych. Przykładem takiej parodii jest

Niemcewicza ,,Fragment Biblije Targowickiej: Księgi Szczęsnowe''.

W naszej literaturze naukowej była próba, przedsięwzięta przez Wacława Kubackiego, wywiedzenia stylu biblijnego ,,Ksiąg'' z takiej właśnie parodystycznej, osiemnastowiecznej i wcześniejszej, stylizacji publicystycznej, i w ten sposób oczyszczenia Mickiewicza, autora ,,Ksiąg'', z piętna ,,religianctwa''. Nie trzeba tłumaczyć, że próba ta w swej absurdalności nie jest niczym innym, jak tylko upokarzającym dokumentem okresu babilońskiej niewoli humanistyki polskiej. Jako wyraz religijności stylizacja biblijna ,,Ksiąg'' jest bliska ,,Psalmodii'', a nie jakiejkolwiek parodystycznej publicystyce. Tak jak i ,,Psalmodia'' jest stylizacją na serio. Gra analogiami z testem biblijnym, a nie sarkastycznym kontrastem między tym, co, a tym, jak się mówi.

W ramach jednak tej stylizacji biblijnej na serio ,,Księgi'' zajmują szczególne miejsce. Dają one, mianowicie, wykład pewnej doktryny, ujęty w cykl przypowieści biblijnych i biblijnych pouczeń. Są, krótko mówiąc, stylizacją na Ewangelię. I nic dziwnego, że emigranci nazywali je ,,ewangelią Mickiewicza''.

Tę stylizację na Ewangelię podkreśla Mickiewicz już u samego wstępu ,,Ksiąg pielgrzymstwa'', wymieniając razem i na jednym planie jako źródło nauki i zbudowania Ewangelię i — swoje ,,Księgi'':

> ,,Odczytujmy więc Ewangelię CHRYSTUSA.
> ,,I te nauki i przypowieści, które zebrał Chrześcijanin pielgrzym z ust i pism Chrześcijan Polaków, męczenników i pielgrzymów''.

Podobna nuta powołania się na autorytet tradycji narodowej i natchnienia religijnego brzmi w końcowym rozdziale ,,Ksiąg'':

> ,,Te są ,,Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego'', nie wymyślone, ale zebrane z dziejów polskich, i z pism, i z opowiadań, i z nauk Polaków, ludzi pobożnych i poświęconych za Ojczyznę, Męczenników, Wyznawców i Pielgrzymów. A niektóre rzeczy z łaski Bożej''.

Dlatego też, mimo że Mickiewicz nie robił tajemnicy ze swego autorstwa, ,,Księgi'' ukazały się anonimowo. Nazwisko autora kłóciłoby się z biblijną stylizacją. I dlatego też wydane one zostały jako tomik, przypominający swoim układem graficznym książeczki do nabożeństwa.

Otóż taką samą stylizację na Ewangelię mamy w ,,Paroles d'un Croyant''. I one ukazały się bez nazwiska autora na karcie tytułowej. I one ujęte zostały w taką samą formę krótkiego dziełka, podzielonego na niewielkie rozdziały( napisanego wersetami biblijnymi i dającego wykład nauki w formie pouczeń, przypowieści (i wizyj, których w ,,Księgach'' brak). Pierwsze ich słowa to: ,,W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen''. Dodajmy, że oba dziełka zawierają też litanię i modlitwę.

Taka stylizacja ewangeliczna była w ramach literackiej tradycji francuskiej pomysłem równie śmiałym i niezwykłym co analogiczna stylizacja Mickiewiczowska w polskiej literaturze. Bardzo mocno tę nowość i niezwykłość stylizacji biblijnej ,,Paroles'' podkreśla znany historyk języka francuskiego, Charles Bruneau, w opracowanym przez siebie tomie o języku epoki romantycznej wielkiej ,,Histoire de la langue française'': ,,Było to dla publiczności objawienie nowego języka... Wyjątkowe dzieło w literaturze romantycznej. Lamennais stworzył tu język współczesnego proroka''.

Próbowano wywodzić tę stylizację ,,Paroles'' z ,,L'Homme de Désir'' Saint-Martin'a, osiemnastowiecznego francuskiego mistyka, który bardzo silnie zaważył na poglądach i twórczości Mickiewicza, a w którym także i Lamennais się zaczytywał. ,,L'Homme de Désir'' jest podzielony na krótkie ustępy, które zewnętrznie przypominają wersety biblijne. Jest też w tym najliryczniejszym z dzieł Saint-Martin'a i pewna stylizacja biblijna. Ale nie jest ona tam przeprowadzona systematycznie i konsekwentnie. Ustępy o pewnym zabarwieniu biblijnym przeplatają się tam z innymi, które i swoją składnią i doborem słów są od stylizacji biblijnej bardzo dalekie.

Powoływano się też jako na precedensy na takie utwory, jak Ballanche'a ,,Vision d'Hébal'' (1831) czy samego Lamennais'go ,,Chants de Mort'' (1829) lub ,,Hymne à la Pologne'' (1832). I tu i tam jednak funkcja stylu biblijnego jest inna. W żadnym z tych wypadków nie mamy do czynienia z *wykładem nauki* w szacie biblijnej, z próbą stworzenia nowoczesnego odpowiednika księgi ewangelicznej.

Jeśli by zatem uznać, że Lamennais wpadł na pomysł stylizacji ewangelicznej niezależnie od Mickiewicza, to trzebaby przyjąć, iż niemal że równocześnie dwóch pisarzy zdobyło się niezależnie jeden od drugiego na niemal że taką samą koncepcję literacką, która to koncepcja i w jednej i w drugiej tradycji literackiej jest śmiałą inowacją. I jakkolwiek nie ma w takim przypuszczeniu ostatecznie nic niemożliwego, to trzeba przyznać, że jest ono mało prawdopodobne.

Stoimy tu więc wobec swego rodzaju zagadki. Uczeni na różne sposoby starali się ją rozwikłać. Jeden z francuskich autorów, Pierre Harispe, jeszcze przed z górą trzydziestu laty wysunął przypuszczenie, że Lamennais'mu ambicja autorska nie pozwalała przyznać się do tego, iż pomysł ,,Paroles'' wziął od Mickiewicza i że mówił nieprawdę, kiedy pisał do Montalembert'a, że zabrał się do pracy nad ,,Paroles'' ,,zanim przeczytał Mickiewicza''. Opinię jego podziela wśród uczonych polskich Kleiner, a ostatnio także i Zofia Stefanowska. Jak widzieliśmy jednak, można z listami Lamennais'go w ręku dowieść, że w samej rzeczy pracował on nad ,,Paroles'' już ponad dwa miesiące, zanim dostał w ręce tekst Mickiewicza. Kridl ani w swej polskiej książce z 1909 roku, ani w jej skróconej angielskiej wersji, ogłoszonej w roku 1952 w kwartalniku ,,Comparative Literatu-

re'', tego problemu zależności samej koncepcji literackiej nie dostrzegł. Zdawał sobie z niego sprawę natomiast Le Hir. Uważając jednak, że uznanie wpływu Mickiewicza rzuciłoby tu cień na prawdomówność uwielbianego przezeń pisarza, postanowił on Lamennais'go od możliwości takiego wpływu wybronić. Przede wszystkim więc dowodził, przytaczając, nie pierwszy zresztą, Saint-Martin'a i Ballanche'a, Lamennais nie z Mickiewicza tylko mógł wziąć przykład takiej stylizacji. Po drugie zaś, tłumaczył, ,,Księgi'' były tu złym wzorem, bo to dzieło słabe, nieudolnie naśladujące biblię. Polemizować z Le Hirem na temat wartości literackiej ,,Ksiąg'', które nb. zna on tylko w przekładzie, nie ma potrzeby. Dla naszych celów wystarczy zupełnie, iż zachwycał się nimi Lamennais: *,,il y a là des choses ravissantes; ...cela est beau comme l'Evangile''* — pisał o nich do markiza de Coriolis. ,,Nie waham się postawić autora na czele żyjących poetów'' — czytamy w jego liście do baronowej Cottu.

Istnieje wreszcie w tradycji polskiej legenda, jakoby Lamennais miał sam przyznać się do wzięcia pomysłu swoich ,,Paroles'' z ,,Ksiąg'' w wydanej w roku 1837 książce ,,Affaires de Rome'', w której opisywał dzieje swego zerwania z Rzymem. Niczego jednak podobnego w ,,Affaires de Rome'' nie znaleźć. W tej pełnej uroku, luźno skomponowanej książce, w której dokumenty urzędowe przeplatają się z subtelnymi, lirycznymi opisami krajobrazu włoskiego i wizjami apokaliptycznymi, Lamennais wymienia ,,Księgi'' raz tylko. Wypominając tam Rzymowi jego nieżyczliwy stosunek do polskich dążeń niepodległościowych, Lamennais przypomniał też brewe papieskie do biskupa Rennes, potępiające ,,Księgi'', i z tej racji scharakteryzował je jako ,,poezję bólu i pobożnej nadziei, żałosny głos narodu, domagającego się od Boga swoich zburzonych ołtarzy, swoich ognisk rodzinnych, najechanych i splamionych krwią'' (str. 142). I to jest wszystko, co miał tam o ,,Księgach'' do powiedzenia.

Rzekome wyznanie Lamennais'go jest apokryfem. Zostało ono sfabrykowane w latach Wielkiej Emigracji ad maiorem gloriam Mickiewicza. Historię jego możemy prześledzić.

Natychmiast po wyjściu drukiem ,,Paroles d'un Croyant'' emigranci polscy doskonale zdali sobie sprawę z tego, iż dziełko to nie tylko swoją aurą ideową, ale też i rodzajowo jest czymś bardzo bliskim ,,Księgom'' Mickiewiczowskim. Książka ukazała się w księgarniach 30 kwietnia 1834 roku, a już 3 maja Bohdan Zaleski pisał do Kajsiewicza z wyraźnym poirytowaniem:

> ,,De Lamennais wydał świeżo książkę w rodzaju Ksiąg Narodu, Paroles d'un Croyant, a raczej poprostu naśladowanie Mickiewicza z wielu plagiatami''.

W tym samym roku 1834 księgarz i wydawca, z czasem ksiądz, Aleksander Jełowicki wydał w Paryżu w jednym tomie ,,Księgi'' i swój przekład ,,Paroles'', zatytułowany ,,Słowa

wieszcza". W książce tej znajdujemy następującą uwagę Jełowickiego:

„Francyja i Europa winny poniekąd Polszcze to dzieło, albowiem z Ksiąg Pielgrzymstwa MICKIEWICZA powziął Lamennais pierwszą myśl do swego nadzwyczajnego utworu" (str. 161).

Przekonanie, iż pomysł literacki „Paroles d'un Croyant" Lamennais zawdzięcza Mickiewiczowi, rozpowszechnione było nie tylko wśród Polaków. Sainte-Beuve, który nb. odegrał ważną rolę przy wydaniu „Paroles" i z tekstem ich zżyty był jak mało kto, stwierdza w swym omówieniu książki, które potem weszło w skład pierwszego tomu „Portaits contemporains": „Z tych to „Ksiąg pielgrzymstwa", tak znakomicie przełożonych przez pana de Montalembert, zapożyczona jest forma rytmiczna „Słów wierzącego" (*C'est de ce livre des Pèlerins, si remarquablement traduit par M. de Montalembert, qu'est empruntée la forme rhytmique des „Paroles d'un Croyant"*).

To rozpowszechnione na emigracji przekonanie zamienił w rzekome wyznanie Lamennais'go pierwszy, jak się zdaje, Krystyn Ostrowski.

W roku 1841 wydał on w swoim przekładzie, bardzo zresztą nędznym (4), dzieła Mickiewicza „Œuvres". W roku 1845, przekłady te ukazały się w drugim wydaniu, „Œuvres poétiques complètes de Adam Mickiewicz". W wydaniu tym tak uzasadniał on w swoich komentarzach umieszczenie „Ksiąg" na czele pierwszego tomu:

„Ten wzniosły utwór, który nosi tytuł „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego", będzie żył jako wieczny pomnik pobytu emigracji polskiej we Francji: oto dlaczego stawiamy go na czele naszego dzieła. Jedną z jego chwał jest, iż naśladował go w „Słowach wierzącego" p. de Lamennais, który sam się do tego przyznaje".

Po czym do słów tego komentarza dodał następujący przypisek: „*J'ai pris l'idée des Paroles d'un Croyant des Pèlerins polonais de M. Mickiewicz* (*Affaires de Rome*)".

Z Ostrowskiego przejął ów rzekomy cytat Władysław Mickiewicz najpierw w swojej francuskiej książce „Adam Mickiewicz, sa vie et son oeuvre" (Paryż 1888), cytując rzekome słowa Lamennais'go bez podania zresztą żadnego źródła (str. 136-7), a potem w drugim tomie swego „Żywotu Adama Mickiewicza"

(4) W roku 1836 Sainte-Beuve ogłosił w „Le Polonais" krótki artykuł o tomie wierszy Ostrowskiego „Nuits d'Exil", który zawierał także przekłady „Grażyny" i „Do matki Polki". Artykuł ten, przedrukowany potem jako przedmowa do następnego wydania tomu Ostrowskiego, ale nigdy nie włączony do wydań książkowych studiów Sainte-Beuve'a, daje ocenę przekładów Ostrowskiego, sformułowaną bardzo dyplomatycznie, ale tym nie mniej merytorycznie surową.

(Poznań, 1892), gdzie przytoczył je w polskim przekładzie (str. 211), już z powołaniem się na ,,Affaires de Rome'' (5).

Żaden z autorów, powołujących się na ów rzekomy cytat, nie podaje strony, z której ma on być wzięty. Co więcej, fakt, iż Władysław Mickiewicz w książce przeznaczonej dla czytelnika francuskiego, który z łatwością mógł sięgnąć do niezbyt wielkiego ostatecznie tomu ,,Affaires de Rome'' i cytatu poszukać, ogranicza się do najogólniejszego przytoczenia rzekomych słów Lamennais'go, bez podania w ogóle z jakiej książki są one wzięte, nasuwa podejrzenie, iż wiedział on, że w ,,Affaires de Rome'' słów tych nie można znaleźć.

Czy jednak nie można przypuścić, że Ostrowski, po prostu cytując Lamennais'go z pamięci, pomylił się i podał jako cytat z ,,Affaires de Rome'' zdanie, zaczerpnięte z jakiejś innej pracy Lamennais'go, przeoczonej przez badaczy? Nie wydaje się to rzeczą prawdopodobną. Nie natrafił na ten cytat Kridl, kiedy badał stosunki Mickiewicza i Lamennais'go. Nie zna go Yves Le Hir. O zależności zresztą ,,Paroles'' od ,,Ksiąg'' mniej lub bardziej ogólnikowo (i bałamutnie) wspomina większość studiów poświęconych Lamennais'mu. Żadne, które znam, zdania tego nie przytacza. Jest ono też i psychologicznie mało prawdopodobne Czy jest bowiem rzeczą możliwą, żeby Lamennais, który w prywatnym liście do swego bliskiego przyjaciela-powiernika zastrzegał się, iż zabrał się do pisania ,,Paroles'', zanim jeszcze zaznajomił się z tekstem ,,Ksiąg'', i to zastrzegał się wtedy, gdy był pełen entuzjazmu dla ,,Ksiąg'' i Mickiewicza, przyznawał się publicznie do zależności tej potem, kiedy jego stosunki z Mickiewiczem się zerwały?

Cytat trzeba więc uznać za polską emigracyjną pia fraus. I nie trudno zrozumieć, jak się to patriotyczne fałszerstwo narodziło. ,,Affaires de Rome'' to książka autobiograficzna, historia konfliktu i ostatecznego zerwania Lammenais'go z Rzymem. W książce tej zahaczył on także o okoliczności napisania i wydania ,,Paroles d'un Croyant''. Jeśli więc gdzie, to właśnie tu było miejsce na publiczne pokwitowanie długu wdzięczności. Ostrowski, można się domyślać, postanowił,,naprawić'' to, co uznał za przemilczenie Lamennais'go, i tekst ,,Affaires de Rome'' uzupełnił o zdanie własnej fabrykacji, którego ,,j'ai pris l'idée'' jest po prostu przekładem słów Jełowickiego ,,powziął... pierwszą myśl'', przeniesionych z trzeciej w pierwszą osobę.

Nie tu więc należy szukać rozwiązania zagadki. Lamennais nigdy nie zdezawuował słów z listu do Montalembert'a, że zaczął pisać swoje ,,Paroles'', zanim jeszcze zdążył przeczytać ,,Księgi'', i prawdę jego słów potwierdzają te dane, które możemy wysnuć z jego korespondencji. A jednak słowa przy-

---

(5) Ostatnio powołał się na rzekome słowa Lamennais'go Jean Bourilly w swoim studium ,,Mickiewicz and France'', w zbiorowej książce wydanej pod redakcją Lednickiego, ,,Adam Mickiewicz in World Literature'', Berkeley, 1956, str. 273.

toczone przez Ostrowskiego, jakkolwiek są fałszerstwem jako rzekomy cytat z Lamennais'go, w swej treści merytorycznej nie kłamią. Lamennais naprawdę ,,powziął... pierwszą myśl'' pod wpływem Mickiewicza. Dowód na to możemy znaleźć w źródle, które w jakiś osobliwy sposób przeoczyli wszyscy dotychczasowi badacze stosunków Mickiewicza i Lamennais'go, mianowicie w wydanych w roku 1932 przez Goyau i Lallemand'a ,,Lettres de Montalembert à La Mennais''.

Jest to doprawdy wstyd, że dotychczas nie mamy opracowania bogatych i ciekawych związków polskich Montalembert'a, najgorętszego chyba i najbardziej oddanego rzecznika sprawy polskiej spośród romantycznych pisarzy francuskich: ,,I zaprawdę, powiadam Panu, jedynie w tobie ocalony będzie honor Francji, gdy potomność zażąda kiedyś od niej zdania sprawy z ostatnich szesnastu lat minionych'', tak to w roku 1847 w swojej charakterystycznej koturnowej francuzczyźnie (przytoczonej tu w przekładzie Staffa) dziękował Krasiński Montalembert'owi za jego orędownictwo w sprawie polskiej.

Na wiadomość o wybuchu wojny polsko-rosyjskiej Montalembert postanowił zaciągnąć się do polskiej armii. Przyjaciele wyperswadowali mu ten krok. Upust swoim uczuciom dał w ,,L'Avenir'', gdzie ogłosił serię namiętnych artykułów, poświęconych sprawie ,,świętej Polski'', swojej ,,drugiej ojczyzny''. W lipcu na wiadomość o pogorszeniu się sytuacji wojennej w Polsce dał rozplakatować na ulicach Paryża napisaną przez siebie petycję do obu izb parlamentu francuskiego, nawołując do energicznego wystąpienia dla ocaleenia Polski.

Kiedy pod koniec 1831 roku Lamennais postanowił zawiesić ,,L'Avenir'' i udał się do Rzymu, aby apelować do papieża, zabrał on tam dwóch najwybitniejszych swoich współpracowników, Lacordaire'a i Montalembert'a. W Rzymie Montalembert uczy się polskiego u Henrietty Ankwiczówny. Jednym z motywów, które go do tego pchnęły, mogła być też i nieodwzajemniona miłość dla księżniczki Jadwigi Lubomirskiej.

Po powrocie z Rzymu Lamennais wycofał się do swej samotni w La Chênaie. Montalembert został w Paryżu. Całą duszą oddał się sprawom emigracji polskiej: poplecznictwu uchodźcom, organizowaniu szkoły dla dzieci polskich, pisma, poświęconego sprawie polskiej. Środowisko polskie, w jakim się obracał, to był przede wszystkim — ale nie wyłącznie — przyszły Hôtel Lambert: sam książe Adam, generał Władysław Zamoyski, Platerowie.

Nic więc dziwnego, że i z Mickiewiczem, o którym mógł słyszeć od Lamennais'go i do którego dostał list polecający od Ankwiczów, spotkał się wkrótce po przybyciu poety do Paryża w sierpniu 1832 roku. Swój entuzjazm do wszystkiego co polskie przelał od razu i na wielkiego poetę polskiego. ,,Wierzę, że przeznaczeniem Mickiewicza jest zostać rodzajem Mesjasza tego biednego narodu'', pisał do Lamennais'go. Aż do swego wyjazdu do Niemiec pod koniec roku 1833 był dla Mickiewicza rodzajem

powiernika i głównego doradcy we francuskich sprawach literackich. Wiadomo, że za jego to poradą Mickiewicz postanowił nie ogłaszać swojej francuskiej ,,Histoire de l'Avenir''. Montalembert obawiał się, że pogardliwy i wrogi stosunek Mickiewicza do reżymu Ludwika-Filipa, jaki znalazł wyraz w tym profetyczno-publicystycznym utworze, rozdrażni władze francuskie i może zaciążyć na ich stosunku do Polaków. W swoim dzienniku pisze on, że Mickiewicz uznał słuszność jego argumentów i zniszczył rękopis ,,Historii przyszłości''. W rzeczy samej, do naszych czasów dochował się tylko niewielki jej fragment wraz z fragmentem drugiej, późniejszej redakcji (6).

Wszystko to jednak już sprawy późniejsze. W pierwszych miesiącach po osiedleniu się Mickiewicza w Paryżu Montalembert pasjonował się przede wszystkim ,,Księgami'' i stosunki jego z Mickiewiczem układały się w tych miesiącach pod znakiem właśnie ,,Ksiąg''. I w jego listach, jakie gęsto szły podówczas do La Chênaie, raz po raz pojawiają się wzmianki o ,,Księgach''.

Pierwsza z nich pochodzi z czasu, kiedy polski tekst ,,Ksiąg'' jeszcze nie wyszedł spod pras drukarskich, z 22 listopada 1832 roku:

> ,,Mickiewicz ma wkrótce ogłosić po francusku bardzo znakomite dzieło, mające na celu ukazanie katolickiej misji Polski. Prosił mnie, abym mu trochę wygładził styl. Postaram się wywiązać z tego, jak będę mógł najlepiej''.

W sześć tygodni później, w liście z 2 stycznia 1833 roku, znajdujemy nową wzmiankę o ,,Księgach'', tym razem już dużo precyzyjniejszą i przynoszącą cenną wiadomość, że nowe dzieło napisane jest stylem biblijnym:

> ,,Mickiewicz, który zawsze mówi o panu z miłością i czcią, tylko co ogłosił wspaniałą książeczkę. Są to ,,Roczniki narodu polskiego aż po jego mękę włącznie'' (les Annales de la nation polonaise, jusque et y compris sa passion). Jest to napisane stylem biblijnym.

---

(6) Ostatnio prof. Kleiner w króciutkim, ale pięknie napisanym artykule ,,Związek rozprawy Mickiewicza 'O nowoczesnym malarstwie religijnym Niemców' z francuskim odrodzeniem sztuki chrześcijańskiej'' (,,Roczniki Humanistyczne'', t. V, Lublin, 1956) zwrócił uwagę na zbieżności poglądów na średniowieczne malarstwo religijne Mickiewicza i Montalembert'a. Kleiner ostrożnie, a słusznie, mówi o pokrewieństwie poglądów, a nie o wpływach, skoro można tu mówić o pewnych wspólnych tendencjach. Sądzę, że jeśliby już chciało się doszukiwać wpływów, pod jakimi ukształtowały się poglądy Mickiewicza na malarstwo religijne, to raczej należałoby ich szukać u tego człowieka, który tak przełomową rolę odegrał w jego życiu, Oleszkiewicza, malarza przecież. Wpływ Oleszkiewicza, który w młodości był w Paryżu uczniem David'a, tłumaczyłby pojawienie się w artykule mickiewiczowskim David'a w dość nieoczekiwanej dla niego roli prekursora nowoczesnego malarstwa religijnego. Poza tym na poglądy Mickiewicza na malarstwo religijne mógł wpłynąć także i — wspomniany w artykule Kleinera — Wojciech Korneli Statler, artysta, z którym znajomość poety w Rzymie była wcale zażyła

Jestem przekonany, że nie ma w świecie stron, które by dokładniej odpowiadały Pańskim poglądom na Boga i wolność".

W trzy tygodnie później, w liście z 23 stycznia Montalembert nawraca raz jeszcze do ,,Ksiąg". W słowach jego brzmi ten sam entuzjazm:

,,Książeczka Mickiewicza, o której Panu mówiłem, jest coraz bardziej godna podziwu. Będzie Pan nad nią płakał, jestem tego pewien, z radości i z współczucia. Nigdy jeszcze Pańskie idee nie zostały lepiej zrozumiane i lepiej wyrażone. Ma się ją teraz tłumaczyć w Niemczech (...) To książka, którą trzeba by spopularyzować wśród naszego kleru i naszej publiczności, gdybyśmy mieli jeszcze po temu możliwości".

W liście z 6 lutego czytamy, iż Montalembert w dalszym ciągu pracuje nad przekładem. Upływają jeszcze dwa tygodnie, i w liście z 20 lutego Montalembert może z triumfem donieść swemu mistrzowi, iż przekład jest już gotów:

,,Czytałem z niego uprzednio fragmenty na zebraniu u mnie w obecności 60 osób, między innymi d'Ecksteina, Ampère'a, Barchou, p. Guerrier de Dumast i innych... Nigdy jeszcze nie widziałem entuzjazmu żywszego nad ten, jaki obudziły u owych młodych ludzi. Porwało to wszystkich. Oklaskiwali namiętnie. To fakt, iż jest to zachwycające. Trzeba jednak być przygotowanym na wybuch inwektyw dzienników, reprezentujących fałszywy liberalizm. Nie jest to wcale, jak myślałem, skrót dziejów Polski, ale seria rad dla uchodźców i przepowiedni na przyszłość w formie przypowieści, zakończonych modlitwą i litaniami. Jest to rzecz straszliwie trudna do przekładu z powodu braku stylu biblijnego w języku francuskim".

W tymże liście Montalembert prosi Lamennais'go o pozwolenie przedruku we francuskim wydaniu ,,Ksiąg" jego ,,Hymnu do Polski", pozwolenie, którego Lamennais udzielił.

Uwagi Montalembert'a, jak widzimy, dyszały entuzjazem. Jest rzeczą jasną, że musiały one budzić w Lamennais'm żywe zainteresowanie i poczucie wspólnoty duchowej z tłumaczonym przez jego przyjaciela utworem. Montalembert przedstawiał ,,Księgi" jako wyrosłe z jego, Lamennais'go, dziedzictwa ideowego. Wiadomość o zapale, jaki lektura przekładu wywołała wśród gości Montalembert'a, dawała tym entuzjazmom coś w rodzaju obiektywnej sankcji.

Nic też dziwnego, że raz po raz w listach Lamennais'go czytamy, iż z niecierpliwością oczekuje zapowiedzianej książki. Temat ten nawraca pod jego piórem w listach z 9 stycznia, 5, 12 i 23 lutego. A w liście z 1 marca pisze: ,,Jestem zachwycony, iż przekład dzieła Mickiewicza jest już gotów. To co mi o nim piszesz, budzi we mnie żywą chęć poznania go".

Tak więc Lamennais w lutym 1833 roku, w chwili kiedy narodził się w nim pomysł ,,Słów wierzącego", wiedział o ,,Księgach" już nie mało. Wiedział, że jest to dzieło ideowo bardzo

mu bliskie. Że jest pisane prozą biblijną w formie cyklu pouczeń i przypowieści. Że zamyka się modlitwą i litanią. Że w kołach ludzi mu bliskich wywołało entuzjazm. Będąc sam księdzem głęboko zżytym z biblią — całe jego dzieło pisarskie jest przesiąknięte frazeologią biblijną — nie musiał czekać na pojawienie się francuskiego przekładu ,,Ksiąg'', żeby wiedzieć, co taka stylizacja znaczy. W świetle listów Montalembert'a nie ulega jednak wątpliwości, że sama koncepcja literacka ,,Paroles d'un Croyant'' narodziła się w nim pod wpływem ,,Ksiąg''.

Możemy zatem stwierdzić dwie fazy oddziaływania ,,Ksiąg'' na ,,Paroles'' Lamennais'go: pierwszą, kiedy sam zalążkowy pomysł wziął Lamennais od Mickiewicza za pośrednictwem Montalembert'a, i drugą, gdy w maju, kiedy ,,Słowa wierzącego'' miał już przeszło dwa miesiące na warsztacie, zapoznał się bezpośrednio z tekstem Mickiewicza. Tą drugą tłumaczy się w sposób naturalny zapożyczenie poszczególnych motywów. Pierwsza była w gruncie rzeczy dużo ważniejsza, bo jej zawdzięczają ,,Słowa wierzącego'' swój kształt literacki.

Jak widzimy, mamy tu do czynienia z paradoksalną sytuacją. Ściśle rzecz biorąc, nie można zarzucić kłamu stwierdzeniu Lamennais'go, że powziął myśl swoich ,,Paroles'' zanim przeczytał Mickiewicza. Ale prawda ich jest prawdą niedomówioną pół-prawdą, która zwodzi na manowce. I ściśle biorąc, rzekomy cytat z ,,Affaires de Rome'', na który powołują się Ostrowski i Władysław Mickiewicz, to fałszerstwo literackie. Ale treść tego fałszywego cytatu odpowiada co do joty prawdzie: pomysł swoich ,,Paroles d'un Croyant'' zawdzięcza Lamennais naprawdę Mickiewiczowi.

Przejęcie przez Lamennais'go koncepcji literackiej ,,Ksiąg'' wywołało—w sposób na pierwszy rzut oka dość nieoczekiwany — przełom w stosunkach osobistych obu pisarzy.

Lamennais'go pisarza odkrył Mickiewicz w Rzymie w roku 1830, w momencie kiedy ostatecznie przesilał się w nim kryzys religijny. W liście do Odyńca z 19 listopada pisał: ,,Czytam wiele i w domu siedzę, teraz nad dziełami l'abbé Lamennais medytuję i życzę, abyś je z uwagą przeczytał''. W roku 1830 Lamennais znany był przede wszystkim jako autor wielkiej czterotomowej apologetyki, pisanej jeszcze w konserwatywnym i ortodoksyjnym duchu, ,,Essai sur l'indifférence en matière de religion'', książki, której pojawienie się było wielkim wydarzeniem literackim i która wstępnym bojem — cztery wydania pierwszego tomu w ciągu roku — zdobyła sobie rozgłos, a autorowi epitet ,,nowego Bossueta''. Najprawdopodobniej Mickiewicz nad tym to właśnie dziełem spędzał czas na medytacjach. Jego nowy rzymski przyjaciel i przewodnik duchowy, ks. Chołoniewski — wymieniony w tymże liście ze znaczącą uwagą — ,,teraz bardzośmy się zbliżyli'' — był tłumaczem ,,Essai sur l'indifférence'' na język polski.

W półtora roku później, w liście z 23 marca 1832 roku, pisał Mickiewicz z Drezna Lelewelowi:

„Myślałbym tylko, że naszemu dążeniu należałoby nadawać charakter religijno-moralny, różny od finansowego liberalizmu Francuzów, i że na katolicyźmie trzeba grunt położyć. Czy znasz dzieła Lamennais? Jest to Francuz, który szczerze płakał nad nami; jego łzy były jedyne, którem widział w Paryżu".

Poza tą wzmianką z listu do Lelewela nie mamy żadnego skąd inąd świadectwa spotkania Mickiewicza z Lamennais'm w Paryżu wiosną 1831 roku, i nie jest rzeczą wykluczoną, że pisząc „jego łzy były jedyne, którem widział w Paryżu", Mickiewicz miał po prostu na myśli żarliwe, namiętnie propolskie stanowisko redagowanego przez Lamennais'go dziennika. Ale ważniejsze od stwierdzenia szczegółu biograficznego jest przebijające z tych słów uwielbienie dla Lamennais'go i poczucie duchowego z nim powinowactwa.

Poczucie to nie opuszczało Mickiewicza i przy pisaniu „Ksiąg". W pierwszej, brulionowej redakcji ostatniego rozdziałku „Ksiąg" — w ustępie który zniknął z redakcji ostatecznej prawdopodobnie dlatego, że kłócił się z biblijną ich stylizacją — stwierdzał Mickiewicz, że niektóre myśli zapożyczył „i z ksiąg księdza, który się nazywa Lamennais". W listach, jakie Montalembert wysyłał do La Chênaie, raz po raz pojawiają się zwroty: „Mickiewicz pana kocha i nieskończenie żałuje"; „Mickiewicz, który zawsze mówi o panu z miłością i czcią"; „kocha pana i czci zawsze ex imo corde".

W czerwcu 1833 roku planowana była wizyta do La Chênaie Mickiewicza i Platera. Wzmianka o tej zapowiedzianej wizycie w korespondencji Lamennais'go dała asumpt jednemu z francuskich pisarzy P. Harispe'owi do napisania aż dwu rozdziałów w jego biografii, „Lamennais. Drame de sa vie sacerdotale", w których szczegółowo i w stylu rapsodycznym opisał spotkanie dwóch wielkich pisarzy i rzekomy trzytygodniowy pobyt Mickiewicza w La Chênaie. W rzeczywistości jednak zamierzona podróż do Bretanii nie doszła do skutku. Mickiewiczowi wypadło śpiesznie jechać do Bex, do umierającego Garczyńskiego (7). Z Lamennais'm spotkał się dopiero z początkiem

---

(7) Legendę tę, której echa znajdujemy i w polskiej i we francuskiej literaturze naukowej, zdemaskował w roku 1947 ks. Henri Desmettre w swoim cennym studium o Towiańskim, „Towiański et le Messianisme polonais" (Lille, 1947, tom I, str. 173), a potem, niezależnie od niego Louis de Villefosse w specjalnym artykule „L'Invitation à La Chênaie", ogłoszonym w paryskiej „Europe" z października 1955 roku, oraz Zygmunt Markiewicz w drugim tegorocznym zeszycie „Revue de Littérature Comparée". Willefosse nb. uprzednio w swej książce „Lamennais ou l'occasion manquée", zawierzywszy Harispe'owi, powtórzył bezkrytycznie jego wersję o rzekomej wizycie Mickiewicza w La Chênaie. Legenda ta ma zresztą twardy żywot. Ostatnio powtórzył ją Georges Collas w odczycie „La Chênaie", ogłoszonym w czerwcowym zeszycie z ubiegłego roku kwartalnika „Bulletin de l'Association Guilaume Budé". Warto wreszcie dodać, że niedawno, również z lekkiej ręki Harispe'a Jacques Vier w pierwszym tomie swojej wiel-

1834 roku w Paryżu. Wszystko co wiemy o tym spotkaniu, to lakoniczna wzmianka Lamennais'go z listu do Montalembert'a z 2 lutego, donosząca, iż „kilka dni temu" Mickiewicz złożył mu wizytę i zapowiedział, że jeszcze przyjdzie.

I oto ogłoszenie „Słów wierzącego" przynosi w tych stosunkach gwałtowną zmianę. Stosunek Mickiewicza do Lamennais'go, jak dotąd pełen uwielbienia, nagle zmienia się na wrogi i pogardliwy. W tym samym, wyżej cytowanym liście, w którym Bohdan Zaleski określa Kajsiewiczowi świeżo wydane „Paroles d'un Croyant" jako „po prostu naśladowanie Mickiewicza z wielu plagiatami", czytamy: „Adam powiada, że bije w niej pokłon Molochowi częściej od niego, choć ksiądz i w sutannie; bardziej by mu się to nie godziło".

Takich wrogich wypowiedzi Mickiewicza mamy więcej. Stefan Witwicki, w swojej „Towiańszczyźnie wystawionej" zanotował następującą opinię Mickiewicza o Lamennais'm:

> „Jest to wprawdzie ten sam co dawniej niepospolity malarz, tylko że odrywający pędzel od rzeczy poważnych i szanownych, puścił się na malowanie... szyldów karczemnych".

Nie tak ostro sformułowaną, ale również krytyczną opinię o Lamennais'm zanotował Aleksander Chodźko:

> „L'abbé de Lamennais czerpie natchnienie swoje w inteligencji i dlatego nie jest wielkim. Niekiedy tylko ma chwile jasne i wtedy mówi z ducha".

---

kiej biografii „La Comtesse d'Agoult et son temps" kazał Mickiewiczowi spotkać się w Paryżu u Lamennais'go z Lisztem (Paryż, 1955, str. 146).

*Przypisek w czasie korekty.* — Już po napisaniu niniejszego artykułu prof. Le Hir zwrócił mi łaskawie listownie uwagę na przeoczony przeze mnie, a omówiony przezeń i częściowo ogłoszony w roku 1949 w „Annales de Bretagne" w artykule pt. „Un document inédit sur Lamennais et la congrégation de Saint-Pierre", dokument, który rzekomo ma potwierdzać informacje o wizycie Mickiewicza u Lamennais'go w Bretanii. Dokumentem tym jest napisany przez ks. Persehaie memoriał o prowadzonej przez brata Félicité, księdza Jean-Marie de Lamennais, kongregacji św. Piotra w Saint-Méen. Jak sam Le Hir w artykule swym stwierdza, memoriał ten jest stronniczy i zeszpecony błędami („*malheureusement entaché d'erreurs et de partialité systématique*"). W jednym z ogłoszonych fragmentów (str. 71) mamy opis demonstracji propolskiej, urządzonej w Saint-Méen z racji wizyty tam Félicité de Lamennais w towarzystwie Montalemberta i Platera. Mickiewicz nie jest tam wymieniony wśród gości. Nieco dalej jednak ks. Persehaie pisze o Jean-Marie de Lamennais, że znał on „Księgi" poprzez ich autora, „którego oprowadzał po Saint-Méen" („*M. Jean-Marie de la Mennais... connaissait le „Pèlerin polonais" par son auteur à Saint-Méen*"). Wysnuwanie jakichkolwiek wniosków o wizycie Mickiewicza z takiej wzmianki byłoby procedurą arcyryzykowną. Wizyta taka nie jest potwierdzona żadnym innym przekazem. Sama zapowiedź wizyty Mickiewicza u Lamennais'go tłumaczy dostatecznie powstanie pogłoski, a ks. Persehaie mógł dać jej ucha tym chętniej, że memoriał jego dyszy nienawiścią do obu braci Lamennais, zaś kontakt z autorem potępionych przez brewe papieskie „Ksiąg" kompromitował Jean-Marie w oczach ludzi jego mentalności.

Kiedy indziej znów, rozmawiając z Armandem Lévy o swoim chilijskim uczniu Bilbao, Mickiewicz powiedział: ,,Jego chrześcijaństwo ma chwiejność w rodzaju 'Paroles d'un Croyant' ''.

W nieocenionym zbiorze, wydanym przez Pigonia, w ,,Rozmowach z Adamem Mickiewiczem'', istnieje tylko jedna wzmianka pamiętnikarska, która by się kłóciła z tenorem zacytowanych wyżej za tymiż ,,Rozmowami'' wypowiedzi. Wyszła ona z pod pióra Edwarda Chłapowskiego który w roku 1850 jako student bawił w Paryżu i tam kilka razy odwiedzał Mickiewicza, a w roku 1876 ogłosił w ,,Kłosach'' wspomnienia z tych wizyt ,,W dworku na Battignolles''. We wspomnieniach tych znajdujemy między innymi takie zdanie: ,,Pokrewnych sobie duchem Michelet'a, Quinet'a i Lamennais'go jako ludzi uwielbiał, jako pisarzów cenił wysoko''. Do świadectwa tego jednak nie podobna przywiązywać większej wagi. Związki Chłapowskiego z Mickiewiczem były krótkotrwałe i dość luźne. Wspomnienia swe ogłosił on w przeszło dwadzieścia lat po śmierci Mickiewicza i najprawdopodobniej dopiero wtedy je spisał; u wstępu ich znajdujemy wymowne zastrzeżenie: ,,o ile dziś sobie przypominam''. Najprościej więc będzie przyjąć, że Chłapowski, wymieniając obok Michelet'a i Quinet'a także i Lamennais'go, po prostu się ,,przepisał''.

Wiemy też, że w roku 1845 Mickiewicz posłał Lamennais'mu tom swoich prelekcyj paryskich ,,L'Eglise et le Messie'' z krótką, suchą dedykacją: ,,Panu de Lamennais od autora''. Znamy reakcję Lamennais'go na ten tom. Ślad jej wynotował Władysław Mickiewicz z korespondencji Alfreda Dumesnil'a, zięcia Michelet'a i zastępcy Quinet'a na katedrze w Collège de France po roku 1846, który tak pisze o swojej i Michelet'a wizycie u Lamennais'go:

> ,,Rozmawiał z nami o Mickiewiczu z takim rozsądkiem, że bardzo bym chciał, abyś go słyszał. Sąd jego był ostry, ale jak dobrze rozumie ten wielki umysł, tę bohaterską duszę. Znajduje, że Mesjanizm jest jedno z dzieł najoryginalniejszych tego czasu, rozpowszechnia je jak najwięcej'' (8).

Z początkiem roku 1853 przypadek zaprowadził Lamennais'go do Mickiewicza. Mamy relację z tego spotkania, spisaną przez jego świadka, Władysława Mickiewicza:

> ,,Mieszkanie na rue Notre-Dame des Champs wystawione było do najęcia, osoby zwiedzające je przychodziły o godzinach, w których Mickiewicz pełnił służbę swoję w Bibliotece Arsenalskiej. Zda-

(8) Sąd ten zdaje się potwierdzać opinię Le Hir'a, który w swej książce ,,Lamennais écrivain'' (Paryż, 1948, str. 226) rzucił mimochodem uwagę, iż prelekcje żywo poruszyły Lamennais'go (*donne à sa pensée une puissante excitation*) i że świadectwem tego oddziaływania, i to ,,niezbitym'', mają być wydane w roku 1846 poematy prozą Lamennais'go ,,Une Voix de prison''. Le Hir zapowiedział specjalną rozprawę na temat tych zależności. O ile mi wiadomo, nie ukazała się ona jeszcze drukiem.

rzyło się jednak, że jakiś staruszek w długim surducie, spadającym mu prawie do nóg, zjawił się, kiedy Mickiewicz nie był jeszcze wyszedł. Syn Adama, oprowadziwszy go po innych pokojach, zapukał nareszcie do gabinetu ojca, tłumacząc mu po polsku, co to za gość. Adam sam drzwi otworzył, a staruszek wchodząc, przywitał go słowami: „*Mickiewicz, comment allez-vous?*" Syn Adama mocno był zdziwiony poufałością gościa, którego nigdy u ojca nie widział. Mickiewicz, ścisnąwszy mu rękę, rzekł: „*Et qu'est-ce qui vous amène ici?*" — „*Je cherche* — odparł gość — *un logement pour y mourir*". O mieszkaniu już dalej mowy nie było. Wszczęła się rozmowa długa o kryzysie politycznym we Francji i o stanie Europy. Po odejściu gościa syn Adama zapytał o jego nazwisko; był to Lamennais" (9).

W ostatnich miesiącach życia Lamennais'go, który umarł 27 lutego 1854 roku, opiekował się nim jeden z najbliższych podówczas Mickiewiczowi ludzi, Armand Lévy. „Mickiewicz, gdy go zawiadomiłem o śmierci Lamennais'go, rzekł mi — zanotował Lévy w swojej autobiografii: — 'Nie widziałem (drugiego) Francuza, który by w roku 1831 tak szczerze opłakiwał Polskę' ".

W tejże autobiografii Lévy'ego zachowała się najciekawsza i najpełniejsza wypowiedź Mickiewicza o Lamennais'm, najprawdopodobniej pochodząca z tego samego czasu, tuż po śmierci Lamennais'go, skoro Mickiewicz mówi tu o Lamennais'm w czasie przeszłym i wypowiedź jego ma charakter oceny całokształtu dorobku pisarskiego człowieka. Jest ona dla nas szczególnie cenna, bo daje klucz do zrozumienia, dlaczego to ogłoszenie „Słów wierzącego" stało się punktem zwrotnym w stosunkach obu pisarzy:

„Lamennais mówił mi kiedyś — oświadczył Mickiewicz Lévy'emu — o swoim tłumaczeniu „Boskiej komedii" Dantego. Jeśli to tłumaczenie jest dobre, to dzieło to może przetrwać dłużej niż „Słowa wierzącego", gdyż wszystko, co jest tylko polemiką, ma znikomą trwałość. Lamennais był jedynie polemistą; w swojej walce z Kościołem patrzył na rzecz tylko od strony rządu (10), widział tylko te środki, jakich się jąć winna władza najwyższa, już to aby podnosić Kościół, już też aby go obalać. Uczucia czysto religijne, widzenia prorocze, nie istniały dla niego. „Słowa wierzącego" miały jednak duże powodzenie, choć była to tylko retoryka. Są tam porównania, które dowodzą wielkiej nieznajomości natury, na przykład powiedzenie o wróblach, zbierających się przeciw drapieżnikom. Najszczytniejszą rzeczą w Lamennais'm jest jego wielka szczerość i to, że nigdy, w żadnym czasie nic nie powiedział i nie napisał przeciw wolności w jakiegokolwiekbądź narodu".

---

(9) Historię tej wizyty przypomniał ostatnio we Francji ze słów Władysława Mickiewicza Michel Geistdoerfer w artykule „Une interview de Ladislas Mickiewicz", ogłoszonym w „Europe" z lutego-marca 1954 roku.

(10) Słowa te pozwalają nam zrozumieć, co Mickiewicz miał na myśli kiedy mówił Zaleskiemu, że Lamennais w „Paroles" „bije... pokłon Molochowi częściej od niego".

Dla zrozumienia tego krytycyzmu trzeba pamiętać, że szata biblijna ,,Ksiąg'' nie była dla Mickiewicza po prostu tylko stylizacją literacką, ale przede wszystkim wyrazem językowym tego przekonania, że piórem jego przy pisaniu ,,Ksiąg'' kierował Bóg (,,a niektóre rzeczy z łaski Bożej''), wyrazem jego aspiracyj proroka. Poza raz po raz nawracającymi uwagami krytycznymi, że ,,Słowa wierzącego'' to ,,tylko polemika'', ,,tylko retoryka'', że ,,uczucia czysto religijne, widzenia prorocze nie istniały'' dla Lamennais'go, kryje się przekonanie, iż przejąwszy od Mickiewicza stylizację biblijną, Lemannais uzurpował sobie literackie atrybuty proroka, do których nie miał prawa. Co więcej, przez przejęcie mickiewiczowskiej stylizacji na ewangelię Lamennais zdewaluował te wysokie aspiracje, jakich wyrazem był styl ,,Ksiąg'', odebrał mu charakter znamienia wyróżniającego słowa dyktowane natchnieniem proroczym, a zrobił z niego po prostu jeszcze jedną odmianę prozy romantycznej. I tego właśnie Mickiewicz nie mógł Lamennais'mu przebaczyć.

*Wiktor WEINTRAUB*

# XX wiek i twoje serce

Zapatrzeni w ogrom przeobrażeń społecznych, zaskakiwani wstrząsami politycznymi, zmieniającymi oblicze naszego świata w następstwie rewolucji w Rosji i dwóch wielkich wojen, wydajemy się nie tylko nie doceniać, ale nawet i nie dostrzegać fundamentalnych przemian bio-patologicznych, mających tak doniosłe znaczenie dla historii naturalnej człowieka. Oczywiście, błędem byłoby twierdzić, iż wymykają się naszej uwadze tak dalekosiężne przemiany, jakie zachodzą w plaźmie zarodkowej czy też w strukturze genetycznej ludzkości, w związku z wyzwoleniem energii atomowej i jej zastosowaniem w zbrojeniu, a także w przemyśle pokojowym.

Należałoby jednak zwrócić uwagę, na tak doniosły fakt, iż w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat w dziedzinie zwalczania chorób i przedłużania życia ludzkiego dokonano więcej, niż w ciągu tysiąca stuleci, uprzedniej egzystencji człowieka na kuli ziemskiej. Najwymowniej świadczy o osiągnięciach wiedzy lekarskiej przedłużenie życia ludzkiego, którego przeciętna podniosła się z 49 w 1900 do 68 lat w 1953 roku. Równolegle opadła śmiertelność. W 1900 roku można było przewidzieć, że na tysiąc osób żyjątych umrze w ciagu tego roku siedemnaście. W roku 1957 ta przewidywana cyfra wynosi tylko osiem.

Wielkie zasługi w tym względzie przypisać należy pediatrom. Na początku obecnego stulecia na tysiąc niemowląt, którym udało się przejść przez pierwszy wielki wstrząs biologiczny, jakim jest poród, sto sześćdziesiąt zmarło w pierwszym roku życia, obecnie umiera mniej niż trzydzieści.

## „POD BATUTĄ KOCHA"

W podobny, a niekiedy jeszcze gwałtowniejszy sposób spadła statystyka przeciętnej śmiertelności w wieku dziecięcym i młodocianym. Naszym babkom i matkom najtrudniej było przeżyć pierwsze lata życia, były bowiem narażone na rozmaite choroby zakaźne, wobec których ówcześni lekarze byli często

bezsilni. Dziś, dzięki szczepieniom ochronnym, dzięki rozwojowi chemoterapii oraz zastosowaniu antybiotyków znikła groza odry, błonicy (dyfterytu), płonicy (szkarlatyny) i zapalenia płuc.

Do jednych z moich najbardziej koszmarnych wspomnień osobistych należy pierwsze zetknięcie się z praktyką kliniczną. Było to w latach dwudziestych w jednym ze szpitali w Warszawie, na sali gruźliczej. Chroniczny brak miejsc sprawiał, iż przyjmowani byli tylko najciężej chorzy. Nieustający w dzień i w nocy chóralny kaszel (jak to nazywaliśmy, my studenci, ze smutną ironią: ,,pod batutą Kocha''), krwotoki płucne i widok powoli dogorywających skazańców, wśród których poruszaliśmy się bezradni, wydawał się nam istnym piekłem dantejskim.

Dziś, niewesoły przywilej zajmowania pierwszych miejsc na liście przyczyn powodujących zgon, został gruźlicy odebrany.

Panoramiczny obraz patologii ludzkiej zmienił się nie do poznania. Zniknęły groźne epidemie cholery, tyfusu, dżumy. Choroby, dawniej nieuchronnie śmiertelne, jak anemia złośliwa, cukrzyca straciły swą grozę. Likwiduje się łóżka szpitalne i ambulatoria przeciwweneryczne. Zresztą, co ciekawsze, same zarazki, krętki blade i gonokoki oraz inne bakcyle, tępione przez penicylinę i inne antybiotyki, zmieniły oblicze i swe właściwości. Rzadko który z lekarzy widzi obecnie kiłę lub rzeżączkę w pełni, w klasycznym rozkwicie szeroko opisywanych i przestudiowanych objawów. Może jeszcze za wcześnie na mowy pogrzebowe nad tymi zarazkami i nad grubymi tomami podręczników chorób zakaźnych i cierpień wenerycznych, niedługo wszakże nadejdzie czas, kiedy przyszli badacze będą musieli szukać ofiar tych zakażeń w odległych, zacofanych krajach. Jeszcze kilka dziesięcioleci temu, jedna osoba na cztery poddana poważniejszemu zabiegowi chirurgicznemu ginęła, dziś, straty spowodowane leczeniem operacyjnym wynoszą zaledwie jeden na sto, co jeszcze wydaje się zbyt wysokim odsetkiem, mimo, że skalpel chirurgiczny nie odmawia swej pomocy, i w rozpaczliwych przypadkach, u niemowląt i starców, a także, gdy zachodzi potrzeba, tnie mózg i serce.

Procent ludzi dożywających wieku średniego, a nawet podeszłego stale wzrasta. Wśród ludności zamieszkującej Europę Zachodnią i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, odsetek żyjących starców wzrasta z dziesięciolecia na dziesięciolecie.

Z tych spostrzeżeń statystycznych nad osobami w wieku podeszłym wyłoniła się nowa, poważna specjalność, znana pod nazwą ,,geriatrii'' — analogicznie do pediatrii — medycyny wieku dziecięcego.

## NOWA PLAGA WIEKU XX

Tymczasem wszakże, mimo tych fascynujących triumfów medycyny współczesnej, wyłania się nowy upiór, nowe utrapienie dla mózgów lekarskich, nowy bicz społeczny, nowa plaga

XX wieku. Na czoło statystyk śmiertelności wspięły się z dołu tabel choroby serca i naczyń krwionośnych. Oczywiście, jedną z przyczyn tego zjawiska jest wspomniany uprzednio fakt, że nie umieramy młodo na skutek zapalenia płuc czy gruźlicy. Więcej ludzi dożywa wieku, gdy rozwijają się choroby serca i naczyń krwionośnych, i jakże słuszne jest twierdzenie, iż lepiej liczyć się z ryzykiem ataku sercowego w pięćdziesiątym czy sześćdziesiątym roku życia, niż zginąć od gruźlicy, mając lat dwadzieścia pięć. Zwiększenie zachorowań, spowodowanych zmianami w naczyniach krwionośnych, jest produktem ubocznym naszej cywilizacji i niesłychanego wprost wzrostu dobrobytu w krajach Zachodu. Interesujące jest, że większość ofiar to są mężczyźni, będący u szczytu aktywności życiowej. Sprawę tę omawiamy szerzej na innym miejscu. I choć zmęczeni i przepracowani businessmeni skłonni są przypisywać to zjawisko warunkom i napięciu, w jakim żyją, od razu zaznaczyć musimy, że upośledzenie płci męskiej jest ogólnym zjawiskiem biologicznym i ujawnia się na wszystkich szczeblach drabiny zwierzęcej również i tam, gdzie większość trudów ponoszą przedstawicielki „płci słabej", a samcy są tylko bezczynnymi trutniami. W nowoczesnych społeczeństwach kobiety żyją dłużej, gdyż mniej są wrażliwe na schorzenie serca i naczyń krwionośnych w młodszych i średnich latach życia.

Jak stwierdziliśmy wyżej, czołowe miejsce w statystyce zgonów ludzi dorosłych zajmują obecnie choroby serca i naczyń krwionośnych : są one przyczyną śmierci czterokrotnie większej ilości ludzi, niż zgonów z powodu raka, sześciokrotnie większej, niż z powodu „nieszczęśliwych wypadków", ośmiokrotnie większej, niż z powodu gruźlicy. Ofiarą tych chorób pada co najmniej pięćset razy więcej osób niż z powodu paraliżu dziecięcego (poliomyelitis — choroba Heine-Medina). Gdyby uszeregować według danych statystycznych choroby, powodujące zejście śmiertelne, to w tabeli tej nie znaleźlibyśmy — jakby to mógł laik przypuszczać — chorób zakaźnych, lecz następującą kolejność: 1) zmiany naczyń krwionośnych (arterioskleroza), 2) rak, 3) schorzenia na tle artretyzmu i reumatyzmu (choroby kolagenowe), 4) choroby nerwowe i umysłowe.

Podłożem cierpień serca w wieku młodzieńczym są zakażenia różnego typu : gościec stawowy, inne infekcje łącznie z kiłą, oraz wrodzone wady serca, u dorosłych zaś w rachubę wchodzi główny czynnik, arcy-wróg współczesnego człowieka, „czarny charakter" niszczyciel ludzkości, mianowicie — arterioskleroza.

## MIAŻDŻYCA NACZYŃ — TAJEMNICZY WRÓG LUDZKOŚCI

Nie ulega wątpliwości, że miażdżyca tętnic wieńcowych serca (odżywiających mięsień sercowy) jest główną przyczyną zakrzepów i zawałów serca (*thrombosis et infarctus cordis*), wy-

lewów krwawych do mózgu i zakrzepów tętnic mózgowych sklerozy tętnic nerkowych, powodujących mocznicę czyli uremię One to doprowadzają do przedwczesnego finału życia ludzkiego

W toku naszych rozważań często uciekamy się do danych statystycznych, ujętych w rozmaity sposób, dla zobrazowania roz miarów klęski, jaką pociąga za sobą miażdżyca. Wymieńmy przykładowo, że w Stanach Zjednoczonych co rok sześćset — osiemset tysięcy ludzi zapada na zakrzep (*thrombosis*) której z tętnic wieńcowych serca, a ginie na tę chorobę dwieście ty sięcy ludzi rocznie. Choroba ta rekrutuje swe ofiary najczęście spośród osobników w pięćdziesiątych latach życia, gdy są n szczycie kariery życiowej i rozwoju intelektualnego, gdy naj bardziej udoskonalili się w swym zawodzie i gdy są najbardzie potrzebni rodzinie i społeczeństwu. Przed kilku laty prezyden Eisenhower, mówiąc o chorobie wieńcowej serca (jeszcze prze własnym atakiem) stwierdził, że żaden generał w czasie bitwy nie wytrzymałby takich strat w swych szeregach, i żaden na ród nie godziłby się na tak gwałtowne topnienie liczebne. Ni więc dziwnego, że sprawa miażdżycy jest (obok raka) centralnym zagadnieniem nowoczesnej medycyny. Zajmują się nią nie tylko lekarze wszystkich prawie specjalności, lecz także statystycy chemicy, biochemicy i fizycy, a także powstały specjalne stowa rzyszenia i laboratoria, poświęcone wyłącznie sprawom badani arteriosklerozy. Problem, mimo olbrzymich postępów wiedz i stałego pogłębiania badań jest wciąż jeszcze daleki od rozwią zania. Zagadka miażdżycy wymyka się badaczom, choć te wia domości, które już uzyskaliśmy, są wręcz fascynujące. Im bar dziej zagłębiamy się w zagadnienia stwierdzanej doświadczalni arteriosklerozy u ludzi wszelkich ras i pod wszelkimi szero kościami geograficznymi, tym bardziej mamy ochotę wy krzyknąć wraz z Alicją z ,,Krainy Czarów'': ,,Curioser an curioser'' (*).

## PROCES STARZENIA SIĘ I ARTERIOSKLEROZA

Istnieje błędne mniemanie, że arterioskleroza to jedyni normalny objaw starzenia się i że zjawisko to jest równie nie uniknione jak sama śmierć. Popularne powiedzenie jednego z kl nicystów francuskich, że ,,człowiek ma tyle lat, ile mają jeg tętnice'' (*L'homme a l'âge de ses artères''*) jest w pewnych wy padkach — choć nie zawsze — bardzo bliskie prawdy.

U wielu starzejących się zwierząt arterioskleroza w ogó nie występuje. Co ciekawsze, można wywołać ją doświadczaln i to przy użyciu różnych forteli (o czym jeszcze będzie mow później) tylko u niektórych zwierząt, a mianowicie: u królik szczura, psa, kurcząt i małpy. Nie udało się wywołać arteri

(*) Ciekawe, coraz ciekawsze!

sklerozy u kota. Istnieje zatem gatunkowa i indywidualna odporność na powstawanie miażdżycy.

Bardzo poważne zmiany arteriosklerotyczne spostrzegano u młodych osobników w stanach chorobowych (cukrzyca, obrzęk śluzakowaty, progeria — wczesna starość), oraz nawet u silnych, zdrowych żołnierzy, którzy padli od ran podczas wojny na Korei. Odwrotnie — co sprawia, iż obraz staje się jeszcze bardziej niejasny i zagmatwany — wielu anatomopatologów opisywało (we wszystkich krajach) osiemdziesięcioletnich i stuletnich starców, u których arterioskleroza występuje tylko w nieznacznym stopniu. Często młodzi ludzie (biorąc pod uwagę wszelkie możliwe kryteria młodego wieku) — giną wskutek zaczopowania jednej tętnicy wieńcowej zmienionej miażdżycowo, z zachowaniem wszystkich innych narządów ciała zdolnych do pełni życia. A więc ścisłe powiązanie sprawy wieku z arteriosklerozą w świetle badań współczesnych nie da się utrzymać. I choć prawdą jest, że im starszy osobnik, tym większe są szanse wytworzenia się coraz to rozleglejszych zmian miażdżycowych, nie jest to jednak związane li tylko ze sprawą arytmetyki lat. Choroby, którym towarzyszy przetłuszczenie krwi (jak cukrzyca, niedomoga tarczycy), powodują poważne zmiany i u młodych ludzi. Ale i u zupełnie zdrowych osobników stwierdzić można niekiedy początkowe zmiany arteriosklerotyczne, nawet już w siódmym roku życia.

## GDZIE WRÓG SIĘ ZACZAIŁ?

Musimy więc poświęcić arteriosklerozie więcej uwagi, gdyż jest ona podłożem anatomicznym, doprowadzającym do schorzeń serca, którym poświęcone są nasze rozważania. Wszystkie czynniki wrodzone, czy też z zewnątrz-pochodne, które doprowadzają do rozwoju arteriosklerozy, wywołują tym samym cierpienia serca, takie jak: dławica piersiowa (*angina pectoris*), zakrzepy tętnic wieńcowych (*thrombosis*) *i zawały serca* (*infarctus cordis*). Nie należy więc się dziwić, że badania lekarskie nie ograniczają się i nie mogą się ograniczyć tylko do stwierdzenia, iż zło nie przestaje się szerzyć a muszą dążyć do najskrupulatniejszego poznania arteriosklerozy, rozpoczynając od towarzyszących jej zmian anatomicznych.

## DANE HISTORYCZNE

Błędne byłoby mniemanie, że miażdżyca jest cierpieniem specyficznie czasów nowożytnych. Została ona opisana 5.000 lat temu w Mezopotamii. Badanie mumii egipskich pozwala na stwierdzenie w nich cech miażdżycy. Zostały stwierdzone w aorcie brzusznej i piersiowej na mumiach i egipskich i Koptów z 1580 roku przed Chrystuusem (Ruffer 1910). W Starym Testamencie Księga Samuela (I,25) jest ustęp: ,,oznajmiła mu żona

jego te rzeczy, i zmartwiało w nim serce jego, i stał się jako kamień. A gdy wyszło jakoby dziesięć dni, uderzył Pan Nabala i umarł''. Śmierć nastąpiła po doznaniu silnego wstrząsu psychicznego (co równocześnie świadczy o wpływie czynników emocjonalnych na serce), prawdopodobnie z powodu zawału serca na tle zmian arteriosklerotycznych.

Znakomity William Harvey (którego 300-lecie śmierci obchodzono w początkach czerwca tego roku w Londynie), odkrywca krążenia krwi, prawdopodobnie pierwszy opisał w 1649 skojarzenie bólu w klatce piersiowej z chorobą serca. Przypadek dotyczył szlachcica w średnim wieku, który cierpiał na napady bólów uciskowych w piersi, a po śmierci Harvey stwierdził u niego pęknięcie lewej komory (jedno z rzadkich powikłań zawału serca). Wiadomo, że Mikołaj Kopernik zmarł na paraliż spowodowany wylewem krwi do mózgu na tle miażdżycy tętnic mózgowych. Nowe jest tylko zjawisko rozpowszechnienia tej choroby w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci.

Punktem wyjścia do dalszych, niezmiernie owocnych badań, stały się *dwa spostrzeżenia:* wzmiankowana już uprzednio obecność ciał tłuszczowatych i cholesterolu w błonie wewnętrznej tętnic, które ulegają martwicy i rozmiękaniu, w plamkach i w blaszkach. Zawarte są one w żółtych, miękkich ogniskach miazgi kaszowatej (stąd nazwa atheroma).

Wybiórczym, ,,ulubionym'' niejako miejscem wytwarzania się tych złogów jest błona wewnętrzna aorty, tętnic średniej wielkości i tętnic wieńcowych, szczególnie u mężczyzn, u których błona wewnętrzna jest grubsza, niż błona wewnętrzna u kobiet już w chwili urodzenia, i, co ciekawe grubsza, niż błona wewnętrzna tętnic tej samej wielkości w innych okolicach ustroju ludzkiego.

Zgrubienie błony wewnętrznej tętnic powoduje, jak wspomniano już, zwężenie światła tętnic, a niekiedy i niedrożność tętnicy i niemożność dowozu krwi do danego odcinka serca. Bez odżywczej krwi ze swą zawartością tlenu każda żywa tkanka ulega martwicy. Oczywiście, również łatwo nastąpi zaczopowanie, gdy na ścianie naczynia utworzy się zakrzep (*thrombosis*). Na szczęście natura radzi sobie sama: niejednokrotnie zakrzepy zostają wtórnie skanalizowane i krew ponownie dopływa do niedotlenionych i niedożywionych odcinków mięśnia sercowego.

Tętnice wieńcowe, dowożące krew utlenioną do samego mięśnia sercowego, zaczynają się rozgałęzieniem już na początku biegu aorty. Rzecz prosta, ściana tętnic, jak każda żywa tkanka ustroju, broni się, reaguje na obecność obcego ciała. Komórki żerne (*fagocyty*) starają się wchłonąć lipoidy i usunąć je. Nie udaje się im to całkowicie, ulegają rozpadowi. Na ich miejsce rozwija się tkanka włóknista (*fibrosis*), twardsza, stąd nazwa — miażdżyca — atherosclerosis (*atheroma* = kasza, *sclerosis* = stwardnienie).

Zmiany włókieniste, poza warstwą wewnętrzną, mogą obej-

mować i inne części tętnic. Musimy więc, zgodzić się, z tym, że podstawowym zjawiskiem miażdżycy jest odkładanie się ciał tłuszczowych (lipoidów) w błonie wewnętrznej średniej wielkości i większych tętnic ustroju. Należy jednak wspomnieć i o innych poglądach. Zdaniem na przykład Duguid'a (Anglia) pierwotnym objawem jest zjawienie się zakrzepu krwi (*thrombosis*) na powierzchni błony wewnętrznej i dopiero wtórnie zakrzep ten przechodzi zmiany (organizuje się) i powoduje zwężenie światła tętnicy. Winternitz natomiast sądzi, że obecność ciał tłuszczowych jest zjawiskiem wtórnym, wynikającym z rozpadu krwi w następstwie wylewu krwawego (*haemmoragia*) do ściany tętnicy.

Miażdżyca uważana jest przez współczesnych uczonych za chorobę powstałą wskutek wadliwej przemiany tłuszczów, polegającej przeważnie na odkładaniu się lipoidów i głównie jednego z ich składników, cholesterolu (grającego rolę ,,czarnego charakteru'' w tym dramacie) w ścianach tętnic. Proces ten trwa długie lata, nie powodując ujemnych, szkodliwych skutków, aż do wieku średniego i późniejszych lat. Żółte punkciki powiększają się, zmieniają się w plamki, a później, wskutek opisanych zmian włóknistych i odkładania soli wapnia — w blaszki. Blaszki stają się coraz większe, uwypuklają się do wnętrza (światła) tętnic, a w miarę czasu, upływających miesięcy i lat przychodzą zmiany wtórne: rozpad komórek zawierających tłuszcze, wyzwalanie się tłuszczu, zwłóknienie, zmiany szkliste i zwapnienie.

Ciekawe jest, że zmiany te występują w aorcie, w tętnicy głównej brzusznej, we większych i średnich tętnicach (serca, mózgu i nerek), najmniej zaś dotykają tętnic jelit i żołądka (!), i oszczędzają małe tętniczki. Jest to jedna z tajemnic miażdżycy. Wybiórcze atakowanie w tym samym ustroju, w tych samych warunkach bytowania jednych tętnic, a oszczędzanie innych.

*Podstawowym zjawiskiem,* doprowadzającym do miażdżycy (*atherosclerosis*) jest nacieczenie, infiltracja błony wewnętrznej tętnic ciałami tłuszczowymi (*lipoidami*). Błona wewnętrzna (*intima*) tętnicy wskutek tego grubieje, ulega dalszym przemianom, o których już wspomnieliśmy, i światło tętnic zwęża się. Jak już zaznaczyliśmy, pierwszą uchwytną zmianą (gołym okiem, lub pod mikroskopem) jest maleńki żółtawy punkcik, wielkości główki od szpilki, na ścianie naczynia. Zmiany te bardzo wcześnie zjawiają się na ścianie aorty (tętnicy głównej) piersiowej, odchodzącej od serca i rozwożącej poprzez swe rozgałęzienia krew tętniczą, utlenioną do całego organizmu.

## IM WYŻSZA STOPA ŻYCIOWA...

Skoro już zapoznaliśmy się w popularnym skrócie z mechanizmem zmian miażdżycowych w ustroju człowieka, rozważmy, jakie wynikają z tych spostrzeżeń wnioski.

Smutna i bezskuteczna próba sił między Zachodem i Wschodem na terenie Korei przyniosła, jako uboczny produkt, frapujące spostrzeżenia anatomo-patologów. U 10% żołnierzy zabitych w akcji (średni wiek : lat dwadzieścia trzy) światło jedne z głównych tętnic wieńcowych było *zwężone* a w ponad pięćdziesiąt procent wypadków stwierdzono zmiany na skutek blaszek o obfitej zawartości cholesterolu. Inne tętnice tych młodych Amerykanów były nieznacznie lub prawie niezmienione.

Znamienne więc dla miażdżycy jest nierównomierne, ,,łaciate'' rozmieszczenie zmian w ustroju ludzkim. Występują ju w wieku młodym w aorcie i w tętnicach wieńcowych serca, a w wieku od trzydziestego do pięćdziesiątego roku życia takż w tętnicach mózgowych i nerkowych, natomiast w tętnicach promieniowych (*arteria radialis*) nie występują nawet u osób w wieku dojrzałym. Znakomity White stwierdza, że na dziesiątki tysięcy ludzi, których badał w ciągu swej długoletnie kariery lekarskiej, stwierdził brak zależności między istnieniem zmian w tętnicach promieniowych a zmianami w tętnicach wieńcowych serca. Jest to zastanawiające spostrzeżenie, gdyż całe pokolenia lekarzy wychowywano w mniemaniu, że dokładne badanie (obmacywanie) tętnicy promieniowej (tak zwanego pulsu na ręce) pozwala ocenić stopień arteriosklerozy u badanego pacjenta.

Zasługą Windausa, chemika niemieckiego, jest wykazanie, że blaszki miażdżycowe zawierają cholesterol.

*Drugim* momentem niezmiernej wagi było spostrzeżenie, że arterioskleroza jest chorobą ,,plutokracji'', odżywiającej się produktami pochodzenia zwierzęcego (tłuste mięso, masło, tłuste sery, jajka, śmietana i pełnowartościowe mleko), że jednym słowem jest ona rezultatem tak zwanego ,,*high-living*'' — ,,wyższej stopy życiowej)''. Warto może przy tej sposobności podkreślić, że szkodliwość ,,dobrej kuchni'' w sensie obfitego i ,,bogatego'' jedzenia nie uszły uwagi i dawniejszych obserwatorów. W 1558 roku Cornaro, który dożył wieku 100 lat, ogłosi dzieło pt. ,,Trattato de la Vita Sobria''. Cornaro uczynił z konieczności cnotę : sam cierpiał na ciężką ,,niestrawność'' i zmuszony był do umiarkowanego trybu życia. Doszedł do wniosku, porównując swój tryb życia i innych, że wstrzemięźliwość jest najważniejszym środkiem do osiągnięcia długowieczności i głosił że wskutek luksusu więcej ludzi zginęło we Włoszech ni w następstwie chorób i wojen.

W tym momencie nasuwają mi się własne wspomnienia wojenne. Na wiosnę 1940 roku zostałem zaaresztowany prze bolszewików za usiłowanie przekroczenia ,,granicy'' w drodze z Grodna do Wilna. I w niespełna czterysta lat po ogłoszeniu powyższych uwag Cornaro byłem świadkiem ,,wprowadzenia'' a raczej przepchnięcia do celi więzienia w Baranowiczach kapitana L., osadnika wojskowego na Kresach. Był on w stanie ciężkiej niedomogi mięśnia sercowego, miał nogi spuchnięte i ledwie wydobywał z siebie głos. Po kilku miesiącach ,,diety''

więziennej (suchy chleb, cieniutka zupa z odpadkami wnętrzności), gdy po zaocznym wyroku pięciu lat łagrów, zostaliśmy w tym samym transporcie więźniów odstawieni koleją do Orszy (w oczekiwaniu dalszego transportu) kapitan L. odbył pieszo, bez trudu, trzykilometrową odległość dzielącą więzienie od stacji kolejowej w Orszy. Niedożywienie podziałało zbawiennie na jego układ krążenia, nie wiem jednak jak zniósł dalszą ,,kurację'' głodową w połączeniu z ciężką pracą fizyczną w Komi ASSR, gdzie wraz z tysiącami innych Polaków budował nasyp na kolej z Kotłasu do Kożwy. Tam z kolei bywały dni gdy po kilkanaście ofiar obozów ,,poprawczych'' ginęło w ciągu pierwszej doby po przybyciu do szpitala; wśród nich byli i znani przed wojną młodzi wysportowani atleci. Nie ulega wszakże wątpliwości, że krótki okres ograniczeń dietycznych w sposób nieoczekiwany usunął wiele dolegliwości sercowych i między innymi powstałe na tym tle niedomogi tętnic wieńcowych (*angina pectoris* i skutki zawałów).

Miażdżyca rzadko występuje u ludności biednej i u osobników, których głównym pożywieniem są jarzyny i produkty zbożowe.

Spostrzeżenia te stały się punktem wyjścia z jednej strony dla doniosłych doświadczeń na zwierzętach, u których usiłowano wywołać miażdżycę doświadczalnie, a z drugiej — rozległych badań ludzi w różnych krajach, o rozmaitych zwyczajach i różnych sposobach odżywiania. Zestawienie wyników tych dwóch kierunków badań stanowi podstawę naszych obecnych poglądów nie tylko na istotę i sposób powstawania arteriosklerozy, lecz również i drogowskaz dla naszych usiłowań zwalczania, leczenia i co ważniejsze, zapobiegania tej klęsce dwudziestego stulecia.

## PROBLEM NASZPIKOWANY PARADOKSAMI

Próby wywołania miażdżycy u zwierząt doświadczalnych, na przykład królików, przy pomocy wstrzykiwań różnych substancyj chemicznych (adrenaliny, digalenu, strofantyny, baru etc.) w niewielkim stopniu przyczyniły się do wyjaśnienia istoty i mechanizmów, prowadzących do rozwoju miażdżycy. Badania te, do których wybitnie przyczynili się uczeni polscy (Z. Orłowski, Mięsowicz, Rzętkowski, Otto) wykazały, że można spowodować ciężkie uszkodzenia w ścianach tętnic na skutek podawania powyższych substancyj, czy też wszczepiając nadnercze, jak to uczynił *Hornowski* — lecz wywołane zmiany są odmienne od zmian miażdżycowych, spotykanych u człowieka.

Dopiero *Ignatowskiemu* w 1908 roku udało się po raz pierwszy wywołać u królików ,,miażdżycę pokarmową'', żywiąc je mięsem, mlekiem i jajami. Nie wiadomo było, oczywiście, czy miażdżyca u królików została wywołana przez dowóz białek czy też tłuszczów, lecz około roku 1910, po przeprowadzeniu szeregu doświadczeń, nie ulegało już wątpliwości, że

białka „nie zawiniły"; zwierzęta karnione tylko białkami, ni wykazywały zmian miażdżycowych. Bardzo szybko, bo w kilk lat później *Aniczkow* w Rosji i inni uczeni w Niemczech stwier dzili, że króliki karmione przez długie okresy pokarmami, za wierającymi cholesterol (żółtka jaj, mózgi), wykazują te sam zmiany arteriosklerotyczne, jakie stwierdza się w aorcie ludz kiej.

Spostrzeżenia te spotkały się z krytyką i niedowierzaniem Zmiany te, jak twierdzono, można wywołać sztucznie tylk u jednego rodzaju zwierząt (królików), przebieg ich jest od mienny niż u człowieka, ilości cholesterolu potrzebne do ich wy wołania nie stoją w żadnym stosunku do ilości spożywanyc przez ludzi. Zatem, jak głosili sceptycy, wyniki uzyskane n zwierzętach są dla medycyny bez znaczenia.

Jednakże już w 1922 roku *Yamaguchi* donosi o wywołani arteriosklerozy u kurcząt, karmionych żółtkiem jaj, a *Dauber Stamler* i *Katz* potwierdzają te wyniki, po dodawaniu czysteg cholesterolu do normalnego pożywienia. Innym eksperymenta torom udało się, nie bez trudu, spowodować zmiany miażdżycow u psów, po podawaniu im cholesterolu (lecz dopiero wtedy, gd obniżono sztucznie czynność tarczycy i gdy stosowano diet ubogą w białko) oraz u małp (Cebus), tylko wtedy, gdy usunięt z diety methioninę. U psów, królików i u kurcząt zmiany miaż dżycowe występują znacznie szybciej i łatwiej, po wywołani u tych zwierząt podwyższonego ciśnienia krwi — zupełnie zreszt podobnie, jak to się dzieje u ludzi.

Problem arteriosklerozy naszpikowany jest paradoksami, ni więc dziwnego, że do ostatnich czasów nie wszyscy uczen są całkowicie przekonani o podstawowej roli cholesterolu w rodo wodzie miażdżycy. Fakt, że nikomu nie udało się wywołać arte riosklerozy u żadnego ssaka, żywionego pokarmem o niskie zawartości cholesterolu, nie wydaje się widocznie dość prze konywujący. *Lober* w Minnesota stwierdził, że odkładanie si cholesterolu u niemowląt w ciągu pierwszego roku jest niezwykl szybkie. *Bragdon* zaś doniósł, że noworodki królicze wykazuj w pierwszych dniach podobny skok cholesterolu w osoczu krwi co niemowlęta w ciągu pierwszych dni po narodzeniu i ż postępujące odkładanie się cholesterolu w tętnicach niemowlą ludzkich i nowonarodzonych królików zanika po odstawieniu o piersi. Mleko królicze zawiera trzy razy tyle cholesterolu, c mleko ludzkie.

W porównaniu z innymi gatunkami człowiek jest racze zwierzęciem długowiecznym. To nie arterioskleroza jest przy czyną krótkiego żywota zwierząt. Jako zjawisko naturalne miaż dżyca spostrzegana jest tylko u kurcząt. Normalnie bowiem u innych zwierząt jak: krowy, psy, owce, szczury, króliki ni stwierdza się zmian miażdżycowych.

Jednym z głównych problemów jest pytanie co decyduj o losach człowieka, a więc między innymi o tym czy zachoruj na arteriosklerozę serca: garnitur chromozomów przyniesionyc

na świat, podarunek naszych przodków, czy też warunki zewnętrzne? Czy miażdżyca tętnic wieńcowych rozwija się u danego osobnika wskutek dziedzicznego, rasowego czy konstytucjonalnego obarczenia, czy też jest wynikiem trybu życia, zawodu, odżywiania, nadużycia alkoholu i tytoniu.

## GRUPY KRWI

Dowód znaczenia terenu, to jest czynników wrodzonych w zapadaniu i wrażliwości na płonicę i błonicę — choroby zdawałoby się niewątpliwie zależne od zetknięcia się z zarazkiem chorobotwórczym — przeprowadzili w sposób oryginalny i błyskotliwy trzej lekarze polscy: Ludwikowstwo *Hirszfeldowie* i dr *Brokman* (znany pediatra warszawski).

Obserwacja kliniczna stwierdziła niezbicie istnienie odporności, względnie wrażliwości rodzinnej na te lub inne choroby.

Jak wiadomo, odczyn Schick'a pozwala nam stwierdzić, czy badany osobnik wykazuje skłonność do zachorowania na błonicę (dyfteryt); dzięki temu odczynowi możemy wywnioskować, czy osobnik posiada we krwi lub w tkankach antytoksyny dyfteryczne, względnie zdolność do ich szybkiego wytwarzania.

*Hirszfeldowie* i *Brokman* określili na członkach znacznej liczby rodzin odczyn Schick'a oraz odczyn Dick'a (stwierdzający wrażliwość na płonicę — szkarlatynę), oraz grupę serologiczną tych osób. Badania te doprowadziły autorów do trzech ważnych dla nas wniosków:

1) Między odczynem Schick'a a grupą krwi istnieje ścisła zależność; gdy jedno z rodziców posiada dodatniego Schick'a, a drugie ujemnego, to dzieci z tą samą grupą krwi, jaką ma jedno z rodziców o dodatnim Schick'u, wykazują również dodatni odczyn, dzieci zaś z grupą taką samą, jak u jednego z rodziców z ujemnym odczynem Schick'a również przeważnie wykazują ujemny odczyn.

2) Odczyn Schick'a został przekazany potomstwu zgodnie z prawami dziedziczności Mendla.

3) Odczyn Schick'a wydaje się cechą dziedziczną, związaną z płcią żeńską, co zgadza się ze spostrzeżeniami klinicznymi, wykazującymi większą skłonność kobiet do zapadania na dyfteryt.

Wspomnimy również o studiach *Roslinga,* który zbadał 97 rodzin kopenhaskich (253 dzieci) pod względem ich odporności na dyfteryt i stwierdził, że odporność na tę chorobę jest dziedziczna i zachowuje się jak cecha dominująca.

Z powyższego wynika, że odporność na dyfteryt, będąc cechą dziedziczną skorelowaną z czynnikiem natury niewątpliwie konstytucjonalnej, nie może wyłącznie zależeć od czynników zewnętrznych, ale posiadać musi podstawę wrodzoną, konstytucjonalną.

To, że dany człowiek posiada taką czy inną grupę krwi, A, B, AB czy O (i wiele innych podgrup) samo przez się nie jest czynnikiem chorobotwórczym. Niektórzy uczeni (*Wiener*) sądzą, że grupy krwi posłużyć mogą jako podstawa do podziału na grupy rasowe, a *Boyd* (1950) przy pomocy dość wyrafinowanych metod konkretnie wyodrębnia 6 grup rasowych, opartych na różnicach w grupach krwi. Zasługą *Hirszfeldów* i szeregu innych badaczy są usiłowania ustalenia związku między grupami krwi a poszczególnymi chorobami.

Ostatnio, w szpitalach brytyjskich stwierdzono, że pacjenci z chorobą wrzodową żołądka częściej wykazują grupę O, niż ogół ludności. Typ A zaś statystycznie częściej występuje u osobników, dotkniętych rakiem żołądka.

Jeśli chodzi o korelację między miażdżycą naczyń wieńcowych serca a grupami krwi, posiadamy dość skąpe dane, ogłoszone przez *M. Gertlera* i P. White'a (1954) w ich znakomitej monografii o chorobie wieńcowej u młodych mężczyzn. W grupie około 100 mężczyzn, dotkniętych miażdżycą naczyń wieńcowych serca (zawały), stwierdzili mniejszy procent osobników grupy O i grupy O z dodatnim Rh (tzw. Rhecus factor), lecz większy procent grupy A i grupy A z dodatnim Rh, aniżeli analogiczna konkretna grupa mężczyzn, wybrana dla celów porównawczych.

## CZY MURZYNI CHORUJĄ NA SERCE?

Obecnie większość lekarzy jest zdania iż zakażenie lub zapadanie na chorobę, jej przebieg, śmierć lub wyleczenie, i w ogóle skłonność do zapadania na jakiekolwiek cierpienia, a więc i na miażdżycę naczyń wieńcowych serca zależy od właściwości ustroju, czyli tak zwanej konstytucji człowieka. Muszę tu jednak wspomnieć iż nie jest to ogólnie przyjęta teoria; poważna grupa lekarzy odnosi się sceptycznie do ,,koncepcji konstytucyjnej'' i uważa iż zniknie ona, podobnie jak pojęcie ,,fatum'' wówczas kiedy postęp nauk lekarskich pozwoli na ścisłe określenie istoty poszczególnych dyspozycji poszczególnych jednostek do pewnych chorób.

Jednakże już dziś można zaobserwować szereg niezmiernie interesujących zjawisk w tej dziedzinie.

Grupy etniczne napływowe, żyjące w identycznych warunkach geofizycznych co i ludność autochtoniczna danego obszaru stanowią doskonały materiał porównawczy dla wyjaśnienia oddziaływania czynników wrodzonych i odziedziczonych niezależnie od wpływów środowiska na biochemiczny i patologiczny aspekt natury ludzkiej.

I tak na przykład Żydzi w Europie Środkowej i Wschodniej, Murzyni i zwarte, nie-Anglo-saskie grupy narodowościowe w Stanach Zjednoczonych stanowią, czy stanowiły, pod tym względem wspaniałe laboratoria.

Ostatnio dzięki wprowadzeniu stawowego ,,Apartheidu'', rozdziału fizycznego i prawno-politycznego trzech głównych ras zamieszkujących Unię Południowo-Afrykańską, potomków Europejczyków, Bantu czyli najogólniej rzecz biorąc ,,Murzynów'' i tak zwanych ,,Kolorowych Przylądkowych'' — Cape Coloureds — mieszańców Malajsko-Indusko-Afrykańsko-Europejskich, Afryka południowa stała się źródłem wymarzonego materiału dla badania wpływu wywieranego przez czynnik rasowy na ujawnienie się nowoczesnej plagi — arteriosklerozy.

Przymusowa segregacja ludności Związku Południowo-Afrykańskiego w zależności wyłącznie od kryteriów rasowych poruszyła sumienia wszędzie tam gdzie wartości etyczne nie uległy jeszcze całkowitej dewaluacji. Przeciwko ,,Apartheid'' protestują przedstawiciele Kościoła i nauki, organizacje społeczne i polityczne i w Afryce Południowej i poza jej granicami. Zupełnie ubocznie — i w pewnym sensie niechcący — ustawy partii nacjonalistów południowo-afrykańskich nakazujące utworzenie oddzielnych stref zamieszkania, szkół, uniwersytetów i kościołów dla ludności białej, czarnej i kolorowej zdają się zapowiadać postęp w badaniu i zwalczaniu największej klęski chorobowej XX wieku — arteriosklerozy tętnic wieńcowych, to jest zawałów serca i ,,anginy pectoris''.

## OGÓLNA KLASYFIKACJA RASOWA AFRYKI

W latach 1955 i 1956 ukazały się świetne zestawienia dotyczące różnych objawów arteriosklerozy występującej wśród ludności Afryki na południe od Sahary. Autorzy ich postawili sobie za zadanie stwierdzenie w pierwszym rzędzie roli czynników genetycznych, odziedziczonych i wrodzonych, oraz wpływu otoczenia na występowanie miażdżycy naczyń wieńcowych.

Tu należy sobie, w najogólniejszym zarysie, przypomnieć skład rasowy Afryki. Ludność jej, wedle dość ogólnie przyjętej klasyfikacji Lorda Hailey (African Survey, Oxford University Press, 1938) składa się z trzech zasadniczych grup. Najstarszą i wymierającą obecnie jest rodzina Buszmeńsko-Hottentocka, przy czym nie jest jeszcze dokładnie zbadane czy i o ile łączą się z nią pigmeje z puszcz Ituri w Kongu Belgijskim, dalej idzie wielka grupa Hamicka, wywodząca się prawdopodobnie z Arabii Południowej. Dzieli się ona na dwie podgrupy, Wschodnią jak Somalisi, Massaje, Galla, w pewnym stopniu Amhara i plemiona tak zwane Milotów, południowego Sudanu, jak Dinka, Szilluk i Anuak, i zachodnią czyli Berberów. Starożytni Egipcjanie i Libijczycy czyli ,,leukoetiopowie'' opisywani przez Herodota byli również Hamitami.

Znakomitą większość tubylczej ,,podsaharyjskiej'' Afryki stanowią jednak tak zwani Murzyni, rasa czarna, ogólnie zwana Bantu, co w najbardziej rozpowszechnionych narzeczach ich oznacza po prostu ,,ludzie''.

Narzecza „Bantu" i związana z nimi szczególna cywilizacja rolnicza i matriarchalna panują od łuku rzeki Niger i górnego Nilu aż do samego południowego cypla Afryki. Bantu — zwani czy zwący się w Południowej Afryce „Nguni" — wyparli Buszmenów i Hottentotów, posuwając się od północy, od dorzecza Kongo, jeszcze przed zetknięciem się, z europejskimi kolonistami którzy pojawili się w Afryce Południowej w połowie XVII wieku.

Z punktu widzenia badań nad arteriosklerozą bardzo istotną społeczność stanowią „Cape Coloureds". Poziomem życia zbliża się ona bardziej do wzorów europejskich aniżeli afrykańskich, jest zupełnie odmienną rasowo od Bantu a procent krwi europejskiej jest w niej bardzo nieznaczny.

Przegląd dawniejszych prac statystycznych i spostrzeżeń klinicznych wykazuje, że u ludów pierwotnych nie występuje korelacja między arteriosklerozą naczyń wieńcowych serca, a arteriosklerozą ogólną, to jest pozostałych tętnic organizmu.

W roku 1954 Walker, Higginson i inni lekarze z Johannesburgu stwierdzili, iż ciężkie formy miażdżycy tętnic wieńcowych serca, ujawniające się czy to wśród pacjentów w szpitalach w postaci anginy pectoris czy też w formie zakrzepów tętnic wieńcowych i zawałów serca na materiale sekcyjnym są wśród Bantu wielką rzadkością w porównaniu na przykład z Danią.

Podobnie lżejsze postacie arteriosklerozy znacznie częściej występują u ludzi rasy białej. Potwierdza to spostrzeżenie Beckera z roku 1946, iż zakrzep tętnic wieńcowych, mimo istnienia zmian miażdżycowych, zwłaszcza w starszym wieku jest zjawiskiem mało spotykanym wśród Bantu. Czytelnicy bliżej interesujący się tym zagadnieniem znajdą dane w świetnym szkicu Elliota (1953) zatytułowanym „Tętnice wieńcowe i ich schorzenia wśród Bantu". Autor podkreśla w nim uderzający kontrast : mimo rzadkości miażdżycy nadciśnienie tętnicze i inne postacie arteriosklerozy wśród Bantu należą do zjawisk dość częstych.

Wśród Murzynów zarówno Afryki Południowej jak i Środkowej (Uganda) zwraca uwagę odporność tętnic serca i aorty na czynniki powodujące arteriosklerozę.

Dr Williams napisał na ten temat w roku 1955, iż nie udało mu się stwierdzić ani jednego przypadku zawału serca wśród tubylców Afryki Wschodniej. Nie spotkał on Murzyna skarżącego się na ból pochodzenia sercowego. Podobne zjawisko stwierdzono w Afryce Zachodniej.

Williams pisze jednak, iż nie zdziwiłby się zupełnie gdyby sytuacja ta uległa zmianie w ciągu najbliższych paru dziesiątków lat. Statystyka lekarska nie jest statyczna: uległa ona w Afryce poważnym zmianom na przykład w częstotliwości zapadania Murzynów na wrzód żołądka.

## CZYM TŁUMACZY SIĘ ODPORNOŚĆ MURZYNÓW?

Po pierwsze istnieje możliwość iż Afrykańczycy posiadają odziedziczony, genetycznie uwarunkowany układ wieńcowy tętnic, który umożliwia szybsze i łatwiejsze powstawanie nowych anastomoz i tworzy tętnicze krążenie oboczne, które niedopuszczają do niedokrwienia mięśnia sercowego mimo zwężenia lub nawet niedrożności którejś z tętnic wieńcowych.

Być może też, iż Murzyni posiadają dziedziczną właściwość odmiennych przemian cholesterolowych, które bronią przed powstawaniem zmian miażdżycowych w naczyniach wieńcowych serca.

Wreszcie, wytłumaczenia zjawiska można szukać w zmniejszonej, wrodzonej czy też wywołanej warunkami zewnętrznymi skłonności do tworzenia zakrzepów w tętnicach wieńcowych, nawet gdy są one miażdżycowo zmienione?

## ANATOMIA CZY SOCJOLOGIA?

Różnice anatomiczne w rozgałęzieniach naczyń wieńcowych zostały stwierdzone wśród Bantu przez Brinka w roku 1947. Opisuje on *trzecią* gałązkę lewej tętnicy wieńcowej u nich podczas, gdy wśród białych istnieją, jak wiadomo, tylko dwie. Ta drobna zmiana anatomiczna jest niewątpliwie ogromnie interesująca z punktu widzenia socjologicznego i antropologicznego.

W Cape Town J.F. Brock i B. Bronte-Stewart doszli w swych wszechstronnych badaniach trzech grup etnicznych zamieszkałych tam do zastanawiających wyników. Okazało się iż schorzenia tętnic wieńcowych (zakrzepy, zawały itd.) najczęściej występują wśród białych, są *dwukrotnie rzadsze* wśród „Cape Coloureds" i należą do *niezmiernie rzadkich wyjątków* wśród Bantu.

Skądinąd zaś europejska ludność Cape Town jest warstwą panującą, odżywia się podobnie jak w Europie i Stanach Zjednoczonych, a Bantu znajdują się na spodzie drabiny społecznej, źle zarabiają i bardzo źle odżywiają się.

„Kolorowi" zajmują stanowisko pośrednie.

## ODPOWIEDNIKI BIOCHEMICZNE „APARTHEID'U"

Poza stwierdzeniem statystycznym istnienia różnic w skłonności do tego cierpienia serca u przedstawicieli trzech wspomnianych grup, lekarze zbadali wśród nich poziom ciał tłuszczowych, a mianowicie zawartość cholesterolu i beta-lipoprotein, to jest dwóch składników, którym przypisywane jest wielkie znaczenie w genezie miażdżycy w ogóle, a miażdżycy naczyń wieńcowych w szczególności. Okazało się, że najwyższy poziom

cholesterolu i beta-lipoprotein stwierdza się u białych, najniższy wśród Bantu a pośrednie ilości wśród ,,Kolorowych''. Średni zarobek białego wynosi od 100 do 200 dolarów tygodniowo, podczas gdy Bantu zarabiają przeciętnie mniej aniżeli 8 dolarów za tenże okres. W obrębie każdej z grup etnicznych zróżniczkowanie wedle skali majątkowej wykazało, że średni poziom ciał tłuszczowych we krwi przebiegał równolegle do tabeli zarobkowej. Poza tą równoległością uwydatnił się jeszcze wpływ innych czynników w obrębie każdej grupy, a mianowicie rodzaj wykonywanej pracy zawodowej i dieta.

Stopień natężenia pracy umysłowej i stanowiska kierownicze w pracy natomiast nie posiadają wielkiego znaczenia jako czynniki sprzyjające powstawaniu zakrzepów, chociaż ostre napięcie emocjonalne może skrócić czas krzepliwości krwi. Spadek ilości zachorowań na chorobę wieńcową serca w krajach okupowanych przemawia wszakże za przypuszczeniem, iż długotrwałe napięcie umysłowe i uczuciowe nie wywiera dominującego wpływu na podatność na te schorzenia.

## ROLA DIETY

Źródłem zła — są tłuszcze zwierzęce, a detonatorem choroby cholestrol, składnik ich nie występujący w tłuszczach pochodzenia roślinnego.

Według najgłębszego przekonania badaczy jak Brock, Bronte-Stewart i Keys różnice ilościowe cholestrolu uwarunkowane są zawartością tłuszczów pochodzenia zwierzęcego w diecie tych trzech grup rasowych. Biali spożywają dwa razy tyle tłuszczu pochodzenia zwierzęcego w mięsie, mleku, maśle, jajkach itd. co Bantu. Ilość natomiast pobieranego w pokarmach tłuszczu roślinnego, jak oliwa i oleje z rozmaitych roślin nie wskazuje na istnienie związku pomiędzy nim a poziomem cholestrolu we krwi badanych osobników.

Wyżej omówione wyniki badań stanowią najmocniejszą podbudowę teorii o roli diety tłuszczowej w powstawaniu i szerzeniu się miażdżycy tętnic wieńcowych serca i zwiększającej się stale śmiertelności od zakrzepów i zawałów serca.

Gdyby teoria ta okazała się doświadczalnie sprawdzalna i słuszna, istaniałaby wówczas uzasadniona nadzieja, iż uda się opanować szerzenie się choroby wieńcowej serca przez ograniczenia dietetyczne lub zastosowanie ostrej diety beztłuszczowej.

*Dr Henryk SPEEDBY-SZPIDBAUM*

# Kat

(p o e m a t)

*na zamku w zadymce*
*czarna chorągiew*
*na drzewcu skacze*
*jak wiedźma*

*po śnie*

*w którym na piętki*
*przylepki*
*piekarczyka pięty*
*czyhał z mieczem*
*ogłupiały gabryel*

*po śnie*

*który zbił*
*do krwi*
*przechadzam się*
*wśród akacji zimy*
*zostawiając kałuże krwi*
*wielkie*
*jak rękawice katów*

*którzy*
*grają w bilard*
*kulami gładkimi*
*czerwonymi*
*z włosów księżniczek*
*które*

*zarżnięto jak koguty*
*och*
*i trzepotał ogień*
*rajerów*
*piór*
*wracając*
*to kule biedronkami*
*pospinane*
*kij biedronki*
*otrząsa*
*ach*
*tak*

*zaś*
*na innym stole*
*samotna*
*złota kula*
*warczy krąży*
*i co chwila*
*podrzuca ją*
*w górę*
*śmiech z fausta*
*prawdziwie królewski*
*ach*
*tak*

*lecz katom*
*nudzi się gra*
*więc*
*w szkarłatne*
*zmieniają się*
*sowy*

*i lecą tam*
*gdzie na rozstaju*
*w rękach trzech*
*bezradnie obraca*
*czerwony kapelusz*
*księżyca*
*krzyż*
*bezgłowy*
*ach*
*tak*

*a pod krzyżem*
*na śniegu kona*
*w zielonej szacie*
*malowanej w koniczynek*
*fiolet*
*matka koni*

*próżno źrebaczki*
*wokół klęczą*
*oszronionymi grzywami*
*prawie że dźwięczą*

*grzywami powiewają*
*chcą z gorączki*
*w której żłobem*
*mkną maleńkie*
*rydwany*
*i rozsypują się*
*w srebrny owies*

*źrebaczki*
*chcą z tej gorączki*
*matkę ochłodzić*
*ale nikt na to*
*nie chce się*
*zgodzić*
*ach*
*tak*

*na szczycie krzyża*
*śmierć z końskim*
*ogonem*
*z tyłu u czaszki*
*z książeczką*
*w piszczelu*

*na którym pierścienie*
*kwadratowe kościane*
*w nich*
*w niebieskim płynie*
*złote traszki*

*ta śmierć*
*huśta się na krzyżu*
*w kolanach*
*aby tym efektowniej*
*w szalonym pędzie*
*wirującej ziemi*
*wskoczyć*
*na mamusię koni*
*ach*
*tak*

*lecz oto*
*pod nieba białym*
*ogromnym*
*zimowym grzybem*
*kaci lecą*

*i śmierci*
*białe kwiaty*
*pokrzyw*
*w oczodołach*
*aż świecą*

*i skacze*
*do nich*
*i liże*
*puszyste policzki*

*i oddaje się*
*jej kościana miednica*
*pełna trzepoczących*
*puszystych*
*skrzydeł*
*ach*
*tak*

*i tylko jeden*
*kat*
*dwa*
*zatknąwszy sobie*
*skrzydła sowie*
*za uszy*
*nabił na płot*
*królewny głowę*
*i przykazawszy ptakom*
*szczypać w policzki*
*aż*
*do czerwonych kółek*
*odszedł*

*tymczasem*
*sowokaty*
*tak śmierć całowały*
*że aż jej oczka*
*kwiaty pokrzyw*
*całkiem wydziobały*

*ślepa śmierć*
*odchodzi płacząc*
*zaspami*
*a stary diabeł ją*
*podtrzymuje*
*i kręci nieprzytomnie*
*głową*
*bo pełno ma*
*w kudłach*
*traszek*

*które skaczą nań*
*z pierścieni śmierci*
*bezradnie obraca*
*ach*
*tak*

*widząc to kaci*
*raka spiekli*
*wyżarli go sobie*
*zaraz kłami*
*i uciekli*

*no*
*a mamusia koni*

*ona się z jednym katem*
*związała*
*czerwone rękawice*
*niebieskie kopyta*
*księżyca srebrny promień*
*wiązał*
*oświetlając przepięknie*
*krzyż*
*ach*
*tak*

*kat głowę mamusi koni*
*ściął*
*i tę z płotu*
*wziął*
*i oto*

*mamusia koni z głową księżniczki*
*jej włosy rozczesane*
*na lewą stronę*
*czarne*
*prawowite*
*a na prawą*
*złote*
*rdzami krwi*
*okryte*

*mamusia koni*
*z zadem*
*tak delikatnym*
*że jeżeli go nawet*
*chmurka dmuchawca*
*dotknie*
*na całe życie*
*ślady zostaną*

*jak od ptasich*
*nóżek*
*ach*
*tak*

*mamusia koni*
*ząbkami księżniczki*
*ogryza swą dawną*
*głowę*

*jak kaczan kukurydzy*
*czarnymi włosami się*
*krztusi*
*aż ją w kark*
*mąż*
*tak bić musi*
*aż rży*
*z bólu*
*ach*
*tak*

*no*
*a źrebaczki*
*przodem*
*kopytka matki*
*niosą*
*i dzwonią*
*i zbierają jak grosze*
*srebrne perełki*
*śpików*
*wróblowych straszników*
*na naszyjnik*
*ach*
*tak*

*no*
*a kat*
*z sowimi skrzydłami*
*on pisze wam*
*wszystkimi*
*mrocznymi piórami*

*testament do widzów*

*i oto jego pieczątka*
*diabeł w akcie*
*na rynku w krakowie*
*i oto podpis*
*jerzy*
*harasymowicz.*

# Ali Djouadar

Czas pracy popołudniowej zmiany w czesarni wełny dobiegał końca. Była za dziesięć dziewiąta wieczorem. Jedne maszyny tały już nieruchomo; inne zatrzymywano właśnie w tej chwili, jeszcze inne wolno było zatrzymać za pięć dziesiąta. Natomiast zesarki zatrzymywano na gwizd syreny, oznajmiającej koniec racy. Szatnia szybko napełniała się półnagimi robotnikami, ychodzącymi w pośpiechu z umywalni. Oczy wchodzących, przyrnrożone w ironicznym półuśmiechu, kierowały się jak igły nagnetyczne w stronę brunatno-skórego Algierczyka. Ten, zamiast podkoszulki, miał na sobie damską halkę. Halka koloru óżowo wypłowiałego, była bardzo źle, ale tylko co wyprana, Ali wiedział o tym dobrze, bo wkładał ją do swoich drelichoych portek z widoczną dumą i z wielce ceremonialną ostentacją ak nigdy przedtem. Inni, biali współtowarzysze pracy, znacząco trącali się wzajemnie łokciami. Nikt nie chciał przedcześnie spłoszyć nic nie spodziewającego się Alego. Chcieli ię do syta napatrzeć, nacieszyć oczy tym śmiesznym, bardzo mieszny w ich mniemaniu, widokiem. Trwało to bardzo długo, ak długo aż Ali z pieczołowitą starannością ułożył doły koszuli łęboko w spodniach. Jego sąsiad z najbliższej szafy, Maurice erstraat, był urodzonym komikiem. Im sytuacja była śmieszniejsza, tym Maurice miał twarz bardziej posągowo-poważną tym właśnie bawił innych. Wybuchał natomiast głośnym ryiem śmiechu, kiedy sam tego chciał, kiedy inni już dawno przetali się śmiać, lub przynajmniej nie widzieli powodu, do uzewętrzniania swojej wesołości. Teraz zapytał Alego bardzo poważie.

— A czemu to tak wkładasz dziś koszulę głęboko do portek?

— Aby mi było w nogi ciepło — odpowiedział przekonyująco.

— Hmm! *pas bête* — Alemu oczy zalśniły z zadowolenia; zachęcony taką pochwałą ciągnął dalej: — Na dworze jest zimno, a tak mi będzie cieplej, bo koszula jest bardzo długa.

— Oj Ali! Masz dobrą głowę — potwierdził Maurice poważnie, stukając mocno wskazującym palcem w wąskie i śniade czoło Alego, któremu teraz jeszcze bardziej oczy zabłysły z zadowolenia. Wyprostował się i spojrzał dumnie po otoczeniu szukając dalszej aprobaty.

W tej samej chwili Maurice wsadził rękę w zanadrze halki, palcem od wewnątrz wyprostował miejsce przeznaczone na kobiece piersi, a drugą począł pieszczotliwie gładzić : — *Ah! quel joli, joli teton!* — Na ten znak, jak na komendę, wybuchł dawno hamowany śmiech.

Zdziwienie i strach w mgnieniu oka przemieniły zadowoloną twarz Alego w wykrzywioną maskę. Czarnymi ślepiami na wpół wylazłymi z orbit, wodził nerwowo po rozbawionym otoczeniu. Powiedzenie — że im powłoka rafinowanej cywilizacji jest cieńsza, tym mniej są ukryte stany uczuciowe człowieka: radość, strach, złość,.... — znalazło w Alim całkowite potwierdzenie. Tajemnica perfidnego skoku — od pochwał do pośmiewisk — była dla niego trudna do zrozumienia. Przez dłuższą jeszcze chwilę miotał bezradnie wzrokiem naokoło, szukając jak gdyby pomocy. W końcu połapał się o co chodzi i począł się gwałtownie uwalniać od pieszczot Maurice'a. Maurice wypuścił od razu swoją ofiarę, ale inni uczepili się jej.

— Co to Ali, gdy żeś robił nik-nik z twoją babą, to wam się koszule pomyliły? Co to Ali, u ciebie światła nie było, żeś swojej koszuli nie poznał? Oj Ali, Ali! to nie ładnie co ty robisz! Aach! to taki samiec z ciebie, że nawet przy robocie się bez baby obejść nie możesz, w jej koszuli chodzisz. Temu tę koszulę tak głęboko do portek pchał. Oj! Ali nie głupi! — No no... — Silił się Ali na słowo obrony. Wreszcie się zdobył.

— Koszula męska, babska, co za różnica? To wszystko jedno! — Śmiech się nie powiększył. Niektórzy kiwali głowami.

— Tak, to może we Francji, ale nie w Belgii — odpowiedział Maurice.

— Dlaczego!? — zapytał wrzaskliwie Ali. W szatni się nieco przyciszyło, z ustami gotowymi do śmiechu oczekiwano końca dialogu.

— Bo niechby tylko kogoś w Belgii policja zobaczyła w damskiej koszuli — tłumaczył spokojnie Maurice — to zaraz z nim... Tu gestami rąk zobrazował, że złapałaby go za kark i zamknęła pod klucz.

Robotnicy pracujący w huku maszyn wytwarzają swoisty sposób porozumiewania się na migi. Dla skrótu i pewnego efektu porozumiewają się w ten sposób nieraz i poza pracą.

— Dlaczego? — pytał z przesadną energią Ali.

— Bo... — Wskazującym palcem Maurice postukał się po głowie, co miało oznaczać, że wariat. Gromki wybuch śmiechu

— Nie! Nieprawda! — protestował Ali, ratując uparcie beznadziejną sytuację. — We Francji, w Belgii, wszędzie jednakowe koszule!...

Przez głośniki ryk syreny zagłuszył dalsze wywody i dalsze śmiechy. Wszyscy zaczęli szybko opuszczać szatnię. Został tylko Ali. W pośpiechu upychał pięściami wyszarpaną z portek długą koszulę.

Majster René odczekał aż ostatni roboczy tornister zniknął w drzwiach. Przesunięciem rączki w dół wyłączył prąd w całym asortymencie. Kir grubej ciemności przysłonił oczy Alemu. Począł wołać desperacko:

— Hej tam! Jeszcze ja tu! Jeszcze nie! Heej!... — Światło zabłysło. Majster przyczajonym krokiem szybko szedł w stronę szatni.

— A ty co tu jeszcze!? Wynoś się stąd! Na ciebie jednego może zawsze będę czekał!? Stojąc boso na cementowej posadzce próbował Ali bronić się jeszcze raz.

— To oni się śmiali. Maurice... Koszula męska, babska w Belgii nie ta sama, mówili.

— Nie pleć mi głupstw! Wyłaź stąd i to szybko! — majster urwał rozmowę, zawrócił sprężyście i odszedł, by czekać obok wyłączników. Ali istotnie zaczął się śpieszyć. Szybko włożył gruby płaszcz; zasunął grubą czapkę z nausznikami. Skarpety z podartymi piętami wsadził do kieszeni; nie miał czasu ich wkładać. Wsunął jeszcze szybko na nogi szmaciane łapcie. Złapał w jedną rękę płócienną torbę, w drugą ładny szal, bo czerwonego, niebieskiego, zielonego i żółtego koloru, śpiesząc w stronę drzwi okręcał sobie nim szyję. Majster nie czekał, aż Ali wyjdzie na korytarz; zgasił, skoro ten opuścił szatnię. Ali przynaglił kroku, pół biegiem kierował się w stronę korytarza, skąd dolatywało słabe nocne światło. Gdy zeszedł po schodach w dół, na głównym korytarzu było jeszcze normalnie jasno i ruchliwie. Robotnicy ustawieni w ogonkach, które teraz były już bardzo krótkie, stemplowali powoli swoje kartki. Nie śpieszono się, gdyż na dworze padał zimny deszcz ze śniegiem. Ali szybko odbił kartkę przy zegarze swojego asortymentu, wsunął ją do numerowanej przegródki, i w pośpiechu wyszedł. Gnał go strach, że może się jeszcze spotkać ze swoim majstrem. Surowy to majster! Tym razem musi być mocno zły, bo już trzeci raz czekał na niego. Pędzony tymi myślami, znalazł się na ulicy i nawet nie zauważył deszczu ze śniegiem. Po kilku metrach przemokły mu szmaciane łapcie, ale on nawet i tego nie zauważył. Na wpół zgięty, kołyszącym krokiem, śpieszył przed siebie, jak wypłoszony zwierz. Byle jak najszybciej i jak najdalej od fabryki i od majstra. Przecież to nie jego wina, że się spóźnił — myślał — ale jak mu to powiedzieć? Lepiej mu nie mówić, bo go jeszcze wyzwie. To surowy majster, ten René. Wszystkiemu winien Maurice. On zaczął. On się zawsze z niego śmieje. Za co on się tak nad nim pastwi? Poczuł do niego żal, nienawiść. Ogarnęła go chęć zemsty. Przechodząc na drugą stronę ulicy, potknął

się o wystający brzeg trotuaru. Jęknął głucho przez zaciśnięte zęby.

Zacisnął mocno pięści, w jednej z nich trzymał płócienną torbę. Utykając szedł dalej nie zwalniając kroku. Prawie tydzień temu dwudziestopięciokilowy wałek spadł mu na nogę, odrywając paznokcie z dwóch największych palców i tłukąc mocno inne. Jak na złość tą właśnie nogą zawadził o trotuar. Mokre łapcie nie złagodziły szoku. Zdrętwiałe od zimna nogi powiększały jeszcze ból. Mokry bandaż robił wrażenie, jakoby krew poczęła ciec z na nowo otwartej rany. ,,Krew'' — pomyślał. Na wspomnienie krwi ogarnęła go złość. ,,Henri''! to on jest winien, że mu wałek spadł na nogę. Maurice, Roger, Mario, Umberto, Casimir, Hans — oni wszyscy mu dokuczają, wszyscy są źli''. — Poczuł się osamotniony. — Co on jeden poradzi przeciw nim wszystkim? Śniegowy deszcz przybrał gwałtownie na sile. — Deszcz pada, uprzytomnił sobie. — Byle jak najprędzej dojść do autobusu; skręci na lewo, a potem prosto do placu, tam już za parę minut przyjedzie autobus. Raz w autobusie, to już wnet będzie w domu. W domu ciepło, Fatima pali w piecach, by dzieciom nie było zimno. Ach ta Fatima! On jej pokaże! Po co ona mu dała babską koszulę? Oj, co ona mu narobiła! On jej pokaże. A czy ona wiedziała? Czy on to jej sam nie mówił, że inni mają pod koszulami, jeszcze drugie koszule, takie bez rękawów. On jej przecież sam kazał dać swoją czystą, różową, którą dostała od dobrej madame Delmotte. Kto to wiedział?

Gdy usiadł w autobusie zimny dreszcz przeorał mu plecy, od tego czasu było mu to zimno, to znów ciepło — to bardzo zły omen. Teraz miał tylko jedno pragnienie: znaleźć się jak najprędzej w domu. Mały Said i mała Fatima czekają na niego, nie chcą iść spać, dopóki go jeszcze raz wieczorem nie zobaczą. Zje kolację, odda Bogu modlitwę z pięciu cykli i też pójdzie spać. Jutro rano będzie mógł spać długo. Fatima wstanie o siódmej, zamknie drzwi, by żadne z dzieci nie przyszło go obudzić. Amar, Mohamed i Ali pójdą do szkoły, a on jeszcze będzie spał do dziewiątej, albo i dłużej. Gdy wstanie, w całym domu już będzie ciepło, po należytym obmyciu odda Bogu modlitwę z siedmiu cykli. ,,Ach, Bóg jest wielki'' — westchnął i zaszył się głęboko w swoją grubą kapotę. Poczuł, że jest zmęczony i wcale nie miał zamiaru ni ochoty bić Fatimy za to, że mu dała swoją koszulę.

◆

Ali pochodził z południowo-zachodniego Algieru, z okolic Kralfallah, Saida. Czym się tam trudnił? Co go tu przygnało? — nikomu nie opowiadał i nikt go o to nigdy nie pytał. Trzy lata temu zjawił się w Roubaix wraz z swoją żoną Fatimą i pięciorgiem dzieci. Za dużym odstępnym otrzymał od swoich dobrodusznych współwyznawców dwuizbową, na wpół rozwaloną ruderę. Musiał się do niej wprowadzić po kryjomu w nocy.

Cały zaułek, składający się z jedenastu zgrzybiałych kurników był już rozebrany, gruzy wywiezione, rozpoczęto nawet już pracę nad fundamentami pod przyszłą budowlę. Jedyny dziurawy barak hamował całą pracę, nareszcie wczoraj późno wieczorem wyprowadziło się z niego ostatnich czterech kuzynów. Wszyscy czterej nazywali się Benaissa Mohamed, byli podobni do siebie i żaden z nich nie znał daty swojego urodzenia. Jakież było zdziwienie robotników przedsiębiorstwa budowlanego, gdy rano, zamiast tamtych czterech, znalazła się aż siedmio-osobowa rodzina półczarnych. Ali ani myślał się ruszać z trudem zdobytego mieszkania; tak go zresztą pouczyli czterej kuzyni. Nie było rady. Trzeba było znów przerwać rozbiórkę, by nie potłuc brunatnych maleństw, śpiących snem sprawiedliwych pokotem na wilgotnej ziemi. W tydzień później Ali otrzymał od miasta Roubaix cztero-pokojowy dom o jakim mu się nigdy nie śniło. Dom taki duży! — czuł się w nim nieswojo. Od tego czasu rodzina powiększyła się o dalszych dwóch członków i dom nie wydawał mu się już taki wielki jak poprzednio. Przy pomocy swoich współziomków znalazł łatwo pracę w budownictwie, tam pracował do zimy. Robota ustała wraz z pojawieniem się pierwszych mrozów. Z pośrednictwa pracy wysłano go do czesarni wełny. Został przyjęty. Od pierwszego dnia poczuł się tu dobrze; na dworze zimno, wiatr, a tu ciepło, zacisznie. Czuł tu jakiś bliski, kojący, dobrze mu znany zapach owiec. W fabryce poznano się szybko na nim : niezaradny, małomówny, wszystkim służalczo posłuszny. Posyłano go tu i tam, używano do najbrudniejszych robót. Oprócz tego w pracy wyręczali się nim starzy i młodzi, biali i czarni, kto tylko chciał. Robił stale, ale niesłychanie powoli — to było zapewne jego obroną przed ciągłym : Ali tu, Ali tam, podaj mi to lub owo. Przez rok pracował, przy tak zwanym bębnie, lub „maszynie do wyrobu kurzu''. Ze względu na chorobę oczu fabryczny lekarz kazał go przenieść do innej pracy. Przesłano go do najczystszego asortymentu S.G. 4. Asortyment był najczystszy i najbardziej zmodernizowany, ale pracowała w nim największa zbieranina łobuzerii wszystkich narodowości.

Gdy któryś z robotników okazał się zbyt uzdolnionym błaznem lub posiadał zbyt wiele wdzięków Don Juana i okazywał za dużą inicjatywy wobec robotnic, pracujących w jego sąsiedztwie — wyrzucano go z fabryki pod tym czy innym pozorem — żeby nie dawał złego przykładu innym. Jeżeli jednak, oprócz swoich osobistych zalet, okazał się również dobrym robotnikiem, to wtedy najkrótszą drogą przechodził pod rozkazy majstra René. Majster ten, mimo że był surowy, jeżeli chodziło o sumienność w pracy miał słabość do różnego rodzaju wesołków. Był przekonany, że to najlepsi robotnicy. Uważał, że jest nawet rzeczą konieczną, żeby wśród ciągłego i miarowego stuku selektorów, oraz równomiernego i monotonnego obrotu kół i wałków, było trochę odświeżającego humoru. Nie chciał jednak znać tego, kto poczas małpowania dał się przyłapać komuś z dyrekcji. To się jednak nie zdarzało, bo hala oddziału S.G.4. była bardzo

dogodnie położona. Prowadziło do niej tylko jedno wejście i biały dyrektorski fartuch widać było na korytarzu już z daleka. Rene nie tolerował absolutnie napojów alkoholowych, i to miano mu za złe, bo sam wypróżniał codziennie jedną lub czasem dwie bu telki bordeaux. Kobiet tu wiele nie było, a tym ,które tu pra cowały, nikt by nie dorównał w opisie narządów rozrodczych. Zresztą nie rozmawiały nigdy o niczym innym. Cała ekipa była na ogół zgrana, istniała solidarność i współpraca. Robota odcho dziła sprawnie i dobrej jakości. Do takiego asortymentu dosta się Ali i okazał się z miejsca wymarzoną ofermą batalionową. Już na początku pierwszego dnia przyszła do niego gruba Augu sta; przywitała się grzecznie, zapytała o zdrowie, czy mu żołą dek dobrze funkcjonuje, czy kawaler. — Żonaty. — Czy żona zdrowa, i w jakim stylu układa nogi podczas nocnej gimnasty ki. Ali nie wiedział co z sobą zrobić. Miał wygląd tak teatralni zakłopotany, że widząc to przybiegli inni pytać o dalsze szcze góły. Tego samego wieczoru, w szatni, pod koniec szychty — otrzymał od Rogera jabłko, zwyczajne średniej wielkości jabłko *Merci! bon camarade,* podziękował grzecznie Ali. Było dla nieg rzeczą naturalną, że ten, kto dawał coś za darmo, musiał by dobry. Maurice Verstraat był widocznie innego zdania, b zarechotał głośnym śmiechem. — To za jabłko dobry kolega Masz! trzymaj moje większe. Ja jestem lepszym kolegą. Ali po dziękował, kłaniając się nisko. Maurice objął go ręką za obydwa ramiona, a drugą wskazywał na siebie. — Co, nieprawda Ali że jestem lepszym kolegą? Patrz, moje jabłko takie duże, a on dał takie malutkie.

Ali znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Nie śmiał zaprze czyć Maurice'owi, nie śmiał też powiedzieć, że ten ,co dał mnie sze jabłko jest złym kolegą. Ku ogólnemu rozbawieniu wszystkic zrobił tak niesłychanie nieszczęśliwą minę, że nawet Maurice n dopraszał się już odpowiedzi. Wyciągnął nóż, wziął dwa jabłk z ręki Ali'ego i naprzykrzał mu się nadal:

— Patrz bardzo dobry kolega, co dał bardzo duże jabłko, ci je jeszcze z łupiny obierze, a resztę, to już będziesz mi swoje. Gdybyś chciał, to mogę ci też zębów pożyczyć. Ali'em istotnie brakowało wiele zębów, a Maurice miał sztuczną szczęk

— Nie potrzeba, dziękuję, nie, nie potrzeba, — protestow grzecznie Ali.

— Co nie potrzeba, zębów?

— Nie. Ja tak zjem.

— To jedz — przybliżył mu jabłka do ust.

— Nie teraz. Jutro.

Ali wziął jabłka, podziękował jeszcze raz, i położył na półl w swojej szafie.

Nazajutrz, Maurice przyszedł wcześnie, zresztą przychodz zawsze wcześnie, bo przyjeżdżał autobusem roboczym z Belgi wysiadał z pierwszą partią, po czym autobus podwoził robotn ków do dalszych fabryk. W szatni przebierało się kilku robotn ków z porannej zmiany, paru z popołudniowej już było przebr

nych w robocze drelichy — ci siedzieli na ławkach, nieruchomo, jak posągi. Teraz, przed ośmiogodzinnym dniem pracy, unikali starannie najmniejszego wysiłku. Maurice wyciągnął dwa jabłka z szafy Ali'ego, pokazał najbliższym sąsiadom z porannej zmiany.

— Będzie myślał, żeście mu je ukradli. Wieczorem mu je oddam — powiedział i włożył jabłka do swojej szafy. Ali przyszedł. Na widok pustej półki sposępniał. Poszerzonymi ze złości oczyma śledził badawczo, spode łba, stojących obok z porannej zmiany, ale ci wcale nie wyglądali na tych, których by można było posądzić o kradzież jabłek. Nieśmiało, powoli, przysunął się do siedzącego na ławie Maurice'a i cicho jęknął mu w ucho:

— Jabłka ukradli!

— Co jabłka ci ukradli! A gdzie żeś je zostawił?

— W szafce.

— I nie zamknąłeś? — Maurice gestem ręki pokazał, że mu chodziło o zamknięcie na klucz.

— Nie, nie mam kłódki.

— Możesz się teraz z jabłkami pożegnać, bo rano tu robią sami złodzieje. Nie wiedziałeś ty Ali o tym? — Nie. — To teraz wiesz, że rano tu są sami złodzieje! — powiedział głośno, by go wszyscy mogli słyszeć. W szatni zapanowała ogólna wesołość, bo w tym asortymencie miano się za uczciwych, kradzieże nie zdarzały się, a tym bardziej jabłek nikt by nie kradł. Maurice jedną ręką objął Alego za ramiona, drugą wskazał na jego skroń i krzyknął głośno.

— Jabłka oddać mojemu koledze! Dwuznaczność gestu wywołała trochę śmiechu. Ali solidaryzując się ze swoim opiekunem patrzył groźnie wokoło.

— Ali, patrzyłeś do szafy, czy ci jeszcze czegoś więcej nie ukradli? — zapytał troskliwie Maurice. Lichy składany nóż; podarta na ramionach, śmierdząca potem i owczą wełną koszula; dziurawe, kiedyś filcowane łapcie. — Cały jego roboczy garnitur był na swoim miejscu. Brakowało tylko jabłek.

— To musiał być jakiś głodomór; to na pewno on — rzekł Maurice poufnie Alemu na ucho, wskazując na grubego Flamanda, który nie przestawał się śmiać.

— Ty Ali, a portek nie miałeś? — zagadnął szybko Maurice widząc, że Ali naprawdę uwierzył, że to ów gruby jest złodziejem jabłek.

— Non! — odrzekł swoim zwyczajem, krótko, Ali.

— A te coś w nich wczoraj robił?

— To te co mam na sobie.

— Dobrze, żeś ich nie zostawił, bo by ci je też ukradli.

— A tak! bo to są bardzo dobre portki, kosztowały aż tysiąc franków na targu w Roubaix — odpowiedział całkiem szczerze naiwny.

Tego dnia Ali jadł suchy chleb z czerwoną lemoniadą. Codziennie przynosił do chleba dwa banany, albo dwie pomarańcze i butelkę lemoniady. Tym razem wiedząc, że ma dwa jabłka, przyniósł tylko chleb i lemoniadę.

Wieczorem Ali otrzymał jedno jabłko od Rogera i drugie większe od kolegi Maurice'a. Po uprzejmym podziękowaniu oglądał je długo i podejrzliwie — były identycznie podobne do wczorajszych. Maurice przeciął jednak wszelką wątpliwość, oświadczając autorytatywnie, że zarówno wczorajsze i dzisiejsze są jabłkami belgijskimi, co więcej — są z tych samych jabłoni, więc muszą być jednakowe. Za kilka sekund oczekiwano gwizdu syreny. Uczynny Maurice zaproponował przechowanie jabłek do jutra w swojej szafie, gdyż Ali nie miał kłódki, mogli mu je jeszcze raz ukraść. Nazajutrz Maurice przyszedł jak zwykle wcześnie, przebrał się, wyszedł z szatni i utknął gdzieś w hali fabrycznej, po to jedynie, aby Alemu oddać jabłka dopiero wieczorem.

Ali przyszedł za piętnaście pierwsza, zmienił koszulę i buty, po czym usiadł na ławie spoglądając ponuro w stronę szafy, gdzie leżały zamknięte jego dwa jabłka. Zdawał się być głuchy i nieczuły na różne docinki, kierowane pod jego adresem. Tego dnia Ali znów jadł suchy chleb, tym razem z żółtą lemoniadą. Przy pracy odwiedził go kilkakrotnie Maurice i upewnił za każdym razem: że jabłka są dobrze schowane, że na wieczór je otrzyma. Tak, to sobie je zaoszczędzi na później, bo gdyby je miał, to mógłby je jeszcze zjeść. Rzeczywiście, wieczorem Ali był znów w posiadaniu swoich nieszczęsnych dwóch jabłek. Teraz zamknął je na kłódkę w swojej szafie. Tego wieczoru dyskusja toczyła się wokół kłódki — Ali kupił rzekomo za drogą i za słabą — oszukali go. W Belgii są tańsze i mocniejsze.

W większości fabryk szafy są blaszane. Jeżeli szafa jest zamknięta na klucz, można bez trudu dostać się do górnej półki, wystarczy silnie odciągnąć drzwi, odegną się na tyle, by móc włożyć rękę i wyciągnąć co się chce. Następnego dnia Maurice z pomocą któregoś z porannej zmiany wyciągnął w ten sposób z szafy owe już sławne dwa jabłka. Gdy Ali przyszedł powtórzyła się scena podobna do tej sprzed dwóch dni, tylko była o wiele więcej napięta, gdyż Ali miał już o wiele więcej udanych stronników, pomstujących gwałtownie na złodziei z porannej zmiany. Następnie zaczęto go chłodzić: że to on sam zjadł i zapomniał..., lub może myszy zjadły. Niemożliwe, żeby zginęły z zamkniętej szafy. Wreszcie, kłódka niedobra, za słaba, nie belgijska. Skończyło się na tym, że Ali jeszcze raz jadł suchy chleb z lemoniadą. Wieczorem, wśród ogólnej wesołości, otrzymał znów jedno jabłko od Roger'a i drugie większe od Maurice'a. Nie dziwiło go iż są takie same, bo wiedział, że są belgijskie i z tych samych jabłoni. Wciąż jeszcze dobry kolega Maurice pouczał go jak przystało.

— Wiesz Ali, czemu oni wszyscy z ciebie tak się śmieją?

— Non !

— Śmieją się, że ty tak stale rękę wyciągasz i dziękujesz jak żebrak, a nic za to nie dajesz. Ty już przecież cały tydzień nasze jabłka jesz, a jeszcześ nam nic za to nie dał. Dobry kolega tak nie robi...

W asortymencie A.S.4. Ali otrzymał pracę przy ,tak zwanych, wygładzarkach (*lisseuses*). Praca, na ogół, niezła, wymagająca spostrzegawczości i szybkiej orientacji; właściwie tego wszystkiego, czego Ali nie posiadał. Polegała na tym, że miał trzy maszyny do obsługi, ale tylko z przodu. Należało co dwadzieścia minut zdjąć pełne bobiny nie zatrzymując maszyn i uważać czy wszystko w porządku. Natomiast, prawdziwy ,,lisseur'', na którego spadała cała odpowiedzialność i większość pracy, był w tyle. Do niego należało wiązanie i zakładanie nowych bobin; pilnowanie, by w basenach, przez które przechodziła wełna, było dosyć wody, właściwa temperatura i odpowiednia ilość mydła, w zależności od gatunku wełny. Pod jego opieką był również komplet wałków osuszającoprasujących. Ekipa, jeżeli była obrotna i zgrana, miała stosunkowo czystą i dobrą robotę. Można tu też było zarobić znacznie więcej niż przy innych maszynach.

Ali i Henri, jak na pośmiewisko dla reszty, stanowili dwie sprzeczności, których nigdy w życiu nie można by było pogodzić.

Henri, chudy, nerwowy, cierpiący stale na bóle żołądka, był bardzo dobrym i rutynowanym robotnikiem. Znał swoją robotę do gruntu. Jednym spojrzeniem obejmował całość sytuacji. Wśród ogólnego hałasu maszyn, wprawnym uchem wyławiał warkot swoich trzech maszyn razem i każdej z osobna, wyczuwał w nim każdą nieregularność, w mig usuwał i regulował małe niedociągnięcia, które za chwilę mogłyby spowodować popsucie lub brodę. (Broda: okręcenie się wełny wokoło niewłaściwego wałka, osi, lub nawet samego koła). Po równym obrocie wałków, kół i pasów transmisyjnych wnioskował, czy wszystko w porządku tam, gdzie wzrokiem nie mógł sięgnąć. Obliczał, i regulował swoją pracę tak, by stale mieć coś do roboty, by mu się jej nigdy za wiele na jeden raz nie zwaliło, bo wtedy trudno było panować nad całością sytuacji. Broda, jeżeli zdążyła się gdzieś ukradkiem zrobić, nie była nigdy duża i potrafił ją zawsze wyciąć i zawiązać bez zatrzymywania maszyny. Gdy tylko na przodzie miał możliwego pomocnika, mieli zawsze obydwaj maksimum premii. Wystarczyło jednak, z błahych powodów, zatrzymać kilka razy jedną maszynę, by w tym dniu w ogóle premii nie było. Gdy, mimo wszystko, musiał zatrzymać maszynę dla jakiegoś nieoficjalnego powodu (1) wyłączał ją w ten sposób, że kręcił się tylko szpieg, to jest wałek, na którym był zainstalowany aparat rejestrujący przerwy w pracy. Biada jednak, gdyby ten podstęp wykrył dyrektor lub jego zastępca. Majster na to milcząco zezwalał, lecz w razie złapania nie chciał o niczym wiedzieć. Dyrektor mógł tylko przyjść od strony Alego, ale na jego uwagę nie można było nawet liczyć. Henri chciał z Alego zrobić dobrego robotnika, bo wiedział, że ten nie ma zamiaru

(1) Powód oficjalny, tzn. uznany przez zarząd fabryki: brak prądu, wełny, wody, mydła, poważniejsze popsucie jakiejś części w maszynie, wymagające dłuższej reperacji. Takie przerwy nie miały wpływu na premię, gdyż były odnotowywane przez majstra.

wracać do Afryki, gdyż jest z rodziną, ani zmieniać fabryki, ja to jest u Algierczyków w zwyczaju. Widział więc w nim n długo swego pomocnika. Objaśniał mu funkcjonowanie maszyn ich kaprysy, miejsca, w których najczęściej brody powstają, dla czego i jak temu zaradzić.

W całej fabryce nie było też robotnika bardziej oddaneg swojej pracy niż Ali. Chodził od jednej maszyny do drugiej, za glądał od jednego miejsca czułego w drugie, pod spód, z bokó od tyłu, nie potrafił jednak swym wzrokiem ogarnąć całośc Gdy patrzył w jedno miejsce, na jeden cylinder lub koło, n widział co się dzieje o metr dalej. Gdy już coś zobaczył : prze wany ruban lub brodę, to właśnie szczęśliwym trafem patrz w to miejsce.

Najczęściej powstawały tak wielkie brody, że aż klinowa całe maszyny. Chodził dalej wokół zaklinowanej maszyny i a nie zauważył, że nie idzie. Przybiegał wtedy Henri od tyłu i br się za głowę. Najgorszą jednak męką było dla Henryka, gd Ali musiał naprawić jakąś drobnostkę, na przykład, założ przerwany ruban — trwało to tak długo, jak mahometański pos W dodatku Ali nic nie widział, nic go nie obchodziło, co się pr innych maszynach dzieje. Mogły eksplodować, też by tego n zauważył. Henri przyszedł z jednej strony, popatrzył, drepcz nierównymi krokami, jak gdyby go ziemia paliła, obszedł m szynę naokoło i najczęściej nie wytrzymał, skoczył, odepchn Alego i w parę sekund później maszyna ruszała. Początkowo A prosił : *Laisse moi debrouiller seul.* — Tak upłynął miesią drugi zbliżał się ku końcowi, a Ali nie robił wiele postępu. Prz ciwnie, uważał, że już wszystko umie, i każde dalsze pouczen Henryka, brał w swoim kompleksie niższości za dalsze pon żanie. Gdy teraz guzdrał się przy maszynie i widział zbliżające się Henryka, zostawiał wszystko i szedł do tyłu, chociaż ta nic nie rozumiał. Unikał w ten sposób poniżenia ze strony sw jego towarzysza i zarazem pokazywał mu, że jego miejsce je tam w tyle. Czasem Henri chciał mu naprawdę coś nowe objaśnić, wytłumaczyć, ale przy takim postępowaniu Alego wp dał w złość. Kłótnia wtedy była gotowa i rezultat żaden, z Alim po złości nic nie można było dobrego zrobić. Przedte Ali pracował już przy najprostszych typach maszyn w inny asortymentach; jeżeli mu maszyna szła, to było jej zasług gdy się coś popsuło, to grzebał, obmacywał, lub stał spokojn aż mu ją uruchomiono. Dla niego gdy maszyna stała, to odpoczynek, dla Henryka odpoczynkiem było, gdy wszystko s w porządku. Ali, naiwnie łatwowierny, w bajkę o premii już wierzył; tyle się nasłuchał, że gdy będzie robił szybko i du zarobi więcej; tyle razy próbował robić szybko i dużo i pre nie dostał. Oszustwo zatem było oczywiste. Nie mógł więc poj dlaczego tu naraz tak się trzeba śpieszyć? przecież nikt goni. Nic innego, tylko Henri jest bardzo zły — myślał — wet się nigdy nie śmieje, tylko go tak na zimno za coś prze duje. By tak myśleć miał też i inne powody. Raz zatrzymał n

szynę, podobno nie potrzebnie, coś długo oglądał, obmacywał. Henri nie wytrzymał, puścił maszynę w ruch, nie zauważywszy, że Ali zdemontował wałek. Wałek położony na skraju maszyny spadł Alemu na nogę, zrywając dwa paznokcie wraz z dużymi kawałkami mięsa u dwóch największych palców. Możliwe, że w największym kość mu też pękła. Tak, czy inaczej, dla każdego innego, na takie potłuczenie — wypadek przy pracy — przypadłoby parę tygodni odpoczynku.

Ali nie przestał pracować. Po bezsennych nocach, z zaczerwienionymi od bólu oczyma, utykał wokół maszyn. Drugi raz przyszczypało mu mocno duży środkowy palec w prawej ręce i zdarło kawałek skórki z samego końca. Mówiono wtedy, że ma jeszcze jeden palec obrzezany.

Henri skarżył się, że odkąd Ali z nim pracuje, żołądkowe bóle mu na nowo odżyły, nie ma apetytu i w dodatku jest stratny na trzy tysiące franków tygodniowo. Suma to nie byle jaka dla zwyczajnego robotnika tekstylnej fabryki. Na to majster go pocieszał: ,,Jeszcze się nauczy. Niemożliwe, żeby chłop tak oddany swojej pracy, co nigdy oka z maszyn nie spuści, nie doszedł do lepszej wprawy. Zatem, jeszcze troszeczkę cierpliwości''.

Ali ze swej strony żalił się : ,,Dla Henryka jeszcze nic dobrego nie zrobiłem. Stale mi mówi : to nie tak, śpiesz się, to źle, ty tego nie rozumiesz. Dla niego ja nigdy nic nie rozumiem. Robię wszystko źle i pomału. Robotnik jak ja, a gorszy niż patron''. Radzono mu, by do majstra szedł na skargę. Gdy usłuchał i poszedł, to ten dał mu taką odprawę, że Ali czym prędzej wracał skąd przyszedł. Gdy wełna była dobra, Henri dyskretnie uważał na przód maszyn, przy których nie było Alego i gdy wreszcie ten drugi był w dobrym humorze, to jeszcze wszystko się jakoś kleiło. Ali był jednak bardzo rzadko w dobrym humorze. Zawsze mu ktoś przylepił jakiś rysunek na plecach, nigdy nie widział kto, ale zawsze znalazł się ktoś ,,dobry'', kto mu go pokazał. W asortymencie tym pracował świetny karykaturzysta, robotnik włoski, Mario Puccini, rysunków zatem nigdy nie brakło. Największą wściekłość u Alego wywoływało, kiedy na obrazku znalazł siebie w miłosnym stosunku ze świnią, albo małpę z twarzą podobną do swojej. Wówczas oczy zachodziły mu mgłą, rozkładał ręce, gestykulował, potrząsał pięściami, czasem nożem, wrzeszczał. Taka zniewaga powinna być zmyta krwią, Ali zmywał ją tym, że opluwał cały rysunek. Na widok takich scen, Henri kiwał głową i machał desperacko ręką. Ali przytomniał jedynie na widok zbliżającego się majstra, przed którym czuł jakiś niewytłumaczalny strach.

Jedynym przyjacielem Alego w tym asortymencie był stary Michał, Polak z sanockiego powiatu. Historia Michała była prosta : całą młodość strawił po służbach i ani się nie ożenił. Przez zawieruchę wojenną znalazł się w Niemczech, a następnie we Francji. W tutejszej fabryce robił już osiem lat. Podobnie jak Ali, przeszedł przez wszystkie szczeble najgorszych robót. Przy pębnie robił dwa lata; zaczęły go tam oczy boleć i lekarz, kazał

go podobnie jak Alego, przenieść gdzie indziej. W ten sposób znaleźli się w jednej hali fabrycznej, jak tu się zwąchali nie wiadomo, nie robili obok siebie i w szatni się też nie spotykali. Michał robił przy czesarkach, które zatrzymywano o dziewiątej, wobec tego szedł myć się i ubierać dwadzieścia minut po ósmej. Następnie szła myć się i przebierać gruba Augusta, a Michał uważał na jej i swoje maszyny. W południe znów Michał przychodził bardzo wcześnie, przebierał się, siadał w kącie asortymentu i patrzył jak inni robią. Tam ich pierwszy raz widziano razem siedzących. Początkowo siedzieli obok siebie milcząco przez kilka dni. Później, któryś powiedział słowo lub zdanie i otrzymał takąż krótką odpowiedź. Z czasem ich rozmowy stawały się dłuższe, lecz milkły natychmiast, gdy się do nich zbliżał ktoś trzeci. Pierwszym tematem ich rozmów była praca — maszyny, wełna, a od niej do owiec, już tylko jeden krok. O owcach rozmawiali chętnie i często. Na wspomnienie owcy, nie jej wełny, lecz prawdziwie żywej, która chodzi, beczy i skubie trawę, Ali stawał się innym człowiekiem. Jego dotąd bezmyślna, apatyczna maska, nabierała wyrazu, życia. Na ustach zjawiał się dobrotliwy uśmiech. To już był inny Ali, nie ten niezdarny, ani ten co przechodząc koło innych udaje, że ich nie widzi, by nuż, ktoś mu jakimś głupstwem nie ubliżył, ani ten co wrzeszczy i pluje na papier w nadziei, że wzbudzi respekt u swoich prześladowców. Był inny, bo wyobraźnia przenosiła go pod słoneczne niebo Algieru, gdzie nad rzeką, w zielonej dolinie, pasie się stado owiec. Wyrzucał wtedy z siebie mnóstwo luźnych, mało zrozumiałych zdań, na które Michał nic nie odpowiadał, tylko słuchał i słuchał. On, który nigdy w życiu własnej owcy nie posiadał, nie miał powodu do podobnego rozczulania się. Dla niego owca to przede wszystkim znany temat do rozmowy. Najwięcej czasu na pogawędkę mieli kiedy ich obu dyrektor personalny wyznaczał do czyszczenia maszyn w sobotę, lub w niedzielę, jeżeli w sobotę fabryka szła. Dla Alego ludzkość dzieliła się na dobrych i złych, ostatecznie jednych i drugich można było stopniować. Michał należał do bardzo dobrych, bo nigdy się z niego nie śmiał.

Tą pewnością ośmielony, Ali stawał się coraz więcej gadatliwy. Czasem prawdziwie prześladował Michała różnymi pytaniami, na które ten nie zawsze wiedział jak odpowiedzieć. — ,,Michel'' dlaczego to? Dlaczego owo? Michał, powiedz mi czemu oni mi tak dokuczają? Czemu są tacy niedobrzy? — wzruszał Michał ramionami i tłumaczył jak mógł. — Oni tak lubią żartować jeden z drugiego. Oni nie są tacy źli, tylko trzeba się do nich przyuczyć. — Michał, ty umiesz czytać?

— Drukowane, to ta pomału przeczytam.

— O! to ty Michał mądry.

— Beech!

— Oni wszyscy też umieją czytać i pisać?

— A tak, oni umieją i to dobrze umieją czytać i pisać.

— I tak się stale baraszkują, popychają jeden drugiego, jak małe dzieci.

Na to Michał wzruszał, bez słowa, ramionami, jak gdyby chcąc powiedzieć, że co to jedno ma wspólnego z drugim. Ali, wyrwany z korzeniami z epoki kaidów, wyobrażał sobie uczonego jako osobę nadętą w swej powadze i mądrości. A tu naraz znalazł się w gronie samych mędrców, będących bandą dużych dzieciaków, jakich nigdy przedtem nie widział. To był dla niego problem, którego na razie nie umiał sam odszyfrować. Czasem Michał mu tłumaczył: — Jak się z ciebie śmieją, ta ty sobie z tego nic nie rób. Nie gniewaj się, bo się będą jeszcze więcej śmiać. — Jak się nie mam gniewać!? — oburzał się Ali — Ja tu jestem najstarszy. Ja jestem ojcem, mam już duże dzieci. Oni nie mogą ze mnie tak żartować.

— Powyższe wywody trafiały Michałowi do przekonania, aprobował je kiwaniem głowy. Wówczas Ali zapalał się swoją potwierdzoną argumentacją, podnosił głos. — Oni są mądrzy i śmieją się ze starszego! Oni są niedobrzy! *,,C'est pas beau! On pit pas rigouler coumme-ca de moi. Moi pas in petit enfant''*. Zwykle ktoś zaciekawiony, przybliżył się, by zobaczyć o co oni się tam kłócą, lecz w tej samej chwili milkła kaskada uniesionego potoku słów. A na pytanie o co mu to chodziło, Ali nic nie odpowiadał.

Z Michała też czasem żartowano, lecz on miał swój wypróbowany system obrony, polegający na tym, że śmiał się z siebie więcej od innych. Jego głośny, krótki, urywany śmiech, musiał być początkowo wymuszony, z czasem stał się jego drugim własnym śmiechem i miał tę zaletę, że rozbrajał, bo wzbudzał pewien odcień litości. Natomiast jego prawdziwy szczery śmiech był bezgłośny.

Michał nie brał nigdy udziału w hecach, jakie wokół niego urządzano, on przy pracy nie nudził się. Sześć maszyn z całym skomplikowanym mechanizmem, było pod jego rozkazami. Stały równiuteńko w dwóch rzędach, jak dwa szeregi żołnierzy. Byle je należycie pielęgnować, były o wiele posłuszniejsze od krów; oddawał się im więc z lubością. Gruba Augusta musiała wszystko wiedzieć co się dzieje w całym asortymencie, ba, nawet w całej fabryce. Wciąż gdzieś szła. Wtedy Michał pilnował podwójnej ilości maszyn. Na tym źle nie wychodził, bo Augusta przynosiła mu prawie codziennie kawałek pieczywa, to znów kilka kieliszków samo-zaprawionego likieru. Oprócz tego, chciał czy nie chciał, musiał wysłuchać fabrycznych plotek. Za swoją pracę był szanowany przez przełożonych i lubiany przez towarzyszy za łatwość w pożyciu. Nie miał, jak Ali, powodu do narzekania.

— A wy, jak tam u was żartujecie? — zapytał Michał Alego, kiedy w sobotę skończyli czyszczenie maszyn, a do końca pracy pozostawała jeszcze dobra godzina.

— A u nas, to nie tak.

— No Ali, to pokaż jak to.

— Ali zaczął szybko mrugać małymi oczyma, przecierając

przy tym, powoli, wąskie czoło. Widać było, że z trudem odnajdował myśli zarzucone w rupieciarni zapomnienia. Po dłuższej chwili przypomniał sobie, i z zadowoloną twarzą zwrócił się do Michała, który czekał cierpliwie.

— Raz taki bogaty, taki wielki, pasza, może sułtan. Michał ty rozumiesz? Taki wielki patron. — Michał skinął głową. Ali ciągnął dalej. — On poszedł na polowanie. Tam lew wyskoczył znienacka. Sułtan spadł z konia i lew byłby go zabił, bo sułtan był stary i słaby. Ale jeden młody, co to widział, strzelił i lwa zabił. Sułtan chciał mu się wywdzięczyć i rzekł: tyś mi życie uratował. Powiedz, co chcesz, a dam ci wszystko, co będzie w mojej mocy. Na to ów młody odpowiedział zaraz: chcę być stróżem twojego haremu! Michał, ty wiesz, co to jest harem? — spytał Ali wstydliwie, nie patrząc Michałowi w twarz. Kiedy ten kiwnięciem głowy dał odpowiedź twierdzącą, Ali ciągnął dalej. — Sułtan chwilę się zastanowił, po czym rzekł, że zgoda. Zabrał młodego na swój dwór i kazał go wykastrować.

— Co? Co kazał mu zrobić? — spytał niedowierzająco Michał.

— Kazał mu o!..., tu, o!... wszystko obciąć — dosadnymi gestami, nie pozostawiającymi żadnych wątpliwości, objaśnił Ali. — Na drugi dzień, czy tam za jakiś czas, ów młody zobaczył sułtana i spytał: za co kazałeś mnie tak strasznie okaleczyć, o panie?

Widzisz, te twoje jądra były jak proch, a te młode kobiety w haremie są jak ogień; bałem się przeto o ciebie, abyś nie wystrzelił.

Historia się skończyła. Michał dumał nad tragedią i jej sensem. Ali nie mogąc się doczekać pochwały, począł się sam o nią dopominać:

— Co, nie ładne? A wiesz czemu go kazał wykastrować?

— Nie.

— To z powodu kobiet; sułtan stary, ale nie głupi, wiedział zaraz, co młody chce. Patrona nie trzeba nigdy chcieć przechytrzyć, on zawsze będzie mądrzejszy od ciebie — skończył Ali morałem. Po chwili zaczął ponownie czoło trzeć i w parę minut później, słuchał Michał nowej anegdoty:

— Do dużego miasta, do wielkiego fryzjera przyszedł biedny chłop, aby się ostrzyc. Fryzjer strzygł wszystkich bogatych najsamprzód, a chłop czekał i czekał. W końcu zaczął i chłopa strzyc, bo w sklepie nie miał więcej nikogo. Ostrzygł go i polał mu głowę wodą. Chłop zmiękł i wypuścił powietrze. Fryzjer się zgniewał i wrzasnął: Czemu mi zasmradzasz sklep! A chłop na to: Moje ciało jest jak wapno — polałeś wodą, o panie, i wyszła z niego para.

— Takie opowiadania wniosły dużo nowego między dwóch przygodnych przyjaciół. Od tego czasu mniej opowiadali o sprawach bezpośrednio ich interesujących, mniej milczeli, kiedy byli razem. Całe ich zainteresowanie wróciło do przeszłości. Michał znał więcej anegdot niż Ali, przypomniał je sobie teraz z nie-

zmienną dokładnością, właściwą ludziom niepiśmiennym. Wiedział: o cyganie co z gwoździa zupy nagotował, o Wojtku co Żyda oszukał, o lękliwym chłopie co go w lesie straszyło, a to tylko mu tak w nosie gwizdało. Wszystkie opowiadania czysto humorystyczne szybko im się wyczerpały. Powoli weszli w dziedzinę baśni i podań ludowo-religijnych. Szczególnie opowiadania Alego opierały się na motywach czysto religijnych, zaczerpniętych wprost z Koranu, niektóre zatrącały o chrześcijaństwo i fetyszyzm. Opowiadał Michałowi, jak to w Sądny Dzień trzeba będzie na włosach przejść Dolinę Narodów. Wówczas wszyscy niedobrzy poprzewracają się i pójdą do piekła. Jak to przy końcu wielkiego postu, drzwi od wszystkich siedmiu niebios otwierają się jednocześnie na cztery strony świata. Wtedy w siódmym niebie można zobaczyć samego Boga lub co najmniej Jego majestat. Szczęśliwiec, który to widział, nie będzie długo żył, lecz wstęp do raju ma zapewniony. Ali znał osobiście takich, którzy widzieli ów cud i krótko potem umarli. W Algierze zawsze wypatrywał, by ujrzeć ten wielki moment; tam wiedział dokładnie, w którym kierunku należy patrzeć.

Tu we Francji wszystko źle — zachodził w głowę Ali. Nikt mu nie mógł dokładnie pokazać, jaką część nieba należy obserwować, a i tak nie wiadomo, czy można by coś zobaczyć, bo często pochmurnie, deszcz pada. W tym wszystkim najgorsze to, że dużo Algierczyków wątpi o owym cudzie — a to przecież **prawda !**

Dziwaczność opowiadania mniej wzruszała Michała — wiadomo — turecka wiara. Najbardziej niemiłe wrażenie wywierało na nim to, że Ali, opowiadając takie niestworzone rzeczy, wierzy w nie tak święcie, aż Michał nie śmiał mu zaprzeczyć. Dla Alego Allah był wielki: nie prosił miłości, nie żebrał dobroci, lecz gromił i wymagał. Ciążył na nim wyczerpującym postem. Ali oddawał mu trzy razy dziennie należną modlitwę. Dla niego był on realnie istniejący, prawdziwie wszechobecny. Dlatego, kiedy mówił o nim, mówił z nabożnym skupieniem, uszanowaniem i głębokim przeświadczeniem. Wszystko co pochodziło od niego i co go dotyczyło, nie podlegało dyskusji. Gdyby dziś jeszcze Allah zażądał od niego życia w świętej wojnie, Ali nie wahałby się ani chwili. Po naszemu zwie się to fanatyzmem, dla Alego byłoby to rzeczą całkiem naturalną. Od Michała Ali dowiedział się, że on też się modli, wierzy w jednego Boga, niebo, piekło, proroków. Z tymi prorokami, to każdy ich rozumiał po swojemu : Ali miał na myśli Mahometa, a Michał proroków ze Starego Testamentu. Michał wierzył w tego samego Boga, był dobry i mądry, bo był ,,Francuzem'' i umiał czytać, pozyskał więc całkowite zaufanie Alego i stał się dla niego pewnym autorytetem w dziedzinie religii. Od niego teraz pogłębiał Ali swoją wiedzę o Bogu. W opowiadania Michała wierzył więcej niż sam opowiadający. Gdy coś zapomniał, kazał sobie powtórzyć więcej razy, tak, aby mu się w pamięci dokładnie utrwaliło. Michał opowiadał mu jak dusza księdza straszyła, skowyczała

o północy, za to, że wziął za życia pieniądze za msze, których nigdy nie odprawił. Tak długo pokutowała, nie mogła wejść do nieba, aż te msze zostały odprawione przez innego księdza. Msza posiada bardzo duże znaczenie u Boga, gdy się ją odprawi za duszę zmarłego, gwarantuje mu wejście do nieba. Po tym, co usłyszał, Ali uparł się, żeby zakupić jedną mszę za ojca, a drugą za brata, pod warunkiem, że będą odprawione natychmiast. Od Cygana za miarkę pszenicy, Michał kupił kiedyś sztukę zarzucania i odczynania uroku. Przed wszelkiego rodzaju czarami i urokami Ali czuł wielki respekt. Pewnego razu zaszedł między nimi poważny zatarg, który o mało co nie rozerwał ich koleżeństwa. Michał opowiadał, że zna pieśń, którą często śpiewała rodzina gospodarza, u którego służył trzy lata. Pieśń ta ma tę moc, że gdy się ją odśpiewa wieczorem, Bóg w szczególny sposób opiekuje się nami całą noc. Był tego już dowód. Zdarzyło się to bardzo dawno. Pewien wielki i pobożny rycerz czuł się wieczorem tak zmęczony, że dośpiewał tylko do połowy i zasnął. W nocy przyszli zbóje i zobaczyli, że jest do połowy przykryty żelazem. Aby go okraść zaczęli zdejmować z niego owe domniemane żelazo. Rycerz się obudził, chwycił za szablę i zbójców rozpędził. Chciałbyś słyszeć tę pieśń ? — spytał Michał. — „Oui" — Ona idzie tak : Kto się w opiekę odda Panu swemu... A chciałbyś się jej nauczyć ?

— „Oui"

— To mów za mną: kto — to — się chen — powtarzał Ali — w opiekę — fop.... fopkt... non! non! non! Je veux pas! Je veux pas! — ruszony niewidzialną siłą, pod wpływem straszliwych zaklęć, zerwał się przestraszony Ali, wrzeszcząc i wymachując histerycznie rękami. Przez kilka dni z rzędu unikał Michała, który był posiadaczem takich silnych zaklęć i tak śmiało je wymawiał.

Alemu powodziło się coraz gorzej na tym oddziale. Z Henrykiem dochodziło do częstszych kłótni. Po każdej z nich Henri postanawiał więcej się nie wtrącać do pracy Alego. Gdyby go jednak zdał na jego własne siły, maszyny nie bardzo ruszyłyby z miejsca. Czym dłużej stały bezczynnie, tym trudniej je było uruchomić, bo wełna się grzała, wszystko się rwało i psuło. Henri nie mógł znieść podobnego partactwa. Majster też już stracił nadzieję, by Ali nabrał kiedyś więcej rutyny i inicjatywy; przyrzekł Henrykowi innego pomocnika. Zmienić Alego, owszem, nie było trudno, gdyż można go było postawić przy najbrudniejszej robocie, byleby nie była skomplikowana. Ali nigdy się nie skarżył, ani nie protestował. Majster żądał jednak za niego kogoś obrotnego, takich inni majstrowie ze swoich oddziałów nie chcieli wypuścić. Nie było rady; należało czekać, aż się taki zgłosi do pracy. Była to zwykle kwestia dwóch, trzech dni. Tym razem wlokło się długo. Święta Bożego Narodzenia, Nowy Rok, zimno, spowodowały pewien zastój w zmienianiu fabryk. Czasem przez kilka dni nikt się Alim nie interesował; znalazła się inna rozrywka, lub po prostu, łatwe z niego żarty przestały

bawić. I tu nagle ktoś go sobie przypomniał: Ali, chcesz jabłko? Ali, babska koszula. Ali, umiesz całować? Tak o!... zobacz. — Non! non! — bronił się Ali, machając rozpaczliwie rękami, jak gdyby chciał odpędzić nieczyste myśli.

— Ali, ty nie wiesz co dobre, boś jeszcze dziki, nieucywilizowany. Ali wiedział, że być niecywilizowanym to wielka obraza. Wpadał więc w złość mniejszą lub większą, zależnie od poprzedniego usposobienia, od tego kto i jakim tonem to powiedział. — Co, ja niecywilizowany! — rzucał się. — U mnie w domu wszystko jest; jest co jeść, jest co pić. Niech by tylko kto do mnie przyszedł, to dostanie jeść, dostanie pić, ładnie z nim będę rozmawiał, i nawet przenocować u mnie może. Nikt nigdy nie rozumiał, ani nie pytał, co on przez to chce powiedzieć. Było to wszystko bez sensu i zarazem śmieszne, a o to właśnie chodziło. Rozumowanie Alego wywodziło się zapewne z dalekiej przeszłości, czy może z serca Afryki, gdzie po stopniu gościnności odróżniano ludzi mniej prymitywnych od bardziej prymitywnych. Stąd też może prześciganie się w gościnności u niektórych wschodnich narodów, aby nie okazać się „dzikim". Po powyższych argumentach Alego wywiązywał się już z reguły utarty dialog: — To ja przyjdę dzisiaj do ciebie na noc, a dasz mi twoją babę do spania?

— Non.

— Czemu nie, boisz się, żeby ciebie już więcej nie chciała?

— Non!

— Jakeś cywilizowany, to pożyczysz baby na jedną noc.

— Non!!

— Och Ali, chociaż na pół nocy.

— Non!!!

— A jak sama będzie chciała ze mną iść spać?

— Nożem zabiję! Takie przekomarzania głupiego z niemądrym, toczyły się zazwyczaj w szatni i były z reguły przerywane wyciem syreny. Mimo posiadania czarodziejskich sił, Michał był nadal jego dobrym przyjacielem. Ali zbliżał się i siadał obok niego powoli, nieśmiało, z ceremonialnym szacunkiem. Oprócz zwykłych wykładów religii, według możności, musiał mu też Michał, od czasu do czasu, tłumaczyć sprawy bardziej konkretne.

— Michał, ty mądry, ty Francuz, powiedz mi czemu oni tak wciąż o kobietach rozmawiają? przecież to nie dobrze tak.

— Ja nie Francuz, ja Polak.

— A Kazimierz też Polak, a Francuz.

— Taki Francuz jak i ja.

— On nie taki jak ty, on nawet z tobą dużo nie mówi.

— On z miasta.

— Ale ty Francuz — upierał się Ali — ty we Francji, to ty Francuz.

— Ty Francuz, ale nie ja — obstawał przy swoim Michał.

— A w Polsce też Francuzi są.

— Nie, tam u mnie, to są Rosjanie.

— A Rosja to duża? daleko?

— O tak, bardzo duża.

— No widzisz, — ciągnął Ali z uporem swoją myśl — j też nie prawdziwy Francuz, ale jestem we Francji, to jesten Francuzem. Moje dzieci to już są prawdziwymi Francuzam i twoje dzieci też są Francuzami.

— Wiesz przecież, że nie jestem żonaty i nie mam dzieci

— Ach tak, zapomniałem — łapał się Ali.

— Chodzą twoje dzieci tutaj do szkoły? — pytał Michał.

— Pewnie, że chodzą i umieją wszystko i pisać i czyta i wszystko i wszystko.

— A dobrze się uczą?

— Tak! bardzo a bardzo dobrze, umieją już wszystko i wszystko, i czytać, i pisać i wszystko, i wszystko — objaśnia z zapałem Ali, a oczy mu się świeciły jak przy rozmowie o owcac

Alemu długo nie goiły się rozbite palce u nóg, skarżył się że go wciąż mocno bolą.

— Ali, ty sobie kup buty skórzane, a nie takie szmaciane — doradzał mu Michał. Teraz jest zimno, a jak ci w tych szma cianych łapciach nogi zmarzną, to ci się nie będą goiły, a ja się do tego gdzieś potkniesz, uderzysz, to ci się nigdy nie zagoją Jeszcze tak ci się może stać, że ci cała noga ugnije i będą ci j musieli urżnąć.

— Masz rację, masz rację Michał, ty dobry kolega, ty ma dry; ja sobie trzewiki kupię. Ja tego nie wiedziałem, że kied zimno, to się noga nie goi i gnije.

— Nie tylko rany na nogach, ale żadne rany się w zimni nie goją. I to ci jeszcze raz Ali mówię: ty sobie kup buty cał ze skóry, dobre i mocne. Gdybyś w trzewikach robił, to by c się nawet nogi nie potłukły, bo by skóra zatrzymała wałek. P krótkim namyśle Ali zauważył :

— A jakby tak meszty kupić, tam przy końcu też coś takie go twardego jest

— Nie, nie! trzewiki sobie kup i całe ze skóry! — przyka zał stanowczo Michał.

— Masz rację, masz rację Michał, całe ze skóry sobie kupię

Nazajutrz Ali przyszedł do pracy w nowiuteńkich trzewi kach. Były całe z cieniutkiej wiśniowej skóry i ładnego fasonu

Ali kończył pracę dosyć wcześnie, bo „lisseuses'' zatrzy mywano o wpół do dziewiątej. Później Henri miał trochę roboty pozamykać parę, powypuszczać wodę, pozluźniać sprężyny. A natomiast mógł iść ubierać się.

Tego wieczoru śpieszył się wyjątkowo. Pobiegł do szatn skoro tylko Henri zatrzymał ostatnią maszynę. Wyciągnął swo je nowe trzewiki z szafy. Uśmiechając się do nich triumfując układał je długo na ławie, na miejscu, gdzie zazwyczaj siady wał. Następnie wyciągnął z szafy tak brudny ręcznik, że pier wotnych kolorów nie można było poznać. Okręcił sobie nim szy ję i wolniuteńko poszedł do umywalni. W umywalni mył się rów nież wolno, ale dokładnie. Pełnymi dłońmi nabierał wodę i rzu

cał ją sobie w otwarte usta, wypluwając przy tym pracowicie wszystkie znajdujące się tam śliny. Po czym kolej na nos, wydmuchiwał energicznie każdą dziurkę z osobna, rzucając nieczystościami w białe emaliowe koryto. Następnie podstawił pod kurek rozłożone dłonie i rzucił kilkakrotnie wodą w twarz. Umył palce, które dotykały nieczystych śluz i dla pewności dobrego oczyszczenia rzucił jeszcze kilkakrotnie wodą w oczy, nos i usta. Ceremonialne mycie było zakończone. Teraz zaczął się powoli wycierać — jak najbardziej powoli, — by jak najpóźniej wrócić do szatni. Niech przez ten czas zobaczą — myślał — niech widzą, że on, Ali, ma takie ładne całe skórzane trzewiki. Głupcy! w południe ich nawet nie zauważyli. Wycierał powoli uszy, szyję, niemyty kark. Nos jeszcze raz wydmuchał solidnie w ręcznik. Wytarł sobie zęby i usta tak głęboko, jak tylko mógł palcem dosięgnąć.

Istotnie przez ten czas duża część robotników przeszła przez szatnię, by wziąć mydło, ręcznik, by wreszcie się ubrać. Nowe trzewiki Alego stały na ławie nie budząc większego zainteresowania, do czasu aż Maurice znalazł się w szatni. Ten ocenił je po swojemu. — Che! che! che! Ali kupił buty i chwali się z nimi. Poczekaj, będzie ich szukał. — Wziął jeden trzewik, i włożył między swoją a Alego szafę, po czym przykrył go swoim roboczym tornistrem. Gdy Ali wszedł, pierwsze jego spojrzenie padło na samotnie stojący but. Zrazu nie wiedział co o tym myśleć. — Na pewno jednego nie ukradli, bo drugi stoi. Oglądają go gdzieś — przypuszczał — podziwiają jego jakość i zaraz mu go ktoś odniesie. Wysilał się jedynie, by zachować spokój. Zaczął się powoli ubierać, z szafy coś wyciągał, coś wkładał. Zrozumiał już że zażartowano z niego. Nikogo nic nie pytał, ani nie szukał, by się nie narazić na większe jeszcze kpiny. Maurice już się ubrał, założył przez ramię swoją torbę. Dla znalezienia zaginionego buta, wystarczyłoby Alemu przechylić głowę na drugą stronę szafy. Był bliżej niego niż ten na ławie. Lecz uparty Ali ani myślał się zniżyć do próby szukania. Trzymał się twardo jedynej myśli: ,,Sami wzięli, sami muszą oddać''.

Nie wiadomo, kto tu był bardziej uparty: Ali, co szukać nie chciał, czy pozostali, że mu nie zwrócili uwagi na obok stojący trzewik. Czas teraz pędził szybko, do gwizdu syreny brakowało zaledwie kilka sekund. Ten i ów zapalił papierosa. Gotowi do wyjścia towarzysze trącali się porozumiewawczo łokciami.

Ali tego nie widział i widzieć by nie chciał. Zwrócony twarzą do szafy, z ukosa, przez ramię, zerkał na ławę, czy ktoś nie odnosi zaginionego trzewika. Zdjął swoje robocze łapcie. Stojąc boso na posadzce nie wkładał skarpet, bo po ich włożeniu należałoby się wziąć do trzewików. Syrena zawyła. Strumień ludzi wartko przeciskał się przez wąskie drzwi. Gdy ostatnie plecy znalazły się za progiem, zniknęła wszelka nadzieja na powrót buta. Ali rozłożył ręce, wypuścił bolesny jęk i począł krzyczeć co sił, by wrócili i oddali mu jego nowy but. Zwabiony nieludzkim wrzaskiem majster René przybiegł zobaczyć co się

dzieje. Ali stał pośrodku szatni, boso, z rozłożonymi rękami, w tragikomicznej postawie.

— A ty co tu jeszcze? — zapytał ostro René.

— O! Jeden trzewik! Ukradli! — wydukał Ali, podnosząc z ławy swój jeden but.

— Kompletnie głupi — mruczał majster, wysuwając nogą drugi but spod szafy Alego, prawie tuż spod jego nóg. — Masz najwięcej czasu i ani ubrać się nie zdążysz. Bierz to wszystko i wychodź stąd! Na korytarzu się ubierzesz — zagrzmiał autorytatywnie majster. — Na ciebie jednego zawsze będę czekał! Co!? — Ali szybko bez słowa złapał co jego: szal, skarpety, płaszcz, torbę, nieszczęsne nowe buty i zbiegł po schodach na główny korytarz. Tu mógł się ubierać, nawet i do północy.

Na drugi dzień przyszedł bez nowych butów i zły. Na przywitania nie odpowiadał. — Co, nie jesteś moim kolegą? Że mi nie chcesz ręki podać? — zapytał Maurice.

— Non!

— Ale ja jestem twoim „bon camarade".

— Non!

— Dlaczego to tak?

— Boś to ty mi wczoraj trzewik schował. Majster na mnie wyzywał. „On pit pas rigouler toujours coumme-ça de moi. Moi pas in pitit enfant"...

— Oh Ali, ça-va! Ne me casse pas les pieds — przerwał mu Maurice. Dzisiaj na wieczór duże jabłko, potem znów „bon camarade".

— Non!

— Mais si, mais si! Patrz jakie ładne. Wyciągnął duże jabłko z tornistra, pokazał Ali'emu, powąchał, i położył go w swojej szafie na półce. Ali był w tak złym humorze, że nawet nie poszedł, by usiąść obok Michała. Przy pracy dziś mu się też wyjątkowo nie szczęściło. Trzy razy popsuł mocno maszynę. Dwa razy majster musiał mechanika przywołać, żeby ją uruchomić. Pokłócił się z Henrykiem i nawet z majstrem, którego się zawsze przesadnie bał.

Przy samym końcu pracy zrobił jeszcze małą brodę, którą musiał wycinać. Do umywalni przyszedł zatem później niż zwykle. Prawie wszystkie kurki zajęte były przez myjących się. Jedni się już wycierali, dyskutując namiętnie fabryczne nowości dnia. Ktoś rzucał wodą poprzez niski mur, do umywalni kobiet, te odpłacały się z nawiązką, to z kolei wywoływał u innych gwałtowne protesty zaprawione pieprznymi wyzwiskami. Po krótkiej chwili Ali znalazł wolny kurek; bez słowa wcisnął się między dwóch półnagusów i rozpoczął swoje półrytualne mycie. Chlusnął trzy razy wodą w twarz i począł czyścić nos. Wydmuchał najpierw jedną dziurkę, rzucając energicznie zawartościami w emaliowane koryto. Obmył palce i zabrał się do drugiej dziurki. Duży Hans, który tuż obok mył nogi w tym samym korycie, patrzył na niego z największym obrzydzeniem. Gdy wreszcie zawartość drugiej dziurki spadła mu na łydkę, silną prawicą

odepchnął w tył półczarnego niechluja. — Wstrętna świnio, jak się nie umiesz po ludzku myć, to idź do ,,Algierii'' (Algierią nazywano też asortymenty P.L.4 i P.L. 5, tam przeważyła większość robotników algierskich, niektórzy, miejscowi, woleli iść brudni do domu niż myć się z nimi). Postawił łydkę pod prąd silnej wody, klnąc przy tym siarczyście po niemiecku i francusku. Lecz Ali nic z tego nie słyszał. Popchnięty silnie, odbił się o drzwi ustępów. Chciał silnie, nawet bardzo silnie reagować, poczuł jednak, że ma wszystkich przeciwko sobie. Ktoś go przytrzymał. Poczęto się trochę szamotać. — Ali, to jest obrzydliwe, co ty robisz. To jest nie ładnie, jak się ty myjesz, a gdy ci to Hans mówi, to ty się na niego jeszcze rzucasz. Co byś ty powiedział, gdyby tak ktoś na ciebie napluł. Szczupły Kazimierz chciał się może swoją siłą pochwalić, a może odwagą, bo to, gdy wszyscy na jednego, to się wiele nie ryzykuje. Otworzył drzwi i sprawnie wypchnął Alego na zewnątrz. Nie wszyscy pochwalali ten gest. Ali do umywalni już nie wrócił, przybiegł do szatni i począł się ubierać. Maurice siedział na skraju ławy, obierając spokojnie jabłko, które rano Alemu obiecał. Ten był mocno podenerwowany ubierał się szybko. Dziś nie będzie ostatni — pomyślał Maurice. Gdy Ali z rozmachem zarzucił sobie płaszcz na ramiona, jego ,,bon camarade'' zwrócił mu uwagę całkiem poważnie — co w tym wypadku odznaczało, że żartuje — Nie trzep tak tym płaszczem, bo jeszcze wszy naleci.

— Co!? — wrzasnął niedowierzająco Ali.

— Nie trzep, bo wszy lecą.

— Co to są wszy?! — Gestami naśladującymi rozgniatanie wszy między palcami, upewnił go Maurice. — Ja nie mam wszy!!

— Ja tu widziałem wczoraj jedną co szła po brzegu twojej szafy, ale nie miałem okularów i nie mogłem poznać, czy to była algierska, czy francuska.

— Tak, ja teraz wszystko rozumiem! Ja teraz rozumiem! Ja wszystko rozumiem!!! — wrzeszczał coraz bardziej wytrącony z równowagi Ali. Maurice, który jeszcze nie wiedział o zajściu w umywalni, spojrzał na niego z niepokojem. Ali wyglądał naprawdę nienormalnie, jakoś dziko. Wcale się nie uspakajał, przeciwnie, podniecony swoim własnym krzykiem wrzeszczał coraz głośniej. Wszystkie uczucia doznanej i urojonej krzywdy, wybuchły w nim jak wulkan. — Wiem, że jestem Algierczykiem! Jestem brudny, głupi, obrzydliwy! Nigdy nie będę Francuzem! Moje dzieci też nie będą Francuzami! Ja mam wszy! Co!? Ja jestem świnia! Co?! Ja jestem świnia!... — Wyrazy, zdania stawały się mniej zrozumiałe, coraz więcej było słów arabskich, lub też jakiegoś innego algierskiego narzecza. W końcu zerwał się i wybiegł na korytarz. Gdy znalazł się we drzwiach, majster krzyczał za nim: — Hej tam! Gdzie idziesz?! — Ali zapewne tego nie słyszał, a jeżeli by słyszał, też by się nie zatrzymał. Jak wiatr wpadł do szatni asortymentu, gdzie pracowali jego współwyznawcy. Po kilku sekundach wyskoczył stamtąd z piętnastocentymetrowym, prostym nożem. I biegł da-

lej bez wytchnienia długim korytarzem, do głównych wyjścio-wych drzwi. Gdy się do nich zbliżał, dyżurny dyrektor krzyczał by się zatrzymał. W tej samej chwili zawyła syrena. Dyrektor machnął ręką, bo jeżeli wyszedł bez podstemplowania karty, bę-dzie się musiał jutro usprawiedliwić. Stróż, pełniący wartę przy bramie, patrzył na niego z niepokojem, bo dopiero co właśni syrena zawyła a Ali już był na dziedzińcu. Tu było coś ni w porządku. Jego torba nie wyglądała na to, żeby tam mógł mieć coś ukradzionego. Jeżeli go tamci wypuścili przed czasem to i on nie miał powodu zatrzymywać go teraz, po gwizdku. Ali wybiegł spokojnie za bramę i stanął przyczajony tuż koło muru. W prawej ręce trzymał nieukrywany nóż. Serce biło mu jak młotem. Oczy zachodziły mgłą. Chęć zemsty nie miała w nim granic. — Przebić! zabić! zarżnąć! Maurice'a, Henri Hansa, Kazimierza i innych krzywdzicieli, a potem niech się dzieje co chce!

Majster zobaczył Maurice'a na dziedzińcu, skinął na niego a gdy ten się zbliżył, zapytał:

— Nie wiesz ty, co tam się z Alim stało? Nie wypłataliście mu tam jakiegoś figla? — Majster Maurice'a znał i wiedział że ten jest asem w tej dziedzinie.

— Właściwie nikt nic mu nie zrobił. W umywalni się podobno pokłócili przy myciu, ale nie wiem, jak to tam było Ja pytałem się go, czy wszy nie ma, o to się tak rozgniewał i gdzieś poleciał.

— Nie trzeba się nim zajmować — nalegał majster — trzeba mu dać spokój. On żartów nie zna. To tępa głowa, wczoraj przy trzewiku stał i o mało co nie płakał, że mu go ukradli.

Upominając Maurice'a, ani na chwilę nie przypuszczał, że właściwie na upomnienia już za późno. René po prawej stroni pchał swój ciężki motocykl, po lewej stronie szedł Maurice W tym porządku znaleźli się u wylotu szerokiej bramy, tuż obok Alego. Ten, skoro zobaczył Maurice'a, skoczył, jak oszalały Wpadł na motocykl, popchnął majstra i zadał straszliwy cios Maurice'owi w kark. Zaatakowany zobaczył szybciej, co się dzieje; odskoczył na bok; nóż przeciął jedynie powietrze, a roz-machnięta ręka zatrzymała się na ramionach majstra. René pchnął swój ciężki motor na nogi napastnika. Ali zamierzył się szybko, by dać drugi cios, obojętnie komu. Silnie rzucony motor wytrącił go z równowagi, upadając zdążył jeszcze końcem noża coś zahaczyć. Tym drugim cięciem przeciął majstrowi kurtkę i lekko zranił go powyżej łokcia. Stróż, barczysty chłop, musiał widzieć zajście od samego początku, bo pierwszy znalazł się tuż obok. Sprawnym skrętem wyrwał wierzgającemu Alemu nóż z ręki i włożył go sobie w kieszeń. Oburącz chwycił za kołnierz grubej kapoty i pociągnął tak silnie, że aż szwy zatrzeszczały Ali zgrzytnął zębami, motor leżący na jego nogach wlókł się razem z nim. René klnąc na wszystkie tony próbował podnieść swój ciężki motocykl. Ktoś mu w tym pomógł. Stróż bez więk-szego trudu zawiódł Alego do swej rupieciarni, pchnął go d

środka i zamknął drzwi na haczyk. Ali wpadł na koło starej maszyny do prania, obsunął się i upadł na kupę węgla. W nodze poczuł dotkliwy ból, rana musiała się zapewne otworzyć. Ból trwał jedynie parę sekund. Ciemno było wokoło niego, był sam i na pewno zamknięty. Przebił Maurice'a głęboko nożem — tak mu się przynajmniej wydawało — co teraz będzie? Co go za to czeka? Skaleczył podobno majstra — ta myśl napełniła go strachem. — Za chwilę przyjedzie policja i zabierze go. Wolał już policję niż spotkanie ze złym majstrem. Z bezgranicznej ciemności wyłoniła się malutka twarzyczka Saida i Fatimy. Ci malcy nie chcieli iść spać dopóki tata wieczorem nie wróci do domu. Nie może się policji dać zabrać. Wstał z kupy węgli. Ból ze wszystkich stron dawał znać o sobie. Po omacku znalazł drzwi. Wielki wilczur stróża mający budę obok rupieciarni, poczuł go wewnętrz i począł gwałtownie ujadać, skrobiąc do drzwi. Ali odpadł od klamki jak rażony prądem. Upadł na koło maszyny i znów na kupę węgli. Przez ten czas policja odebrała telefon i czarne, okratowane Renault było już w drodze. W drodze była również sanitariuszka fabryczna; zwykle kończyła dyżur o ósmej, po tej godzinie wypadki były rzadkie, a w razie potrzeby telefonowano po nią.

René, w towarzystwie dyrekcji fabrycznej, stał otoczony wielką gromadą ciekawych. Krew zastygła mu już na ręce. Był on szanowany przez robotników i ceniony przez przełożonych. Uchodził za dobrego majstra, sumiennego w pracy i wyrozumiałego dla podwładnych.

Wiedziano, że nie zasłużył sobie na podobną zapłatę. Wszystkie sympatie były po jego stronie. Alego nikt nie żałował.

*Edward KOZIK*

## *Archiwum polityczne*

# ABC polskiej sytuacji

Oficjalna ,,story'' brzmi następująco: Rosja — jako monarchia absolutna nie mogła istnieć w nowoczesnym świecie. Modernizacji, a więc w pierwszym rzędzie rozbudowy przemysłu — nie mogła dokonać burżuazja — gdyż była zbyt słaba ekonomicznie i zbyt uzależniona od finansjery zagranicznej. Zarówno Lenin jak i Trocki przytaczają w swych pismach bogaty materiał statystyczny, ilustrujący zależność kluczowych działów gospodarki carsko-rosyjskiej od wielkiego kapitału zagranicznego.

Rewolucję przemysłową mogła więc podjąć tylko partia zdecydowana dokonać akumulacji kapitałowej poprzez radykalną reformę własności. Wywłaszczenie tak rosyjskich jak i zagranicznych kapitalistów — tudzież obalenie innych form własności prywatnej — umożliwiło partii dokonanie centralizacji wszystkich zasobów ekonomicznych kraju. W ten sposób dokonano pierwszego kroku na drodze ku industrializacji.

Dżilas i wielu innych autorów (niezależnie od ich obecnej pozycji w światowym ruchu komunistycznym) — reprezentują pogląd, że przed Rosją i krajami gospodarczo zacofanymi nie było i nie ma innej drogi. W swej głośnej książce wydanej na Zachodzie, Dżilas stwierdza, że dla Historii jest obojętne kto podejmuje realizację procesu dziejowego. Istotne jest tylko by dany proces został podjęty. Rewolucja przemysłowa jest procesem nieuchronnym i — zdaniem Dżilasa — komunizm podejmując to zadanie działa jako uprawniony agent sił historycznych.

Można by dyskutować z tą retoryką. Wieczne powoływanie się komunistów na Historię — przypomina łudząco niemieckie hasło: ,,Gott mit uns''. Marksiści, nawet tak światli jak Dżilas — nie mogą wyzwolić się z dziewiętnastowiecznej tendencji

,,biologizowania'' procesu historycznego. W socjologii ani w historii, prawideł à la Darwin — nie ma. Dlatego w historii — w przeciwieństwie do biologii — podobne uwarunkowanie daje czasem odmienne rezultaty. Turcja sprzed pierwszej wojny światowej była — podobnie jak Rosja — anachronistyczną monarchią zagubioną w nowoczesnym świecie i uwikłaną w sieci obcego kapitału. A przecież zmodernizowała się i uprzemysłowiła *nie* poprzez rewolucję komunistyczną.

Ale załóżmy, że teza o nieuchronności uprzemysłowienia poprzez początkową akumulację typu komunistycznego — jest słuszna. Można dyskutować z teoretykami i pisarzami — nie można jednak dyskutować z faktami. Trzeba stwierdzić, że na olbrzymich przestrzeniach naszego globu podjęto rewolucję przemysłową w oparciu o założenia marksistowskie i stworzono nieodwracalne fakty dokonane. Przedmiotem rozważań realisty może być więc tylko sytuacja obecna i perspektywy rozwoju zawarte w istniejących współcześnie możliwościach.

Cała beznadziejność wieloletniej propagandy zachodniej, prowadzonej przy olbrzymim nakładzie kosztów i wysiłków polega na tym, że kraje, które w rezultacie drugiej wojny światowej ,,wyemigrowały'' z orbity Zachodu minęły już punkt z którego powrót był możliwy. W tych krajach nie może być mowy o restauracji niektórych zachodnich instytucji demokratycznych i zachodniej, gospodarczej ,,drogi życia''. Prawa rozwoju społecznego, podobnie jak prawidła architektury, determinowane są typem fundamentu. Jeżeli zakładamy, że pewne fundamentalne zmiany, jak reforma rolna, nacjonalizacja wszystkich gałęzi produkcji przemysłowej, samorząd robotniczy itp. — są nieodwracalne, przyjąć musimy w konsekwencji, że dalszy rozwój w krajach bloku wschodniego możliwy jest tylko w oparciu o te elementy socjalistycznej ,,infrastruktury''.

Wskutek tego, mówiąc o demokracji, musimy pamiętać, że w tych krajach możliwy jest tylko taki typ demokracji, który nie będzie oznaczał kontrrewolucji, a jedynie następne stadium rozwoju w oparciu o istniejące fundamenty.



Robotnicy zarówno w krajach komunistycznych jak i w krajach kapitalistycznych są bezpośrednio zainteresowani w rozbudowie przemysłowej. Dobrze płacić może tylko zakład produkcyjny pracujący na pełnych obrotach. Jeżeli na pełnych obrotach pracuje większość zakładów przemysłowych — wówczas mamy nie tylko dobre płace lecz i pełne pokrycie towarowe dla pieniądza, który otrzymujemy. Nie ma innej drogi wiodącej do poprawy bytu robotnika i do podniesienia stopy życiowej społeczeństwa. Dlatego każda rzeczywista rewolucja socjalistyczna musi być równocześnie rewolucją przemysłową.

Likwidacja klas posiadających, wywłaszczenia, nacjonalizacja wszystkich gałęzi produkcji — nie stwarzają kapitału lecz

tylko istniejący kapitał akumulują. Innymi słowy, rewolucja nie wzbogaca ani kraju ani klasy robotniczej a dąży jedynie do scentralizowania zasobów gospodarczych w rękach partii.

I w tym miejscu zaczyna się problem. Zakładając, że rewolucja odbyła się bez wojny domowej i zniszczeń — trzeba stwierdzić, że po-rewolucyjna władza ludowa, podejmując budowę przemysłu, nie może równocześnie podnieść płac robotniczych. Rewolucja przemysłowa, której fundamentem jest rozbudowa ciężkiego przemysłu — jest skomplikowanym, wielopłaszczyznowym i wieloetapowym planem gospodarczym, obliczonym na dziesiątki lat. Realizacja takiego planu wymaga nie tylko początkowej akumulacji kapitału — ale wielu lat drakońskich oszczędności. Drakońskie oszczędności oznaczają niskie płace i braki we wszystkich dziedzinach — od masła zacząwszy na szczoteczkach do zębów skończywszy.

Kto rozbudowuje przemysł? Przemysł rozbudowują robotnicy. Bez robotników nie ma ani rozbudowy ani produkcji. Jeżeli władze mają pod dostatkiem pełnowartościowego pieniądza i gotowe są płacić wysokie stawki — robotników im nie braknie. Jeżeli jednak pieniędzy jest mało — a za te, które są można nie wiele kupić — sprawa się komplikuje. Robotnik pracuje tylko na skutek jednego z dwóch bodźców: albo dla pieniędzy, albo pod przymusem.

Stalin rozwiązał ten problem metodą przymusu i terroru w skali nienotowanej w dziejach. Jest oczywiste, że nie można stosować przymusu do wszystkich. Muszą istnieć ci, którzy terror stosują i ci, którzy są ofiarami tegoż terroru. Ponieważ w opinii Stalina maksymalne uprzemysłowienie Rosji było zadaniem naczelnym — przymus musiał być zastosowany do robotników. W konsekwencji trzeba było stworzyć aparat, który by ów rygor i przymus stosował. W ten sposób powstała gigantyczna kasta biurokratów,administratorów i policjantów, którzy za przywileje i wysokie pensje dbali o przestrzeganie w szeregach robotniczych ,,dyscypliny socjalistycznej''.

Z punktu widzenia socjalizmu metoda Stalina jest koszmarna. Oceniając ją jednak z punktu widzenia wielko-rosyjskiego imperializmu trudno jej odmówić realistycznych zalet. Rosja z semi-feudalnego kraju, zacofanego gospodarczo — w czasokresie jednego pokolenia stała się drugim z kolei przemysłowym i militarnym mocarstwem świata. W totalistycznej, imperialistycznej polityce liczą się tylko rezultaty. To tylko socjalizm — jak długo chce pozostać socjalizmem — musi się liczyć nie tylko z rezultatami ale i z metodami.

Stalinizm jako system upadł w Rosji w chwili, kiedy jego dziejowa misja została wypełniona. Uprzemysłowienie Związku Sowieckiego było już faktem dokonanym. W Polsce jednak nie ma już stalinizmu, choć do końca naszej rewolucji przemysłowej jest jeszcze bardzo daleko.

W obliczu powyższego dylematu natolińczycy w Kraju,

a pan Mikołajczyk na emigracji — wnioskują: „Październik przyszedł za wcześnie”.

„Jutro Polski” cytuje powiedzenie Peter Simple'a („Daily Telegraph”), że Gomułka nie ma marchewki a nie śmie użyć kija.

Byłoby oczywistym nieporozumieniem usiłować przekonać krajowych czy emigracyjnych dzierżymordów — że brak mar-chewki stwarza dostateczne moralne uzasadnienie dla kija.

Rosja jest krajem w którym nigdy nie było demokracji. Tradycje despotyzmu sięgają do korzeni historii rosyjskiej państwowości. Stalinizm w Rosji nie wyskoczył jak Minerwa z głowy Jowisza — lecz wyrósł jako naturalny produkt z po-lityczno-społecznej gleby.

Przerzucony na obce terytorium stalinizm stawał się kla-sycznym rosyjskim imperializmem. Podtrzymywanie tego syste-mu z jednej strony kompromitowało Rosję zwłaszcza wśród ludów kolonialnych w Azji i w Afryce — z drugiej strony, dyna-mizowało reakcję narodową. Wypadki Października odsłoniły na moment pokrywę z tego kotła i pozwoliły ocenić temperaturę jego wnętrza. Gdyby stalinizm trwał dwa, trzy lata dłużej — doszłoby do wybuchu. W dniach październikowych Polacy za-chowali się mądrze i dojrzale, ale trzeba obiektywnie stwierdzić że i Rosjanie zachowali się rozsądnie. Gdyby przywódcy sowiec-cy wprowadzili do dyskusji dywizje pancerne — mimo naszej dojrzałości skończyłoby się na powstaniu.

Rosjanie są narodem o pewnym doświadczeniu imperial-nym. W danym momencie ocenili, że restaurowanie pełnego systemu okupacyjnego wymagałoby zgniecenia siłą rewolucji narodowej. Przyznanie Polsce pewnej autonomii wydawało się rozwiązaniem korzystniejszym. Gomułka był w danym mo-mencie właściwym człowiekiem — gdyż dla komunistów był ko-munistą a dla narodu Kościuszką bezkrwawej insurekcji.

Stalinizm ma dwa aspekty: doktrynalny i imperialistyczno polityczny. Monolityczność stalinizmu ma pewną siłę fascynacji której ulegało w Polsce znacznie więcej ludzi niżby dziś można było wnioskować. Faszyzm miał u nas zawsze cichych i tęsk-nych wyznawców a stalinizm nie jest przecież niczym innym jak faszyzmem *à rebours*.

Ponieważ większość nieporozumień bierze swe źródło z do-wolności terminologicznej — należy zaznaczyć, że przez powrót do stalinizmu rozumiem ewentualne cofnięcie Polsce jej obec-nych przywilejów i wznowienie bezpośredniej sowieckiej inge-rencji i nacisku. Polska może się stać powtórnie satelitą Sowie-tów w sensie polityki stalinowskiej, niezależnie od jakichkolwiek zmian na stanowisku pierwszego sekretarza sowieckiej partii komunistycznej. Wznowienie kultu jednostki jest do tego nie potrzebne.

Istotne pytanie brzmi: Czy koncepcja polskiej drogi do socjalizmu jest koncepcją realną? Czy jest rzeczą możliwą by

stalinowskiego kija i bez marchewki amerykańskiej wyjść z obecnego kryzysu?

Jeden z dobrze zorientowanych członków partii z którym rozmawiałem tu w Londynie — wyraził się, że w jego mniemaniu — absenteizm, bumelanctwo, kradzieże, łapownictwo, spekulanctwo, kumoterstwo, bezodpowiedzialność, alkoholizm itp. — mają niewątpliwie wspólny socjologiczny mianownik, ale on nie umie go nazwać.

Wydaje mi się, że marksista nie powinien mieć trudności ze znalezieniem owego wspólnego mianownika.

Od wielu lat obserwuję polskich robotników w Anglii. Przez jakiś czas byłem jednym z nich. Odznaczają się wybitną pracowitością i oszczędnością. Ciułają z podziwu godnym uporem. Bumelanctwo, rozrzutność, alkoholizm — są nieznane wśród polskiej klasy robotniczej w Wielkiej Brytanii.

Oceniany pod kątem widzenia reprezentatywności w odniesieniu do tak zwanych ,,cech narodowych'' — robotnik polski w Londynie nie jest mniej typowy niż robotnik polski w Warszawie. Natomiast uwarunkowanie socjalno-ekonomiczne polskiego robotnika w Anglii jest inne i suma jego reakcji na owo uwarunkowanie w konsekwencji jest inna.

W moim mniemaniu każda grupa społeczna — bez względu na narodowość analogicznie uwarunkowana społecznie, politycznie i gospodarczo — wykazałaby zespół reakcji bardzo podobny do tych, które charakteryzują znaczny procent współczesnego społeczeństwa polskiego w Kraju. Ci sami polscy robotnicy, gdyby ich przenieść z Anglii do Polski — prawdopodobnie przestaliby oszczędzać — pracować ,,overtimy'' i żałować sobie na ,,drink'a''. Warto bowiem pracować rzetelnie ale za 14 funtów tygodniowo. Warto pracować zażarcie w Anglii, gdzie jeżeli ma się pieniądze można wszystko dostać i wszystko kupić. Wreszcie warto oszczędzać w funtach, bo jest to pieniądz pełnowartościowy i nikt w Anglii na przestrzeni jednego pokolenia nie tracił trzykrotnie wszystkich swoich oszczędności jak większość Polaków w Kraju.

Ale problem leży gdzie indziej. Człowiek swoją postawą i aktywnością może twórczo wpłynąć na zmianę otaczających go warunków. Jeżeli jednak zmiany tak psychologiczne jak fizyczne spowodowane niekorzystnym uwarunkowaniem sięgają zbyt daleko — sytuacja bierze górę nad jednostką. Człowiek głodny podejmie się najcięższej pracy za kawałek chleba — dla człowieka wyniszczonego długotrwałym głodem taka odpowiedź jest nierealna.

W Polsce głodu — Bogu chwała — nie ma, ale niekorzystne uwarunkowanie trwa bardzo długo. Sądzę, że negatywnych cech nabytych w konsekwencji tego długotrwałego uwarunkowania nie byłoby łatwo wykorzenić. Gdyby jutro pojawiła się w Polsce zamiast złotego pełnowartościowa waluta z prawdziwego zdarzenia — Polacy w Kraju nie staliby się z dnia na dzień oszczęd-

ni i pracowici na wzór polskich robotników w Wielkiej Brytanii. Na to by społeczeństwo w Kraju zmieniło zasadniczo swój stosunek do kardynalnej wartości: praca - pieniądz — trzeba by kilku lat ustabilizowanych w pełni warunków.

Pytanie więc brzmi: czy zespół negatywnych zmian jak absenteizm, niewydajność, alkoholizm itd. — wywołanych długotrwałym niekorzystnym uwarunkowaniem — nie sięga tak głęboko, iż czyni nierealną mrzonką wyjście z obecnego kryzysu o własnych siłach.

Oczywiście odpowiedź na powyższe pytanie — o ile w ogóle jest możliwa — w znacznej mierze zależeć będzie od tego co rozumiemy przez słowo „kryzys". Jest sporo krajów na świecie, gdzie dochód narodowy jest znacznie mniejszy niż w Polsce. Wystarczy dla przykładu przytoczyć Indie. Jednak mówiąc o stopie życiowej — mimo sympatii jaką żywimy dla ojczyzny Gandiego — nie możemy brać Indii za miernik polskiej wytrzymałości.

Dochód narodowy w dolarach na głowę mieszkańca w roku 1955 wynosił: w Stanach Zjednoczonych — 1.960; w Anglii — 1.038; w Szwecji — 1.123; w Szwajcarii — 1.025; w Polsce — 292. Cyfry powyższe zaczerpnięte są z świeżo wydanej w Warszawie książki A. Karpińskiego i M. Rakowskiego pt. „Gospodarka Polski na tle gospodarki świata". Wymowa tych cyfr, którym nikt chyba nie zarzuci, że są spreparowane dla celów propagandowych — jest przytłaczająca.

Jedną z charakterystycznych cech polskiego kryzysu jest przepaść pomiędzy kulturalno-społecznym poziomem robotnika a jego stopą życiową. Nie ulega wątpliwości, że w porównaniu z okresem przedwojennym — robotnik więcej czyta a zakres jego uświadomienia uległ znacznemu poszerzeniu. Jeżeli jednak ogólnemu wzrostowi oświaty nie towarzyszy proporcjonalny wzrost stopy życiowej — powstaje rozdźwięk stanowiący źródło pogłębiającego się niezadowolenia i niewiary. Uświadomiony robotnik im więcej czyta tym boleśniej odczuwa prymitywne ramy bytowania, a w szczególności katastrofalne warunki mieszkaniowe.

Bo co to znaczy rozbudowywać czytelnictwo i udostępniać możliwości kształcenia szerokim masom społeczeństwa? To znaczy rozbudowywać rynek na dobra kulturalne — to znaczy stwarzać rosnące zapotrzebowanie w odniesieniu do ogólnego poziomu kulturalnego tak w sensie materialnym jak i duchowym.

Ową wyliczankę niepokojących objawów obecnego kryzysu można by kontynuować na dziesiątkach stron druku. Nie jest jednak moim celem przeprowadzenie pełnej inwentaryzacji elementów kryzysowych w Polsce współczesnej. Powyżej przytoczone przykłady ilustrują dostatecznie genezę, wymiar i zasięg klęski.

Na czym polega polityka Gomułki?

Naród poparł w październiku ubiegłego roku Gomułkę, ponieważ większość wierzyła, że z jednej strony zdoła on zdobyć i utrzymać maksimum osiągalnej w naszych warunkach niepodległości — z drugiej zaś strony zdoła podtrzymać i pogłębić proces demokratyzacji i decentralizacji.

Istnieje niewątpliwie funkcjonalny związek między demokratyzacją a niepodległością. Każdy krok na drodze ku demokracji budzi nieufność w Moskwie. Pogarszanie się stosunków między Moskwą a Warszawą stanowi bezpośrednie zagrożenie dla naszej niepodległości.

Ale to jest tylko jedna strona medalu.

Jeżeli ceną dobrych stosunków z Rosją miałoby być odejście od października i kompletny konformizm na wzór sowiecki — to wówczas „polska droga do socjalizmu" stanie się zwykłą propagandową etykietką, która nie wiele więcej będzie mówiła jak „gruzińska droga do socjalizmu" czy „uzbecka droga do socjalizmu".

„Polska droga do socjalizmu" jest wykładnikiem i miarą tej ograniczonej niepodległości jaką zdobyto w październiku ubiegłego roku. Upadek demokratyzacji byłby nie tylko bankructwem pewnej koncepcji, lecz również nawrotem do satelictwa.

Każdy krok wstecz na drodze do demokracji — każde ograniczenie wolności — ma w naszych warunkach dwa aspekty. Jeżeli — powiedzmy dla przykładu — zamyka się „Po Prostu", to z jednej strony jest to krok zmierzający do poprawy stosunków z Moskwą, a z drugiej strony jest to kapitulacja. Innymi słowy każde umniejszenie wolności dyktowane chęcią nieprowokowania Rosji — jest dobrowolną rezygnacją z istotnego atrybutu niepodległości. To jest zupełnie tak, jakby naród chcąc się ratować przed agresją, wycofywał się dobrowolnie z kawałka terytorium. Tę metodę, jak wiemy, stosować można tylko do czasu.

W chwili gdy piszę te słowa, agencje zagraniczne w depeszach swych korespondentów warszawskich — opisują wielką demonstrację młodzieży akademickiej na placu Narutowicza.

Zamknięcie „Po Prostu" to jest nie tylko upadek odważnego tygodnika. To jest ostatni (czy ostatni?) akt dramatu, który zadecyduje o wielu istotnych sprawach w Polsce.

Październik zawiódł nadzieje młodzieży. Młodzież akademicka i robotnicza była awangardą Października.

Na to by móc odpowiedzieć dlaczego Październik wywołał taki entuzjazm wśród młodzieży — trzeba wydarzenia sprzed roku rzucić na szersze tło.

W Polsce istnieją dwa tradycyjne nurty myśli politycznej: prawica i lewica. Nurt prawicowy — w konsekwencji obecnego układu — nabrał klasycznych cech wielopolszczyzny. I to jest owa platforma na której spotykają się zupełnie różne odłamy i ugrupowania postępowej i mniej postępowej prawicy polskiej.

Dla jednych owym wielopolskim ideałem będzie statut Finlandii — drudzy nie sięgają tak daleko i zadowoliliby się pozycją lennika a nawet agenta.

Drugi tradycyjny nurt polskiej myśli politycznej — to lewica. Nic bardziej obcego dla polskiej tradycji lewicowej jak wielopolszczyzna. Na wielopolszczyźnie nikt nigdy w Polsce rewolucji nie zbuduje. I to jest owa intymna narodowa tajemnica, której natolińczycy nie rozumieli.

Październik porwał za sobą młodzież ponieważ poczęty był w polskiej tradycji lewicowej. Był niepodległościowy i demokratyczny — był reakcją zarówno na wiernopoddańczą wielopolszczyznę Natolina — jak i na bezduszny antydemokratyzm stalinizmu.

Operowanie terminami jak „wściekli" — zwęża perspektywę. To nie tylko „wściekli", ale cała postępowa młodzież polska pozostała wierna polskiej tradycji lewicowej. W czasie demonstracji na placu Narutowicza — jak podaje korespondent „The Manchester Guardian" — kursowała ulotka z następującym napisem: „Nie ma socjalizmu bez demokracji — nie ma demokracji bez wolnej prasy". Młodzież od października nie zmieniła się — to tylko panowie na górze zmienili skórę.

Co to wszystko oznacza w sensie politycznym? Oznacza wiele. Oznacza, że po upływie dwunastu miesięcy polska lewicowa młodzież znalazła się w opozycji do Gomułki, twórcy Października.

W oparciu o jakie siły zamierza Gomułka budować polską drogę do socjalizmu? W oparciu o wielopolszczyznę Natolina, Paxu i pomniejszych ugrupowań? W oparciu o te siły można budować satelickie państwo, ale nie polską rewolucję i nie socjalizm.

Nie ulega wątpliwości, że w oczach góry rządzącej studenci na placu Narutowicza, domagający się wolności prasy i demokracji — to była grupa niedojrzałych wyrostków otumanionych hasłami socjaldemokracji czy zgoła wrogów ludu.

Podejmowanie dyskusji na temat „odmian" socjalizmu zaprowadziłoby nas zbyt daleko. W tym miejscu wystarczy jeśli stwierdzimy, że każda z „odmian" socjalizmu stanowić może fundament polskiej drogi do socjalizmu — z wyjątkiem socjalizmu ożenionego z wielopolszczyzną. Im bardziej obóz rządzący w Polsce upodabniać się będzie w swych metodach i ideologii do Natolina — tym głębsza będzie przepaść oddzielająca go od młodzieży robotniczej i inteligenckiej. Nie jest rzeczą możliwą budowanie socjalizmu w oparciu o nie-socjalistów — mając radykalnie lewicową młodzież w opozycji.



W listopadzie ubiegłego roku napisaliśmy — niewątpliwie w zgodzie z ówczesną opinią większość emigracji, że... „udzielamy kredytu Władysławowi Gomułce".

*Kredytu tego nie cofamy, ale jest go już bardzo mało.*

Od października ubiegłego roku Gomułka uległ „rozdwojeniu". Istnieje Gomułka wystylizowany przez pobożne życzenia dziennikarzy i publicystów a obok niego Gomułka, który zamyka „Po Prostu" i każe szarżować milicji na tłum studentów.

*Okres pobożnych życzeń i legendy musi się skończyć. Jesteśmy gotowi nadal mobilizować opinię na Zachodzie — jesteśmy gotowi tłumaczyć Amerykanom, że należy udzielić rządowi Gomułki wydatnej pomocy gospodarczej — ale pod warunkiem nawrotu do Października. Jesteśmy w pełni solidarni z tymi co byli na placu Narutowicza.*

Nie tracimy nadziei, że duch Października jest jeszcze w Polsce do uratowania. Zdajemy sobie sprawę z faktu, że w obecnej sytuacji — każda radykalna zmiana w kierownictwie byłaby — niemal na pewno zmianą na gorsze. Jednak zdajemy sobie sprawę i z tego, że Października nikt w Polsce nie uratuje wbrew Gomułce. Oby nie trzeba było stwierdzić, że nie dorósł on do swej roli, która napisana jest niewątpliwie dla męża stanu i narodowego przywódcy.

*Juliusz MIEROSZEWSKI*

# Kronika angielska

## REFLEKSJE HISTORYCZNE

W prasie krajowej ukazało się ostatnio sporo artykułów poświęconych polityce Józefa Becka. Wymienić tu należy artykuły Jasienicy, Arskiego, Stefana Kisielewskiego, Batkowskiego i innych.

Oceny autorów krajowych są bardzo różne. Żadna z tych analiz, w moim przekonaniu, nie trafia jednak w sedno.

Nie mieliśmy w przeszłości i nie mamy dzisiaj ogólno-polskiej polityki. Mamy tylko konkurencyjne koncepcje i doktryny partii i ugrupowań. W Anglii polityka zagraniczna jest de facto zawsze koalicyjna. Dlatego w Anglii poza politykami partii pracy i partii konserwatywnej — istnieje jeszcze polityka brytyjska. Angielskich mężów stanu w analizie historycznej ocenia się nie na tle polityki partyjnej lecz w konfrontacji z interesami polityki brytyjskiej.

Ponieważ nie dysponujemy ogólno-narodową polityką, która jest zawsze owocem tradycji i kultury demokratyczno-parlamentarnej — brak nam skali ocen historycznych.

Nie ma historycznej postaci Józefa Becka — są tylko jego sylwetki, całkowicie do siebie niepodobne, szkicowane przez piłsudczyków, marksistów, endeków czy ludowców.

Politykę Becka można oceniać tylko na tle jego obozu. Jako przekonany i wierny piłsudczyk nie mógł postępować inaczej jak postępował. Tylko ktoś bezprzykładnie nie wyrobiony politycznie może go obarczać winą za złe stosunki z Sowietami. Z równą logiką można by winić generała Sławoja Składkowskiego, że będąc premierem nie zakładał w Polsce kołchozów.

W Polsce partia, która zdobyła władzę nie interesuje się zwyczajną polityką, tylko poświęca się „misji dziejowej". Rozpoczyna nowy tom historii polskiej i umacnia swoją dyktaturę. Inne partie i bezpartyjni mogą kolaborować z dyktaturą tylko na statusie satelickim. Raz się to nazywa Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem — innym razem Organizacja Frontu Narodowego. Autentyczna opozycja jest zawsze poza nawiasem i poza prawem. Sejm jest bez znaczenia a wybory „cudem nad urną".

Przy takim systemie nie jest rzeczą możliwą w chwilach kryzysu wyłonić rząd koalicyjny, który reprezentowałby wachlarz rzeczywistych sił społecznych.

Polski system opiera się nie na parlamentaryźmie, lecz na zamachach stanu i obcej interwencji. Gdyby nie było wojny, tylko w drodze zamachu stanu lub rewolucji (w połączeniu z obcą interwencją) — byłoby możliwe usunąć sanację od władzy. Dyktatura sanacyjna narodziła się w wyniku zamachu stanu a upadła w konsekwencji wojny.

Obecny rząd również nie zawdzięcza niczego woli polskich wyborców i narodził się w wyniku przegranej wojny i obcej interwencji. Usunięcie obecnej dyktatury byłoby możliwe tylko w oparciu o obcą interwencję i wojnę. I tak w kółko.

Trzeba sobie powiedzieć, że powyższy system jest raczej beznadziejny i prowadzi do całkowitej anarchii skali ocen historycznych. Albowiem każda partia przy władzy przystępuje natychmiast do re-edycji Historii.

Gdyby spełniły się marzenia pewnych emigrantów i gdyby w następstwie wojny — między wielu innymi rzeczami i głowami, upadła Rosja i komunizm — nowa partia przy sterze w Warszawie przystąpiłaby natychmiast do re-edycji Historii. Dzieje Polski Ludowej w tym nowym wydaniu byłyby równie mało obiektywnie przedstawione — jak mało obiektywnie przedstawione są dzieje Polski dwudziestolecia w edycji Polski Ludowej.

## REFLEKSJE SATELICKIE

W zamierzchłych czasach, kiedy Rosja nie posiadała ani pocisków międzykontynentalnych, ani satelitów obiegających ziemię, ani nawet naj najzwyczajniejszej bomby atomowej — Bertrand Russell w jednym ze swych szkiców zaryzykował pogląd, że wolność twórczości i badań jest niepodzielna. Przykładu dostarczył Einstein. Gdyby w hitlerowskich Niemczech istniała wolność — pisał Russell — Einstein nie musiałby emigrować do Ameryki i pierwsza bomba atomowa w dziejach ludzkości narodziłaby się w Niemczech. (W nawiasach warto zauważyć, że jest to chyba jedyny w dziejach wypadek, kiedy antysemityzm oddał ludzkości nieocenioną usłu

gę. Bomba atomowa w rękach Hitlera to byłby koszmar przekraczający granice ludzkiej wyobraźni).

Teza o niepodzielności wolności nie wytrzymała próby czasu. W Sowietach jest niepomiernie mniej wolności niż w Anglii, czy w Stanach Zjednoczonych, a mimo to, rosyjskie badania i myśl odkrywcza wysunęły się na czoło.

W porównaniu z epoką stalinowską w Sowietach jest jednak kardynalna zmiana. Ideolodzy partyjni nie decydują już o problemach biologii, fizyki, czy chemii. Co więcej, każde nowe odkrycie w chemii czy w fizyce z góry uznane jest za zgodne z marksizmem-leninizmem. Naukowiec, który produkuje szczepionkę przeciwko grypie czy nowy gatunek sztucznego nawozu (nie mówiąc już o luminarzach projektujących rakiety międzykontynentalne) wróciwszy do domu może spać spokojnie. Nie popełnił bowiem żadnego „odchylenia" — lecz przeciwnie osiągnąwszy sukces dostarczył nowego dowodu wyższości nauki marksistowsko-leninowskiej nad jej zabłąkaną siostrzycą — nauką burżuazyjną.

W sumie — rosyjski chemik czy fizyk korzysta z pełnej wolności w sferze swych badań. Oczywiście zakłada się, że jest materialistą i nie interpretuje swych odkryć po liniach poglądu idealistycznego. Ale od interpretowania odkryć i praw są filozofowie.

Zupełnie inna jest pozycja humanistów wszelkiego typu i kalibru. Chruszczow czuje się nie tylko uprawniony ale i powołany pouczać Dudincewa jak powinien pisać swe powieści. Nie przyjdzie mu jednak nigdy do głowy pouczać nuklearnych inżynierów fabrykujących sowieckie bomby wodorowe.

W konsekwencji trzeba stwierdzić, że o ile klimat państwa totalistycznego jest zabójczy dla wszelkiej humanistyki — o tyle jest idealną cieplarnią dla rozkwitu nauk ścisłych. Tylko państwo totalne, niezależne od skąpych parlamentów, łożyć może olbrzymie sumy na badania naukowe.

Za technologiczną elitą naukową stoją w Rosji dwie potęgi: wojsko i przemysł. Kto stoi za humanistami?

Prasa amerykańska i angielska w poszukiwaniu przyczyn sukcesów technologii rosyjskiej doszła do zgodnego wniosku, że sowiecki system nauczania w tych gałęziach wiedzy stoi wyżej niż na Zachodzie.

Jeszcze przed pierwszą wojną światową młody angielski gentleman ukończywszy szkołę średnią jechał do Cambridge czy do Oxfordu, gdzie studiował łacinę i grekę. Czytał klasyków i wiosłował. Ten typ wykształcenia otwierał przed nim karierę w parlamencie, w Foreign Office czy w wielkiej administracji imperialnej.

Rok temu na tych łamach omawiałem wielki plan przebudowy szkolnictwa brytyjskiego w celu zwiększenia produkcji technologów, fizyków, matematyków i chemików.

Przeżywamy rewolucję „technizacji" kultury i w ruchu tym przewodzi niewątpliwie Związek Sowiecki. Państwo totalistyczne tej wielkości dysponuje nie tylko olbrzymimi środkami finansowymi, lecz także skomplikowanym i niezawodnym aparatem nacisku i perswazji. Narzuca się z góry kryterium, że warto kształcić jedynie młodych ludzi uzdolnionych technicznie. Jeszcze dziesięć czy piętnaście lat i przez termin „wykształcenie" będzie się rozumiało wyłącznie wykształcenie techniczne lub przyrodnicze.

Wystrzelenie satelity miało dwa cele na oku. Po pierwsze wykazać światu, że Rosja dysponuje rakietą międzykontynentalną, która w tym wypadku zamiast głowicy atomowej wyniosła w przestrzeń sztuczny księżyc. Po drugie zademonstrować, że tylko Rosja posiada taki pocisk.

Fakty w pełni potwierdziły kalkulację sowiecką. Amerykanie czują się upokorzeni jak nigdy dotąd. Okazuje się, że demokracja konsumentów, obliczona na „gadżety" — została zdystansowana w wyścigu badawczym. Jeszcze raz okazało się jak niebezpiecznie jest poświęcać „know why" dla „know how".

## REFLEKSJE EMIGRACYJNE

Byłoby rzeczą interesującą napisać studium historyczne odmalowujące wpływ europejskich emigrantów na dzieje świata w ostatnich dwustu latach.

To nie tylko Karol Marks był emigrantem. To nie tylko „Kapitał", „Pan Tadeusz" i „Doktór Faustus" — napisane zostały przy emigranckim biurku. Europejskimi emigrantami byli również następujący panowie: Einstein — niemiecki Żyd, Ferni — Włoch, Szillard — Węgier, Bohr — Duńczyk. Tych czterech emigrantów stworzyło bombę atomową. Co z tego wynikło — wiadomo.

To wszystko nie jest wstępem do komunikatu, że Związek Inżynierów Polskich w Wielkiej Brytanii przystąpił do budowy statku międzyplanetarnego pod nazwą „Biały Koń". Cel tej notatki jest nieco skromniejszy. Chodzi mi tylko o wykazanie, że publicyści i pisarze krajowi widzą wciąż zjawisko emigracji w niezmiernie prowincjonalnej i mieszczańskiej perspektywie.

W Kraju pisząc o emigracji powtarza się w kółko boguojczyźniane komunały w rodzaju że „Polska leży nad Wisłą i tylko nad Wisłą można dla niej pracować, że „emigracja skazana jest na wieczne kibicowanie", że „w oderwaniu od macierzy nie może powstać żadne dzieło polskie z ducha i z treści" itd., itd.

Za tym wszystkim kryje się skompleksiała (jakby powiedział Wiesław Górnicki) refleksja, że skoro mieszkają na tym Zachodzie, skoro nie wystają w ogonkach u rzeźnika, skoro miewają skutery, samochody i własne domki — to niechże przynajmniej będą kibicami impotentnymi w wszystkich sprawach dotyczących polskości.

Polska Ludowa jest jedynym państwem komunistycznym na świecie, które posiada ogromną potencjalną kontrrewolucję poza swymi granicami i zasięgiem. Tu nie chodzi o setki tysięcy lecz niemal o 20% całego narodu.

Terminu „kontrrewolucja" w odniesieniu do Polaków zagranicznych użył w rozmowie ze mną pewien krajowy dziennikarz, członek partii. W mojej opinii to jest określenie błędne. Do potencjalnej kontrrewolucji w najlepszym razie zaliczyć by można 10% emigracji.

Gdyby ogół Polaków zagranicznych można było zaklasyfikować jako białogwardyjską kontrrewolucję sprawa byłaby prosta i niekłopotliwa. Wówczas wystarczyłby biuletyn „Kraj" jako naczelny organ zwalczania „emigrandy".

90% emigracji to nie jest kontrrewolucja lecz opozycja. Opozycja jeszcze nie w pełni wykrystalizowana ale świadoma swej roli i odrębności.

Jedno jest pewne. Próby zaafiliowania opozycyjnych ugrupowań emigracyjnych do partii czy ugrupowań koncesjonowanej opozycji w Kraju — nie dają i nie dadzą żadnych rezultatów. Ci co żywią w tym względzie pobożne życzenia winni je w imię realizmu — porzucić.

Jaka jest różnica między opozycją a kontrrewolucją?

Opozycjonista wierzy w możliwość zmian (reform) na drodze ewolucyjnej. Zarówno w biologii jak i w polityce głównym instrumentem ewolucji jest — walka. Opozycjonista akceptuje sytuacyjne ramy danego układu i nie dążąc do jego likwidacji (kontrrewolucja) podejmuje walkę o zasadnicze reformy. Opozycjonista emigracyjny akceptuje obecny układ w Polsce Ludowej ale Polska Ludowa nie akceptuje jego jako opozycjonisty. Innymi słowy niezależny opozycjonista choćby uznawał obecny układ w Kraju — de facto nie ma legalnego wstępu do Polski.

Sprawa jest jasna choć pewnym przybyszom z Kraju nie łatwo jest ją wytłumaczyć. Co to znaczy wziąć paszport polski i uznać rząd PRL? To oznacza nie tylko uznanie p. Cyrankiewicza za prawowitego premiera Polski. To przede wszystkim wymaga uznania, że nasze prawo walczenia o reformy jest przestępstwem stojącym w kolizji z obowiązującymi ustawami. Moglibyśmy uznać pana X czy pana Y za prawowitego premiera R.P., ale nie możemy uznać, że nasze prawo walki o reformę jest bezprawiem. Ponieważ te dwa momenty są z sobą funkcjonalnie związane — nawet akceptując obecny układ w Polsce (choć nie w całości) — nie mamy możliwości uznania rządu PRL za nasz rząd. I to nie jest zacietrzewienie — to niestety jest logika.

W tym miejscu pada replika: „Akceptujecie sytuację w Polsce, domagacie się reform. Ale jak można wpływać na konkretny układ stosunków będąc poza tym układem?"

To jest owa klasyczna formuła, która ma służyć za niezbity dowód, że nawet koncesjonowana opozycja ale w Kraju jest lepsza i bardziej skuteczna niż opozycja, wprawdzie niezależna, ale zagranicą.

W moim przekonaniu potrzebna jest jedna i druga z tym, że autentyczną opozycją jest tylko ta druga — poza granicami Kraju.

W wyborze „pola bitwy" decydują zawsze możliwości taktyczne. Weźmy przykład na pewno nie jedyny ale nam najbliższy. Bezsprzecznie dla naszych celów korzystniej jest wydawać „Kulturę" zagranicą i docierać do Kraju tylko w sile kilkuset egzemplarzy niż wydawać nasz miesięcznik w Warszawie w nakładzie 15 czy 20 tysięcy egzemplarzy. W Kraju podlegalibyśmy cenzurze i każdej chwili groziłby nam los „Po Prostu". Nie w każdym stadium i nie zawsze oddziaływanie masowe jest najważniejsze. Nieraz pismo o minimalnym nakładzie wywiera — okazuje się w konsekwencjach — znaczny wpływ. A jakże często z dostojnych urzędówek o wyśrubowanych nakładach nie pozostaje nic poza wagonami makulatury.

„Nie zawsze się z wami zgadzam, czasem wręcz nie zgadzam się ale wczytuję się w każdy numer „Kultury", który tu do nas dociera. Świadomość że czytam polskie pismo niecenzurowane — działa na mnie ożywczo i — chciałoby się rzec — podtrzymuje moją wiarę w jutro".

To jest wyjątek z listu warszawskiego z dnia 10 października br.

Ci, których tłukła milicja pałkami na placu Narutowicza, ci młodzi którzy z socjalizmem łączą demokrację i wolność prasy — jeżeli dostaną do ręki egzemplarz ,,Kultury" to choćby z takim czy innym sformułowaniem nie zgadzali się — pomyślą: jest na świecie polska niezależna prasa i nie na wszystkich polskich mózgach rozsiadł się cenzor.

Móc to sprawić może nie jest wiele — ale jest istotne.

*LONDYŃCZYK*

*P.S.* — Odwiedził mnie pewien dziennikarz z Kraju. Spojrzał na moją fajkę, pociągnął nieufnie łyk sherry — spojrzał na psa przed kominkiem i powiedział: ,,Pan zupełnie wygląda jak Anglik a pańska żona jak Angielka". Ta uwaga wydawała mi się raczej dziwna ale nie protestowałem.

W czasie dalszej rozmowy mój gość oświadczył szczerze : ,,Tak przywykłem pisać wszystko pod cenzurę, że nawet tu w Londynie piszę wszystko pod cenzurę".

Dopiero po tym wyznaniu zbudziły się we mnie wątpliwości. Może ja istotnie zangielszczałem?

# Wrażenia z Polski

,,Polska jest dzisiaj pępkiem światowego komunizmu'', powiedział mi — nie bez dumy — jeden z czołowych polskich myślicieli. To poczucie historycznego znaczenia obecnego kierunku Polski, przypominające postawę Jugosłowian sprzed kilku lat, znamionowało ogólną atmosferę wśród marksistów, z którymi rozmawiałem w czasie niedawnej swej wizyty w Polsce. Są to przeważnie ludzie wstrząśnięci do głębi dwunastoleciem przemocy sowieckiej i przeświadczeni o nie-marksistowskim charakterze piętna stalinowskiego wyciśniętego na międzynarodowym komuniźmie. Najbardziej może uderzający jest ów ciekawy odcień mesjanizmu — tak typowy dla polskiej myśli politycznej, co najmniej od Mickiewicza — z którym polscy intelektualiści, uważający się sami za marksistów, podejmują dzisiaj zagadnienia stojące przed obozem komunistycznym. Wierząc usilnie, że Związek Sowiecki pod Stalinem skonstruował system przeczący podstawowym aspiracjom marksizmu, widzą oni w sobie awangardę nowego rewolucyjnego przebudzenia — Reformację, rzec by można — szeregów marksistowskich, która ma przywrócić marksizmowi jego sens ludzki i jego domniemany naukowy, nie dogmatyczny kierunek. Jeden z komunistycznych myślicieli posunął się aż do twierdzenia, że główną zasługą marksizmu jest naukowe ustalenie zawsze pozytywnego społecznie charakteru rewolucji; dlatego też jest teraz powinnością marksistów rozniecić ducha rewolucji w komuniźmie, ducha, który by nie uznawał za niewzruszone żadnych istniejących instytucji lub systemów ,,socjalistycznych'' ale który by zmierzał do utrzymania dialektyki rewolucji w jej historycznym ruchu naprzód.

### *Polski marksizm*

Marksiści, z którymi rozmawiałem, śledzą ze zrozumiałym zainteresowaniem doświadczenia chińskie i jugosłowiańskie. Często cytuje się lutowe przemówienie Mao Tse-tunga a znana jego uwaga o stu kwiatach stała się prawie potocznym zwrotem. Tym niemniej trudno oprzeć się wrażeniu, że tak chińska jak jugosławiańska sytuacja nie jest zbyt jasno rozumiana w Polsce, że przechodzi się do porządku dziennego nad specyficznymi warunkami odnośnych krajów i że wnioski wyciągane ze stanowiska Mao lub Tity są specjalnie tak dopasowywane aby odpowiadały zgoła odmiennym warunkom polskim. Stąd wypowiedzi Mao używa się przeciwko Sowietom w znacznie szerszej rozciągłości, niżby, prawdopodobnie, on sam się tego spodziewał, względnie zamierzał. Podobnie, chociaż często przytacza się w Polsce pretensje Tity do wewnętrznej demokracji poprzez rady robotnicze, nie zmienia to faktu, że zakres swobody osobistej jest już znacznie większy w Warszawie niż w Belgradzie i że niewielu Polaków pogodziłoby się z sytuacją, w której by rzeczywiście zastosowano system jugosłowiański. Tym niemniej, zarówno chiński jak jugosłowiański system dostarczają Polakom tak bardzo potrzebnej broni przeciw jakiemukolwiek nawrotowi do sowieckiej dominacji i służą za dowód, że komunizm może utrzymać się przy władzy bez naśladownictwa metod sowieckich.

Polscy marksiści nie stanowią jednak dzisiaj jednolitej grupy. Aczkolwiek chęć podziału krzyżujących się obecnie opinii i debat, na kategorie, prowadzi z natury rzeczy do pewnych uproszczeń, można by rozróżnić trzy główne, choć często mieszające się z sobą odłamy: „uczonych w piśmie", „humanistów" i „biurokratów" czyli członków aparatu partyjnego. Pierwsza grupa obejmuje przede wszystkim tych marksistów, którzy są naukowcami z zawodu. Grupa ta, raczej nie duża liczbowo, jest przeświadczona, że należy przywrócić marksizmowi charakter wiedzy społecznej i że ten jego naukowy charakter należy oczyścić z następstw dogmatyzmu, znamionującego jeszcze dzisiaj komunizm sowiecki. W tym celu skłonni są oni nawet do stosowania metod analizy, zapożyczonych z zachodniej socjologii, ekonomii i nauk politycznych. Wierzą, że marksizm, odrodzony jako nauka, ze względu na swą rzekomą wyższość na dalszą metę, jako metoda analizy weźmie górę ponad innymi szkołami myślenia Zachodu.

„**Humaniści**" są najliczniejsi wśród polskich intelektualistów, szczególnie wśród pisarzy. Dowodzą oni, że marksizm w istocie swej jest poszukiwaniem sprawiedliwości społecznej i że eksperyment sowiecki stracił z oczu zasadnicze ludzkie cele Marksa. Komunizm winien, wobec tego, dążyć przede wszystkim do odzyskania swego z gruntu humanitarnego ducha i zaniechać budowania szczęśliwej przyszłości na grobach swych ofiar

Przedstawiciele tej grupy, podobnie jak ,,naukowcy'', uważają, że marksizm sowiecki stał się ,,instytucjonalny'' do tego stopnia, iż reprezentuje jedynie dogmatyczną akcję polityczną (à la Stalin) a z drugiej strony, że czysty pragmatyzm nie musi być koniecznie nie-marksistowski. W rzeczy samej, niektórzy utrzymują, że te eksperymenty społeczne, które działają i podobają się narodowi, są z samej definicji marksistowskie. Nawiasem mówiąc, oświadczenia Gomułki wydają się odzwierciedlać ciekawą mieszaninę tych dwuch orientacji.

Trzecia grupa, ,,biurokraci'', nie zasługuje może nawet na miano ,,marksistów''. Składa się ona po prostu z tych co zajmują urzędy partyjne i żyje w obawie, że obie poprzednie grupy podkopią ich pozycje, narażą się Rosji Sowieckiej i wywołają opłakane następstwa nie tylko dla Polski (czego zresztą te grupy na pewno sobie nie życzą) ale dla członków aparatu partii osobiście. Sekretarze partyjni, miejscy i wiejscy, niższe szczeble Centralnego Komitetu i komitetów wojewódzkich, to są źródła z których rekrutuje się większość ,,biurokratów''.

Bez względu na znaczenie tej całej debaty i uwagę jaką wywołała w prasie światowej — odwiedzając Polskę nie można oprzeć się wrażeniu, że marksizm został w całości zdyskredytowany, tj. z całą pewnością w masach, a nawet wśród większości inteligencji. Szeroko rozpowszechnione wydaje się mniemanie, że dobrobyt Zachodu pozostaje w związku z jego systemem swobodnej przedsiębiorczości i że rozwiązanie kłopotów gospodarczych Polski leży — obok kredytu zagranicznego — w rozszerzeniu sfery prywatnej inicjatywy. (Faktycznie, uchodzenie w Warszawie za osobę działającą w dziedzinie ,,inicjatywy prywatnej'', tzn. żyjącą dobrze dzięki własnej zaradności a nie z pensji urzędniczej — wydaje się dodawać społecznego wyróżnienia i uroku). Biorąc pod uwagę położenie gospodarcze kraju, większość Polaków nieco niekonsekwentnie choć prawdopodobnie rozsądnie, wydaje się sądzić, że nawet gdyby mieli pełną swobodę wyboru, szeroki zakres własności państwowej winienby być utrzymany, w każdym razie na odcinku świeżo rozwiniętego przemysłu. Jednakowoż koncepcja całkowicie zsocjalizowanego gospodarstwa z minimum przedsiębiorczości prywatnej, na kształt Związku Sowieckiego, jest niemal powszechnie odrzucana — przez debatujących nad nią ekonomistów, przez ogromną większość myślicieli marksistowskich i przez masy, jako całość. Marksiści przeważnie zgadzają się w tym, że ustępstwa reżymu Gomułki na rzecz prywatnej przedsiębiorczości (w drobnym handlu, rzemiośle, w rolnictwie, itd.) są, mówiąc ogólnie, nie tylko NEP'em ale trwałym aspektem przyszłego polskiego socjalizmu. Co zaś właściwie stanowi tę polską drogę do socjalizmu i socjalizm jako ostateczny system, to znów dla nikogo nie jest bardzo jasne, i odnośne sformułowania pozostają raczej nieuchwytne i mgliste. Każdy natomiast wie, czym socjalizm *nie* jest, a w szczególności, że nie jest socjalizmem to, co stworzył Stalin.

*Czy Polska jest państwem totalnym?*

Zwiedziwszy niedawno Związek Sowiecki i będąc od dłuż
szego czasu zainteresowany teoretycznie i praktycznie w istoci
totalizmu, nie mogły mnie nie uderzyć niektóre cechy obrazu pol
skiego: zasięg swobody mowy, zarówno w rozmowach prywat
nych jak nawet w pewnym stopniu w publicznych wypowie
dziach prasy i radia; cietość sztuk politycznych, które ni
oszczędzają ani polskich komunistów, ani Związku Sowieckie
go; żywotność Kościoła; zupełny brak haseł politycznych, czer
wonych flag czy gwiazd. Z miejsca nasuwa się pytanie, cz
społeczność, która rozluźniła do tego stopnia więzy kontroli re
żymu, może być zaklasyfikowana jako system totalny. Odpo
wiedź zależy, naturalnie w pewnej mierze, od definicji.

Jeżeli totalizm oznacza, jak osobiście jestem skłonny są
dzić (1), system polityczny, w którym rewolucja socjalna n
szeroką skalę jest przymusowo i najczęściej brutalnie, wprowa
dzana w życie przez ruch elitarny na podstawie pewnych założ
żeń doktrynalnych, — to odpowiedź brzmieć musi niedwuznacz
nie: ,,nie". W dzisiejszej Polsce brak jest istotnych składników
nowoczesnego reżymu totalnego. Dogmat — oficjalna ideolo
gia — rozpadł się zupełnie pod uderzeniami obudzonych na no
wo intelektualistów, zawiedzionej młodzieży, umysłów wyzwo
lonych nareszcie z milczenia i obawy. Opróżnione miejsce zajmu
je zdrowy rozsądek, eksperymentowanie i pragmatyzm. Rewo
lucyjne zmiany, które w społeczeństwie komunistycznym ozna
czały zniszczenie klasy średniej, przymusową kolektywizację
gwałtowne uprzemysłowienie, ustąpiły ograniczonym możliwoś
ciom prywatnej inicjatywy, rozwiązaniu ponad 80% gospodarst
kolektywnych i rewizji planu 5-letniego. Normalne narzędzie d
przymusowego wprowadzania zmian w państwie totalnym, t
tajna policja, uległa neutralizacji, a wielu jej członków zwo
niono ze służby (nie mogą teraz podobno znaleźć innej pracy!
Ruch elitarny — w tym wypadku Polska Zjednoczona Partia R
botnicza — znajduje się w stanie daleko posuniętego upadku
Rozmowy z jej członkami nie pozostawiają wątpliwości, że o
gany lokalne są zdezorientowane, zakłopotane rewelacjam
przeszłej brutalności, zatrwożone o przyszłość a nawet nier
sympatyzują z nastrojami mas. (W pewnej wsi, którą odwi
dziłem, członkowie komórki partyjnej szukali ,,ideologicznego
kierunku u miejscowego nauczyciela, członka Stronnictwa L
dowego).

---

(1) Patrz mój ,,Totalitarianism and Rationality", THE AMERICA
POLITICAL SCIENCE REVIEW, Wrzesień, 1956; szersze omówien
w moich THE PERMANENT PURGE (Harvard University Press, 195
i TOTALITARIAN DICTATORSHIP AND AUTOCRACY (H
vard Uniw. Press, 1957).

Nawet górna szychta partii nie wykazuje monolitycznej fasady, tak charakterystycznej w reżymach totalnych. Jest powszechnie wiadome w Polsce, że Gomułka, w swym własnym Politbiurze, lawiruje między zwolennikami dalszej ,,demokratyzacji'' systemu a tak zwaną kliką Zambrowskiego, która reprezentuje ,,biurokratów'' w konwentyklach partyjnych i na której Gomułka musi polegać w przekazywaniu swych dyrektyw. W ten sposób mogą oni przeszkadzać zarządzeniom, które wydają się im zbyt liberalne. Poza nawiasem efektywnego kierownictwa znajduje się frakcja natolińska (aczkolwiek broni się ona przed tą nazwą frakcji) którą z kolei trudno jest uważać za jednolitą grupę. Ma ona swoje własne ,,umiarkowane'' skrzydło z Nowakiem na czele, które chciałoby uznawać prymat Sowietów w ,,obozie socjalistycznym'', ograniczyć wiele z wolności osobistej dziś w Polsce istniejącej, i zastosować politykę inflacyjną w gospodarce, dla zjednania mas. Skrajniejsze skrzydło, pod Mijałem i Mazurem (rzekomo agentem MVD) chciałoby posunąć się o wiele dalej: w dodatku do programu Nowaka, sprzyja ono przywróceniu przymusowej kolektywizacji, ograniczeniom w stosunku do Episkopatu i zniesieniu nauczania religii, ewentualnie pozbawieniu wolności niektórych czołowych intelektualistów, a w każdym razie zaostrzeniu ,,walki klas'', jednym słowem, przywróceniu panowania tajnej policji. Nie potrzeba dodawać, że cały taki program wymagałby czynnego poparcia Sowietów, doprowadziłby bowiem niewątpliwie do gwałtownych wybuchów. Te skrajne żywioły, jednakowoż, tracą grunt stopniowo w ostatnich miesiącach, jak to wykazało 9-te Plenum i Warszawska Konferencja Partii (2).

### *Polityka przetrwania*

Z tego wszystkiego powinno wynikać, że charakteryzując Polskę jako reżym totalny w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie bylibyśmy sprawiedliwi wobec obecnego polskiego systemu i nie rozróżnialibyśmy równocześnie należycie istotnych znamion totalizmu. Czy więc jest Polska rodzajem demokracji? To również byłoby nieuzasadnionym wnioskiem. Zasadniczych składników systemu demokratycznego najwyraźniej brak. Sejm jest nadal ciałem deklaratoryjnym a skład jego nie odpowiada politycznej

---

(2) Stosownie do informatorów warszawskich, podział polityczny w Komitecie Centralnym, wczesnym latem br. był następujący: 20-25 z sympatiami natolińskimi, 20 dla grupy Zambrowskiego, 15-stu pewnych ludzi Gomułki, 15 dawnych socjalistów, którzy najprawdopodobniej popieraliby Gomułkę, choć chcieliby iść jeszcze trochę dalej niż on, 4-5 zdecydowanych zwolenników dalszej demokratyzacji. Od tego czasu zdaniem moim, można by dwie pierwsze grupy liczyć razem z tym, że kilku z drugiej grupy przeszłoby do Gomułki, który przez to zyskałby nieco więcej ponad większość. Tm niemniej, grupa Zambrowskiego nie przeciwstawi się Gomułce otwarcie tak długo, jak utrzyma on swoją ogromną popularność.

orientacji ogromnej większości narodu. Cenzura utrzymuje się w prasie i radiu, jakkolwiek zaniechano zagłuszania zagranicy. Podstawa praworządności jest nadal delikatna, choć postęp jest znaczny i era politycznego zdeprawowania rzeczywiście minęła.

Gdy szuka się jakichś ram koncepcyjnych, pasujących do teraźniejszego reżymu w Polsce, przychodzą na pamięć podobieństwa z niektórymi aspektami systemów pół-dyktatorskich w przedwojennej Europie Środkowej lub nawet z reżymem Franco w Hiszpanii. Reżym jest niewątpliwie autorytatywny, nie opiera się jednak na takich instytucjach, jak monolityczna partia albo krwiożercza tajna policja totalnych reżymów. Jest on wiele luźniejszy i wspiera się więcej na tradycyjnej postawie narodu. Zawdzięcza wiele Kardynałowi i kościołowi w uniknięciu krwawej wojny domowej, co daje kościołowi jako instytucji jakby negatywną rolę polityczną, lekko zatrącającą o system pluralistyczny. Na wsi rząd usiłuje pozyskać poparcie włościan przez swego sojusznika wyborczego, Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, choć już ostatnio dawały się słyszeć wyrazy obawy ze strony komunistów, że ZSL działa cokolwiek za dobrze!

Przede wszystkim jednak, reżym polega na popularności Gomułki i na obawie, pogardzie i nienawiści narodu do Rosjan. Te dwa czynniki — popularność i nienawiść — są nierozłączalne. Gomułka osiągnął swoją pozycję siłą faktu, iż stał się symbolem odrzucenia przez naród przemocy sowieckiej. Nienawiść zaś jest powszechna. Spotyka się ją na każdym kroku. Przeciętny robotnik opowie z goryczą historie o sowieckiej eksploatacji. Naukowiec wspomni z dumą o niedawnym, czerwcowym starciu między polskimi filozofami a sowieckimi akademikami w sowieckiej Akademii Nauk w Moskwie, gdzie kierownik polskiej delegacji (A. Schaff, znany komunista) zaatakowany za rewizjonizm, poinformował z furią swych sowieckich kolegów, że filozofia sowiecka jest pośmiewiskiem świata, a Polacy pójdą w tej dziedzinie własną drogą. W Krakowie, w studenckim teatrzyku „Piwnica", największym powodzeniem cieszyło się wczesnym latem przedstawienie, na którym czytano dosłownie i bez komentarzy mowę Szepiłowa o sztuce, wywołując burzliwy a pogardliwy śmiech widowni (a dodać należy że Szepiłow w tym czasie był jeszcze sekretarzem partii). Takie to są uczucia i nastroje, które dostarczają zaplecza reżymowi Gomułki i dają nam klucz do jego zrozumienia.

Reżym Gomułki można by dość trafnie określić jako Rząd Obrony Narodowej. Tak patrzą nań w większości Polacy, którzy przecież nie są komunistami. Jest to rząd, którego nie lubią ze względów politycznych, ale który ze względu na przetrwanie narodu będą popierali do ostatka. Poparcie ze strony Kardynała jest niewątpliwie tego rodzaju. Przy nieco naciągniętym rozumowaniu, sytuacja wykazuje pewną analogię z położeniem Laburzystów, którzy pamiętając strajk generalny 1926 roku i rolę w nim Churchilla, mimo to popierali go, jako premiera, w przełomowej godzinie dla Anglii. Rząd Obrony Narodowej bywa z na

tury rzeczy przejściowy i ma tylko jeden cel — obronić naród od niebezpieczeństwa zewnętrznego (w tym wypadku od dominacji sowieckiej); jako takiemu przebacza się często wiele jego przeoczeń, koncesji i kompromisów. Ma to właśnie miejsce w stosunku do reżymu Gomułki. Nawet ci, którzy byli rozczarowani zachowaniem Gomułki na początku 1957 roku i żywili pesymizm co do przyszłości, zaczynają teraz odczuwać, że na dalszą metę pozostaje jego najważniejszym zadaniem scementować pewien rozmiar polskiej autonomii. W tym zadaniu ma on niemal powszechne poparcie, nawet gdyby różniły się zdania co do specyficznych pociągnięć i co do stopnia demokratyzacji, możliwej od razu.

### *Od polityki do ekonomii*

Tym niemniej, jak już podkreśliłem, Rządy Obrony Narodowej miewają charakter przejściowy (3). Gdy sukcesy polityczne przejdą do historii a polska autonomia polityczna będzie uważana za bardziej ugruntowaną, również charakter „obrony narodowej" rządu Gomułki ulegnie stopniowemu zużyciu. Względy gospodarcze staną się wtedy miernikiem opinii publicznej. Nawet już tego lata coraz więcej ludzi w Polsce zaczynało oceniać reżym Gomułki w terminach ekonomicznych. Na razie z pomocą sytuacji przyszły rekordowe zbiory, dalsze sowieckie dostawy i moralna wartość znikomej pożyczki amerykańskiej. Na dalszą metę jednak, gospodarka polska nie może wydobyć się ze swego opłakanego stanu bez pomocy zagranicznej w szerszej skali.

I tutaj dotykamy punktu, w którym kalkulacje sowieckie mogą stać się decydujące dla przyszłości Polski. Moskwa prawdopodobnie zdaje sobie sprawę z tego, że odmowa z jej strony pomocy Polsce wywołałaby chaos i nędzę, pozostawiając Gomułce tylko jedno z dwu rozwiązań: albo skapitulować przed Moskwą, dla otrzymania ekonomicznej pomocy — albo znowu potraktować sytuację, jako kwestię bytu narodu i zagrozić otwartym zerwaniem. Biorąc zaś pod uwagę charakter sytuacji wewnętrznej (tak, jak została poprzednio zarysowana) Gomułka nie miałby właściwie innego wyboru, jak to drugie rozwiązanie. W tym stadium Moskwa musiałaby interweniować politycznie, tj. siłą, — albo narazić się na ryzyko utraty Polski. Wynika z tego, że nacisk gospodarczy, sam przez się, nie rozwiąże Moskwie dylematu Gomułkowskiej Polski. Tylko przez polityczną interwencję mogłaby Moskwa odzyskać jakiś zakres swej kontroli, ale im dłuższa zwłoka, tym trudniej byłoby przeprowadzić taką interwencję z powodzeniem.

(3) Należy zauważyć, że rząd Gomułki zastąpił sztuczny reżym totalny w Polsce, tzn. narzucony z zewnątrz i obcy. Dlatego eksperyment polski nie uzasadnia szerokich teoretycznych wniosków o możliwości prądów ewolucyjnych totalizmu.

Dlatego wydaje się znacznie bardziej prawdopodobne, ż
Moskwa będzie kontynuować zapewnianie pomocy ekonomiczne
Gomułce, spodziewając się zdobyć umiarkowane ustępstwa i po
legając na dalszą metę na wspólnocie interesów (włączając w t
m. in. zagadnienie granicy na Odrze i Nisie) aby związać stal
Polskę ze Związkiem Sowieckim (4).

Zgadzałoby się to z widocznym usiłowaniem Chruszczow
stworzenia trwalszej bazy dla stosunków wewnętrznych w blok
sowieckim niż stalinowskie poleganie jedynie na polityczne
kontroli (5). Kilka ostatnich lat obficie wykazało organiczne bra
ki przeszłych sowieckich rozwiązań. W tych warunkach, Polska
stopniowo lecz stale, będzie mogła utwierdzać swą niezależnoś
— tak długo, jak uda się jej uniknąć dawania Moskwie pre
tekstu do bezpośredniej politycznej interwencji.

Jeśli Polska uzyska wzrastającą pomoc gospodarczą od Za
chodu (pewne kredyty otrzymała już od Francji, Stanów Zjedno
czonych i Anglii) to polityczne znaczenie sowieckiej współprac
ekonomicznej będzie się zmniejszać. Polityczne jednak związk
z Sowietami będą musiały być podtrzymane na bliskiej stopie
aby nie doszło do otwartego zerwania, à la Węgry. Polacy prze
ważnie wydają się sądzić, że wobec stanowiska innych partii ko
munistycznych (zwłaszcza chińskiej i jugosłowiańskiej) Sowiet
nie mogłyby pozwolić sobie na interwencję w Polsce, chyba ż
wzięłaby górę sytuacja typu węgierskiego. Ta wiara sprawia, ż
Polacy czują się dzisiaj pewniejsi niż 6 miesięcy temu, jakko
wiek wielu z nich obawia się, że Zachód nie rozegra należyci
na dalszą metę tych sposobności, jakie się z tym stame rzecz
łączą.

Z rozwojem gospodarki polskiej do jakiego takiego pozic
mu dobrobytu i przy pomyślnym utrzymaniu politycznej niezale
ności wewnętrznej, wzrósłby wpływ ideologiczny Polski na je
komunistycznych sąsiadów, włączając w to nawet Związek So
wiecki ; równocześnie proces wewnętrznej demokratyzacji mu
siałby pociągnąć za sobą większe liczenie się z opinią publiczną
aczkolwiek wątpliwe jest by w najbliższej przyszłości wewnętrz
ny ustrój polski mógł osiągnąć prawdziwie demokratyczny cha
rakter. Mimo to, samo przejście z systemu totalitarnego n

---

(4) Słyszałem w Warszawie, z wyższego źródła partyjnego, w lec
br., że podczas niedawnych rozmów między Gomułką a Ulbrichtem, wsch
dni Niemcy wysunęli sugestie (wobec Jędrychowskiego, szefa polskiego pl
nowania gospodarczego) co do łącznej eksploatacji i dyrekcji portu w Szcz
cinie. Jędrychowski, po konsultacji z naczelnym kierownictwem, odmów
nawet dyskusji na ten temat i w następstwie polsko-wschodnio-niemiec
deklaracja powtórzyła zapewnienie o ostatecznym charakterze linii Odra -
Nisa. Tym niemniej Polacy byli skonsternowani wyczuwając, że wschod
Niemcy, tak ulegli w stosunku do Rosjan, nie byliby śmieli podjąć tak
inicjatywy na własną rękę. Ilustruje to z pewnością potężną dźwignię, kt
rą Rosjanie trzymają w zawieszeniu nad Polakami.

(5) Patrz mój „Communist Ideology and Power: From Unity to D
versity", THE JOURNAL OF POLITICS, Listopad, 1957.

system bardziej tradycyjno dyktatorski byłoby postępem nie bez ideologicznego znaczenia dla sąsiednich państw totalitarnych. Z uwagi na rewizjonistyczne i szukające dróg nastroje, nawet wśród polskich komunistów, — przynajmniej wśród tych, najwięcej myślących (a medytacje ich w wielu wypadkach przyśpieszył długi pobyt w stalinowskich więzieniach) — ten rodzaj kierunku mógłby się rozwinąć, chociażby Polska oficjalnie miała nadal nosić stempel ,,ludowej demokracji''. Takie połączenie pomyślności gospodarczej i rosnącej niezależności politycznej (na tle równoczesnej ewolucji ideologicznej) mogłoby wywrzeć nieodparty urok i na inne państwa ,,socjalistyczne'' i w takim sensie Polska rzeczywiście mogłaby stać się ,,pępkiem'' całego ,,socjalistycznego obozu''.

*Zbigniew BRZEZIŃSKI.*

# Państwowe Gospodarstwa Rolne

(PRZEGLĄD ZAMIERZEŃ I TRUDNOŚCI)

*...to wam, parobcy i fornale cudzej gospodarki, wam — najmniej znanym, a najbardziej upośledzonym najemnikom ziemi — przypisuję tę garść przyjaznych a zatroskanych myśli.*

*Zrodzone z doświadczenia, a pełne niepokoju, czy i na ten raz wielka fala przemian, tocząc się nad światem, nie pominie waszego skromnego losu — chciałyby te myśli służyć poszukiwaniu sprawiedliwszego dla was jutra.*

## WSTĘP

Okres kończącej się przewagi i dominacji drobnej gospodarki chłopskiej w rolnictwie europejskim, nasuwa konieczność bliższego poznania i przygotowania wyboru między tymi rodzajami wielkiej gospodarki rolnej, które mogłyby stanowić współcześnie pożądany typ produkcji rolnej. Stawiane wymagania muszą

---

*Podajemy ,,Wstęp'' i rekapitulację pracy J. Poniatowskiego o państwowych gospodarstwach rolnych, dokonanej w ramach prowadzonej przez prof. J. Marczewskiego ,,Section Europe de l'Est'' wewnątrz ,,Centre d'Etude des Relations Internationales. Fondation Nationale des Sciences Politique''.*

naturalnie obejmować zarówno cechy społeczne, jak i ekonomiczne owego wyobrażalnego modelu, aby dawać społeczeństwu szanse, że zachodzące przemiany będą niosły nie tylko powiększenie i potanienie produkcji rolnej, ale także będą krokiem naprzód ku realizacji większej sprawiedliwości społecznej.

Przyjęcie takiego założenia wyklucza automatycznie potrzebę rozważania typu wielkiego, prywatnego gospodarstwa rolnego. Wcale nie dlatego, by jego znaczenie gospodarcze zanikało. Wprost przeciwnie, w szeregu krajów kapitalistycznych proces upadania drobnych, jednorodzinnych gospodarstw chłopskich idzie właśnie w kierunku rozrastania się przedsiębiorstw kapitalistycznych, opartych na najemnym robotniku. Wczorajsi właściciele drobnych gospodarstw już to opuszczają wieś w ogóle i zmieniają zawód, już to sprzedają ziemię wielkiemu gospodarstwu i stają się najemnym robotnikiem tegoż gospodarstwa.

Ewolucja tej natury jest szczególnie intensywna we Francji i Stanach Zjednoczonych. Postawa laisser-faire'yzmu ze strony państwa sprzyja biernie temu procesowi, znaczącemu zwycięstwo techniki i kapitału nad tradycyjnym gospodarstwem rodzinnym. Od strony społecznej nie może jednak ulegać wątpliwości, że jest to proces nie postępowy a wsteczny.

Ktokolwiek zna nieco stosunki wiejskie rozumie dobrze, że przejście każdej rodziny, z sytuacji samodzielnego gospodarza do sytuacji dworskiego parobka, znamionuje regres społeczny i to nawet w wypadku, gdy suma zarobków robotnika będzie wyższa od jego poprzedniego dochodu z gospodarstwa. Zbyt jeszcze są bliskie dawne, złe tradycje pańszczyznianego folwarku, by miały łatwo zniknąć wszystkie upośledzenia społeczne, jakie z tym typem organizacji pracy były związane. Zakładając nawet domniemanie, że wszelkie zewnętrzne regulaminy pracy i opieki nad robotnikami, pochodzące ze strony nadzoru państwowego, będą zbliżone do ideału — tym niemniej pozostanie prawdą, że w przeciętnym prywatnym gospodarstwie życie kulturalne najemników utrzymane będzie na niskim poziomie. Oszczędność pracodawców i tradycyjne lekceważenie tej strony bytu robotników — dokonają swego.

Z drugiej strony zbyt słabe i senne jest ogólne życie kulturalne wsi, by stanowić mogło ze strony otoczenia poważne podtrzymanie dla najemników, pozostawionych sobie samym w prywatnych gospodarstwach. Można żywić najdalej idące obawy, czy państwowa organizacja wielkich gospodarstw zdoła jako tako przełamać nałogi przeszłości i wydźwigać robotników dodmen z tego najniższego poziomu społecznego, na jaki zepchnęło ich jeszcze poddaństwo i na jakim utrzymuje ich nadal kapitalistyczna, prywatna gospodarka. Nie podobna zaś w każdym razie łudzić się, że to trudne zadanie kulturalne byłoby podjęte i spełnione teraz właśnie, przez wielką własność prywatną, na skutek ponownego rozszerzenia jej stanu posiadania.

Nie należy przemilczeć interesującego zjawiska, że wspomniane statystyczne rozszerzanie się posiadania wielkiej prywat-

nej własności odbywa się przy pozornie paradoksalnym równoczesnym kurczeniu się ogólnej ilości pracy najemnej w rolnictwie. Dotychczasowe duże gospodarstwa chłopskie, korzystające z pracy robotników, zwykle 1 do 3 osób, przechodzą obecnie bardzo często na wykonywanie całej pracy tylko siłami rodziny, przy równoczesnym zmechanizowaniu szeregu robót (1). Niezależnie zaś odbywająca się dalsza mechanizacja największych gospodarstw rolnych pozwala im redukować ilość najemników w stosunku do obszaru. Te obie przyczyny łącznie, obniżając ilość robotników, górują ponad procesem przyrostu najemników, wynikającym z wchłaniania drobnych gospodarstw przez wielkie. W rezultacie w zachodniej Europie i w St. Zjed. kategoria robotników rolnych kurczy się szybciej, niż całość ludności żyjącej z rolnictwa. (W obu wypadkach chodzi nie tylko o stosunek % do całej ludności, ale i o redukcję absolutną).

Ten stan rzeczy pozwala zapewne na postawienie teoretycznego pytania, czy całość ewolucji drobnego rolnictwa nie przybiera charakteru łagodnego przeobrażania się w duże, jednorodzinne fermy, silnie zmechanizowane, a nie korzystające z najmu. W tym wypadku troska o mający dominować typ wielkiego gospodarstwa i o charakter jego pracowników byłaby całkowicie zbędna.

Jakkolwiek trudno jest zapewne przesądzać jaki kierunek ewolucji okaże się ostatecznie zwycięski — a opracowanie niniejsze w żadnej mierze nie pretenduje do roztrząsania tego problemu — tym niemniej trzeba by przyjąć, że beztroskie powierzenie się biegowi rzeczy, w imię mającego przyjść zwycięstwa nowoczesnej, jednorodzinnej fermy, byłoby lekkomyślnością. Znane cechy przewagi wielkiego przemysłu nad produkcją rzemieślniczą nie są bez znaczenia i w rolnictwie.

Można by twierdzić, że współczesna, w zasadzie zmechanizowana ferma, nie powinna już być porównywana do warsztatu rzemieślniczego. Istotnie poprawniejsze będzie porównanie do produkcji chałupniczej, gdzie mamy kapitał nakładcy, gdzie praca jest seryjna i gdzie wprowadzono już motorek do mieszkania chałupnika. Wiemy jednak, że nigdzie na świecie cykl przemysłowy nie zamykał się na tym etapie i koncentracja szła dalej, ku wielkim zakładom produkcyjnym.

W zagadnieniu rolniczym trzeba też nadto uznać wielką rolę elementów socjologicznych, innej niż w mieście natury. Czy typ życia bardziej odosobnionego, w fermach szeroko rozrzuconych po terenie, będzie odpowiadał dalszemu pokleniu, czy da się wyeliminować to olbrzymie ryzyko, jakie niesie dłuższa choroba w gospodarce jednorodzinnej, czy satysfakcja samo-

(1) Przykład ogromnie jaskrawy daje Belgia, gdzie między rokiem 1910 i 1947 ilość pracowników najemnych w rolnictwie spadła z 56% na 14% wśród całości osób aktywnych w rolnictwie. Również Dania w czasie 1921 do 1953 zmieniła tenże procent robotników z 65 na 38. Francja w czasie 1911 do 1954 z 32 na 23%. Natomiast prawie bez zmian USA.

dzielności na własnej fermie może na stałe zrównoważyć ciężar związania z gospodarstwem, którego nie podobna nigdy opuścić (stałe żale kobiet) itd., itd.?

Wreszcie poruszyć należy i wielkie zagadnienie inwestycji kapitałowych w rolnictwie, które mniejszym ciężarem spadają na gospodarstwo narodowe, jeżeli wyposażenie w maszyny i budowle dokonywa się w ramach wielkich zakładów produkcyjnych, a nie poprzez jednorodzinne fermy. Problem ten występuje szczególnie jaskrawo w krajach opóźnionych w rozwoju, gdzie przejście od dawnej gospodarki, minimalnie zasobnej w kapitał, do nowoczesnej i zmechanizowanej — miałoby się dokonać niemal jednym skokiem.

Gwałtowny proces przyrostu ludności — ten nieodłączny towarzysz rozpoczynanego rozwoju w kraju zacofanym — nie pozwala rozkładać niezbędnych inwestycji na całe wieki, za przykładem narodów już dawniej zaawansowanych. Toteż kraje opóźnione są skazane z natury rzeczy na wybór drogi najtańszej w zainwestowaniu rolnictwa — i muszą jej szukać tym staranniej, im bardziej nakłady na rolnictwo rywalizują i wypierają się nawzajem z pilnymi nakładami na uprzemysłowienie.

Ustawiając się przeto, jak najdalej od przepowiedni na przyszłość, a starając się utrzymać w ramach jedynie komentowania rzeczywistości — ani nie będziemy wróżyli zaniku drobnej, indywidualnej gospodarki rolnej, ani nie podejmiemy twierdzenia o jakiejś wyłączności innego, jutrzejszego modelu. Czy zadominuje wielkie przedsiębiorstwo rolne o setkach pracowników i licznych, najwyżej kwalifikowanych specjalistach, czy osiągnie przewagę typ dużej i bogato zmechanizowanej, jednorodzinnej fermy, a korzystającej z sieci pomocniczej dla uzyskania różnych usług kwalifikowanych — to zostawmy przyszłości. Siły oporu drobnego gospodarstwa przed konkurencją potężniejszych rywali mogą być bardzo znaczne i tylko na poły ekonomiczne. Mogą wchodzić w grę równie dobrze szczególne kwalifikacje właściciela, jak jego zamiłowania osobiste, jak wreszcie dodatkowe zatrudnianie rodziny, wykraczające poza zwykłą wycenę zarobkową.

Któż potrafi już dzisiaj wyznaczyć sztywną granicę między gospodarstwem rolnym utrzymującym rodzinę, a między produkcją dodatkową chłopa-robotnika, który sam zarabia już wprawdzie w przemyśle, ale mieszka na wsi, nie zwija swej dawnej gospodarki, a opiera ją na siłach kobiet i starców. Toteż wiele przemawia za tym, że drobne gospodarstwo, nie tępione politycznie, potrafi długo jeszcze utrzymać się na powierzchni życia i oddawać poważne usługi swemu społeczeństwu — ale tym niemniej stanowić będzie coś w rodzaju formacji szczątkowej z dawnych czasów. Będzie zasadniczo różne od nowoczesnej, wybitnie towarowej produkcji.

W ukształtowaniu się zaś owej nowoczesnej organizacji — poza czynnikami natury ekonomicznej — pierwszorzędnego znaczenia będzie naturalnie decyzja polityczna kierowników państw

Od niej zależeć będzie, czy ułożą się korzystne warunki rozwoju dla przedsiębiorstw typu wielko-kapitalistycznego, czy dla zmechanizowanych ferm jednorodzinnych. Już dziś jest jasne, że dla całej części świata pod wpływami ZSSR, tylko wielkie gospodarstwa zostały wyznaczone do trwałej egzystencji. Na innych terenach, gdzie nie jest jeszcze przesądzone, który typ będzie protegowany, lub który okaże się zwycięski — nic nie uzasadniałoby wykluczania wielkich gospodarstw poza obręb zainteresowania badawczego.

Gdy zaś ze względów na współczesne wymagania natury społecznej, wypada pozostawić na uboczu prywatne wielkie gospodarstwo, jako nie niosące żadnej zapowiedzi, aby miało kiedykolwiek przyczynić się do szybszej realizacji sprawiedliwości w stosunkach pracy — pozostaniemy wobec dwu, głęboko różnych typów nowoczesnej produkcji: gospodarki spółdzielczej i gospodarki państwowej.

Naturalnie, że prócz państwa mogą to być różne inne instytucje publiczne, jak samorząd terytorialny, izby rolnicze, instytuty naukowe itp., którym daje się możność prowadzenia warsztatów rolnych. Pamiętając o fakcie, że ta różnorodność typów własności publicznej wywoła także pewne odmienności w organizacji produkcji (które to odmienności wypadnie jeszcze bliżej omówić), tym niemniej należy silnie podkreślić łączącą je cechę wspólną: przedsiębiorstw prowadzonych w imieniu społecznej własności i opartych w produkcji na pracy najemnej. Cecha ta, odróżniająca zasadniczo od produkcji spółdzielczej, pozwala na zbiorowe traktowanie tej grupy pod ogólną nazwą gospodarstw państwwych.

Kraje sowieckiego bloku, za przewodem Rosji, podjęły masową reorganizację drobnorolnej produkcji, idąc równocześnie ku realizacji obu typów wielkiej produkcji tzn. z jednej strony kolektywizując chłopskie gospodarstwa w duże przedsiębiorstwa, rzekomo kooperatywne, a z drugiej strony organizując państwowe gospodarstwa rolne na obszarach dawnej własności publicznej lub wielkiej własności prywatnej lub wreszcie na terenach świeżo zagospodarowanych.

Praca Charles Bauvier, mająca się ukazać w serii ,,Cahiers de la Fondation Nationale des Sciences Politiques'' pod tyt. ,,Les Problèmes de la Collectivisation'' — daje uporządkowany obraz zagadnienia we współczesnej problematyce ekonomicznej. Podkreślając olbrzymią wagę bieżących przemian dla przyszłości i analizując przyczyny dla których drobnorolna produkcja schodzi z pola i generalnie biorąc, musi ustąpić miejsca formom nowym — wspomniana praca oświetla należycie błędy pośpiechu i ogromne szkody dla całości sprawy kolektywizacji wynikające z przymusu administracyjnego.

Rozprawa niniejsza miałaby spełnić równoległe zadanie w odniesieniu do państwowych gospodarstw rolnych utworzonych i prowadzonych w grupie państw socjalistycznego bloku. Celem jej będzie przede wszystkim ułatwić czytelnikowi krytyczną orien-

tację w zamierzeniach podjętych przez państwa socjalistyczn
na tym odcinku gospodarki narodowej, oraz w ocenie dotych
czasowych wyników. Analiza niektórych cech technicznej natu
ry w produkcji rolnej, oraz niektórych cech społecznych wiej
skiego środowiska najemników rolnych — ma wydobyć na pla
pierwszy te przyczyny, które decydują najczęściej o niepowodze
niu państwowej, centralistycznej gospodarki rolnej.

Znane na ogół zalety i wady dyspozycji administracyjnej
scentralizowanej występują o wiele ostrzej w zagadnieniach gos
podarczych niż w politycznych. Procesy produkcyjne okazują si
w praktyce mniej elastyczne w podporządkowaniu się szablo
nowym decyzjom centrali, niż przeciętne zachowanie się ludzi
Gdy ci ostatni potrafią niejednokrotnie wbrew swoim zwyczajom
i wbrew swoim opiniom nałamać się do narzuconych wymagań —
zjawiska ekonomiczne nie są zdolne nawet zataić swego oporu
a zapisują twardą negacją każde nakazane odstępstwo od zasa
przyrodniczych i od zdrowego rozsądku, po czym ujawniaj
skutki każdego błędu z bezczelną otwartością.

Wiemy, że w żadnym innym dziale produkcji nie zachodz
tak daleko idąca różnorodność warsztatów produkcyjnych, ja
w rolnictwie. Inny zespół cech przyrodniczych, a więc klimat
i gleby, oraz każdorazowo inny układ elementów ekonomicz
nych, jak warunków zbytu i transportu, skali zainwestowani
i obfitości rąk do pracy — czynią z każdego warsztatu rolneg
jedyny w swoim rodzaju i niepowtarzalny obiekt gospodarczy.

Ujemne strony każdej centralizacji występują w rolnictwi
natychmiast, a cóż dopiero centralizacji skrajnej, właściwej so
wieckiej metodzie gdzie rozstrzygnięcia uniwersalne dotyczą na
wet szczegółów. Wystarczy wskazać dla przykładu, że zaufan
do jednolitej, powszechnie obowiązującej, jedynie słusznej dec
zji w danej sprawie — bez względu na odrębne okoliczności —
posuwane jest tam tak daleko, że rodzaj płodozmianu, czy tech
nika dokonywania żniw bywają przedmiotem uchwał Rad
Ministrów (2).

Toteż niepowodzenia państwow. gospod. roln. (sowchozów
co do rezultatów samej produkcji stały się na długo i niem
we wszystkich krajach socjalistycznych, obowiązującą reguł
Najwcześniejsze złe doświadczenia ZSSR zostały tylko w mały
stopniu wykorzystane przez tzw. demokracje ludowe. Okr
złudzeń co do potęgi ,,naukowego, centralnego kierownictwa
musiał być w każdym wypadku samodzielnie przeżyty. Gdy ZSS
w drugim planie 5-letnim na skutek wielkich strat w pierwsz
pięciolatce zobowiązuje sowchozy do zredukowania kosztów pr

(2) Znana uchwała Rady Ministrów ZSSR z 21. 6. 1945 ,,O środka
poprawy w dziedzinie wprowadzenia i stosowania płodozmianów w kołch
zach" — nakazuje siew wieloletnich mieszanek pastewnych, według t
zwanej metody Wiliams'a. Trzeba było później aż dziesięciu lat, by z
zumiano, że dla 185 milionów ha obszaru zasiewów w ZSSR nie mo
istnieć żadne jednolite i słuszne zalecenie systemu płodozmiennego.

dukcji o 63% oraz postanawia zrezygnować z gigantomanii i skrajnej specjalizacji (tzn. wyrzec się formowania jednostek po kilkadziesiąt tysięcy ha oraz przywrócić większą różnostronność produkcji) — to jednak w 15 lat później w demokracjach ludowych kopiuje się centralistyczną organizację sowchozów, jakby niedostrzegając tego, że jest to główna przyczyna deficytowej gospodarki. W dalszym ciągu produkcja PGR1ów należy do grupy przedsięwzięć ,,planowo-deficytowych'' (3).

Nie tylko jednak strona towarowo-produkcyjna państwowych gospodarstw stanowi dotychczas przedmiot zawodu dla państw socjalistycznych. Pokładano wielkie nadzieje na oddziaływanie propagandowe, jakie będą miały PGR-y na otaczającą ludność wiejską, zdobywając jej uznanie dla wielkiej, zmechanizowanej gospodarki i pociągając ją w kierunku kolektywizacji. Nie mogła naturalnie zaimponować niskoprodukcyjna i deficytowa gospodarka, nie mógł też stanowić żadnej siły atrakcyjnej, pożałowania godny byt pracowników PGR-ów.

Besporny dowód niskiego poziomu bytu rozotników, w toku tych kilkunastu już lat, stanowi ustawiczne narzekanie na ,,płynność kadr'' i niemożność skompletowania pełnej załogi. W Rosji jako akt stanowczej poprawy w wynagradzaniu robotników rolnych wprowadzono w 1947 obdarzenie tych rodzin prawem do użytkowania drobnej działki gruntu i do posiadania własnych krów i świń. W demokracjach ludowych przeważnie ta właśnie metoda, (tradycyjna i szczątkowa pozostałość dawnych stosunków pańszczyznianych), jest ciągle dominująca.

Gdy zaś ta forma zapłaty za pracę jest przede wszystkim zezwoleniem na wkładanie pracy dodatkowej robotnika i jego rodziny, a więc pracy świadczonej albo kosztem odpoczynku ze strony samego najemnika, albo kosztem przeciążenia kobiety, zmuszonej tym samym do zaniedbywania dzieci — to naturalnie bywa ona akceptowana tylko przez robotników niedostatecznie wynagradzanych, a nieznajdujących innej pracy.

Trzeba nadto dodać, że psychiczna sytuacja najemników rolnych w gospodarstwach socjalistycznych bynajmniej nie uległa poprawie. Zaszła wprawdzie zmiana formalna w systemie zależności robotnika. W gospodarstwie publicznym został on poddany bardziej uregulowanej dyscyplinie pracy i wyzwolony od mniej obliczalnych, czasem przypadkowych wymagań dawnych właścicieli — ale b. często zmiana ta okazywała się raczej nominalną, gdy pozostawał w mocy dawny aparat dyspozycji tradycyjnego folwarku. Zjawiały się nowe osoby, ale pozostawał stary system, a zatem poprawa była raczej losem przypadku.

---

(3) W Polsce budżet na rok 1957 przewiduje pokrycie strat PGR-ów w wysokości 2,4 miliarda złotych, czyli 1.000 zł. na każdy ha całości użytków rolnych, co odpowiadałoby dopłacie po 3 kwintale zboża na ha. Również rezultaty techniczno-produkcyjne są opłakane. Plony zbóż i okopowych są w PGR-ach poniżej przeciętnej ogólnokrajowej.

Natomiast generalnie przed najemnikiem gospodarstwa so cjalistycznego znikała z horyzontu wszelka nadzieja dojścia kie dykolwiek do własnej, rodzinnej gospodarki. Trzeba zaś pamię tać, że ta właśnie nadzieja, jakkolwiek rzadko ziszczalna, był potężnym motorem w podtrzymaniu energii i wytrwałości milio nów bezrolnych najemników we wschodniej Europie. To w je imię umiano trwać długimi dziesiątkami lat na ,,dworskiej ordy narii'', wysyłając dorosłe dzieci na sezonowe zarobki i czuwają gdzie w okolicy będą sprzedawane skrawki ziemi, to w jej imi wracano niejednokrotnie nawet z zamorskiej emigracji, porzuca ją doskonale płatne prace, aby zakupić najmniejszą osadę i roz począć żywot chałupnika, obliczony na stopniowe ,,przykupno gruntu.

Nadzieje parobka w socjalistycznym przedsiębiorstwie mog już biec tylko w kierunku wyjścia dzieci do miasta poprze wykształcenie szkolne. Jego własne perspektywy zamykać si muszą na widokach drobnego awansu, w szczeblu pracowniczym czy na oczekiwaniu jakiejś podwyżki płacy — ale nic, wyraźn nic, nie może go w życiu oczekiwać w sensie większej zmiar losu. Jeżeli zaś byt najemnika rolnego charakteryzują główn dwie cechy : niska płaca i brak perspektywy pomyślniejszej n przyszłość — to całość załogi w żadnym wypadku nie speł wśród otoczenia roli propagatora za włączaniem się drobny rolników do typu gospodarki, zbliżonej do tej, która niesie be nadzieję.

Toteż typowy ,,kołchoz'' z ZSSR, tzw. artiel, w grunc rzeczy niezmiernie podobny do ,,sowchozu'' — nie doznał ogół życzliwego przyjęcia przez ludność i nie podobna znale świadectwa, by wsie sąsiadujące z sowchozami bardziej tolera cyjnie od innych odnosiły się do takiej kolektywizacji. Klęs państwowych gospodarstw jako narzędzi moralnego oddzia wania stała się niewątpliwą i pogłębiała niepowodzenie czys gospodarcze.

Zarysowany tok myśli może prowadzić do dwu wniosk bezpośrednich : a) niedopuszczalna w rolnictwie, skrajna ce tralizacja zarządu PGR-ami powoduje złe wyniki ekonomiczn b) brak właściwego rozwiązania sprawy pracowników PGR- jest źródłem trwałej słabości ideologicznej tej formacji i dyskw lifikuje ją w roli przodownika do przebudowy starej, drobnor nej wsi na nowoczesne wielkie gospodarstwa.

Wnioski takie, jakkolwiek ujmowałyby najważniejsze z wiska w zasadzie dosyć słusznie, grzeszyłyby jednak za dal posuniętym uproszczeniem. Chcąc zapobiec skierowaniu m czytelnika wyłącznie ku tym formułom, zacieśniającym cał problemu, — będziemy zmuszeni poruszyć choć najogólniej i w ściwe tło ekonomiczne tzn. politykę wschodniego socjaliz w sprawach wsi, wobec całości narodowej gospodarki. R porewolucyjna, startując do uprzemysłowienia zacofanego kr rozpoczynała ewolucję od 82% ludności wiejskiej. Naturalnym

ożeniem, dla dźwignięcia kraju o własnych siłach, musiało być obciążenie wsi na rzecz miast i rodzącego się przemysłu. Jeżeli nawet bywały okresy, gdy teoretycznie zaprzeczano tezie o konieczności przyjęcia dwu różnych poziomów bytu ludności — wsi i miasta, to praktycznie polityka gospodarcza Rosji w toku 40 lat nie odstępowała od reguły: możliwie najdalej idącego wykorzystania cierpliwej wytrzymałości wsi na niedostatek (4).

Dopiero na tym tle można by bardziej bezstronnie rozważać i porównywać poszczególne formy organizacji rolnictwa państw socjalistycznych. Państwa te, kierowane wg. wzoru ZSSR, pierwotnie wszystkie próbowały zastosować wobec rolnictwa politykę twardego „minimum egzystencji''. Naturalnie najwcześniej uderzyła jawna jej niemożliwość w krajach już uprzednio silnie uprzemysłowionych : w Czechach i w Niemczech Wsch., gdzie brak rąk do pracy na roli potęgował się od razu przy nacisku na większe ofiary rolnictwa. Z kolei uzyskawszy większy stopień uprzemysłowienia, również w Polsce i na Węgrzech mogła wieś podjąć samoobronę, przez proste porzucanie rolnictwa. Wreszcie jesteśmy świadkami rozpoczętych zmian w ZSSR w kierunku poprawy sytuacji wsi, co musi przychodzić jako konsekwencja faktu, że wieś stanowi już nie 82 a 56% ogółu ludności i rośnie łatwość opuszczania wsi.

Być może przeto, że wraz z koniecznością zmiany ogólnej polityki gospodarczej państw socjalistycznych wobec wsi, staniemy także przed okresem bardziej natężonej potrzeby rozwiązania zagadnień, dotychczas zaniedbanych — zagadnień innej, bardziej humanitarnej i nowoczesnej organizacji pracy w publicznych przedsiębiorstwach rolnych, oraz innej organizacji zarządu tych przedsiębiorstw, niż mechaniczna i zabójcza dla rolnictwa centralizacja.

Zakończenie bowiem polityki niskich płac najemników w rolnictwie przyczyni się natychmiast do konieczności zerwania z nadmierną centralizacją. To niskie płace właśnie maskują dotychczas w znacznej mierze zasadnicze wady organizacji pań-

(4) Ogromna rozpiętość cen między państwowym zakupem produktów rolnych u rolnika, a sprzedażą ludności (rozpiętość nieraz 10- i 20-krotna), system dostaw obowiązkowych obok wysokich podatków i twarde metody ich pobierania, wreszcie bardzo wysoka skala wynagrodzeń pobieranych w naturze w zbożu, za pracę maszyn z MTS-ów (z państwowych stacji traktorowych) — uzupełniały się nawzajem i utrzymywały wieś na poziomie minimum egzystencji.

Nawet tak zwykłe świadczenia państwa na rzecz swych obywateli, jak organizacja szkolnictwa początkowego, zostały w dwu powojennych pięciolatkach przerzucone w ogromnej mierze na same kołchozy. Statystyka ZSSR podaje, że gdy w latach 1946-1950 państwo wybudowało na wsi 2.601 szkół, kołchozy zbudowały dobrowolnie 14.193 szkoły, a w latach 1951-1955 państwo 1.519 a kołchozy 5.771. I nie były to szkoły bardzo drobne, gdyż obejmować miały 1.961.000 uczni czyli koło 100 uczni na szkołę. Według: „Narodnoje choziajstwo SSSR. — 1956''.

stwowych gospodarstw. Jeżeli przyjdzie konieczność wygospodarowania w każdym warsztacie dostatecznej zapłaty dla robotników, będą mogły podołać temu tylko gospodarstwa o lepszej opłacalności. Aby ją osiągnąć, stanie się niezbędne przywrócenie każdemu gospodarstwu właściwej autonomii.

Ale interes publiczny będzie wymagał nie tylko zmiany poziomu płac, lecz również wyszukania innego systemu wynagradzania. Dla przedsiębiorstw będzie coraz ważniejsze ugruntowanie wśród pracowników wspólnoty ich interesu z interesem przedsiębiorstwa; dla pracowników — równie niezbędne jak lepszy poziom bytu materialnego, stanie się także odnalezienie w pracy jej głębszego sensu ludzkiego. Praca codzienna — ta zwykła zarobkowa praca, nie jakieś marginesowe ,,hobby'' — miałaby bowiem otwierać drogę do realnego uczestnictwa w twórczości każdego pokolenia, miałaby zatem dać udział nie tylko w samej pracy wykonawczej. Satysfakcja czerpana z pracy staje się codzienną potrzebą współczesnego człowieka.

Być może, że próby formowania spółdzielczych grup robotniczych dla eksploatacji państwowych gospodarstw rolnych, w trybie zbliżonym do dawnej dzierżawy, przyniosłyby celowe rozwiązanie nowego stosunku pracy. A wówczas, być może, otworzyłaby się wreszcie przed PGR-ami droga do prawdziwego przodownictwa w sprawie kolektywizacji drobnorolnej wsi, droga świadczenia realnego przykładu.

Rozważenie tych możliwości, w najbardziej ogólnym zarysie, będzie przeto stanowiło jedno z zadań niniejszego opracowania.

## ZAKOŃCZENIE

Dokonany przegląd ogólnego stanu i dotychczasowych osiągnięć państwowych gospodarstw w krajach socjalistycznych pozwala stwierdzić, że nigdzie nie zdołano uzyskać równoczesnego spełnienia obu stawianych sobie zadań, tzn. gospodarczo opłacalnej, masowej produkcji żywności, przy małej liczbie zatrudnionych, oraz wzorowej i ponętnej organizacji pracy.

W znacznej części obserwowanych państw zawiodło jedno i drugie: trwa niska i droga produkcja obok stosunków pracy zniechęcających do jakiegokolwiek naśladownictwa. Bywa znośne spełnienie zadania produkcyjnego, natomiast nigdzie nie stała się państwowa gospodarka przykładem dla chłopów do podejmowania produkcji zespołowej.

Gdy zatrzymamy się na ocenach najbardziej oficjalnych i możliwie generalnych — a więc dla ZSSR powtórzymy opinię Benediktowa, ministra rolnictwa, mamy stwierdzenie, że pomimo wprowadzenia w 1954 r. nowych cen regionalnych, opartych na rachunku własnych kosztów produkcji — gospodarka sowchozów daje dalej straty. W r. 1955 przeciętne koszty pro-

dukcji zboża, mleka, mięsa wołowego i świniny są wciąż znacznie wyższe od cen zakupów (5).

Stwierdzenie niskiego poziomu płac i takiejże skali życia robotników w sowchozach nie może być oparte o oficjalne wypowiedzi (jak to ma miejsce dla wyników produkcji), gdyż odpowiednie dane nie są publikowane. Niewątpliwie jednak już samo to przemilczanie ma swoją wymowę, a pośrednie informacje i przeliczenia są wystarczające, by uzasadniać twierdzenie o ogólnie biorąc, bardzo złym stanie rzeczy (6).

Wyniki ekonomiczne PGR-ów w Polsce charakteryzuje systematycznie wzrastający deficyt produkcyjny na każdy ha upraw. Pomimo rosnących ciągle nakładów inwestycyjnych, rosną także coroczne dopłaty budżetowe. Nieraz całe, rejonowe grupy PGR-ów otrzymują ze sprzedaży produkcji tylko mniejszą część normalnych wydatków — resztę pokrywa państwo. Zły wynik finansowy wieńczy niski wynik produkcyjny. Wydajność towarowa na ha jest w szeregu lat poniżej przeciętnej krajowej.

Temu stanowi produkcji towarzyszy niezmiennie niska skala wynagrodzeń i złe warunki bytu pracowników. Ani stan mieszkań, ani urządzenia społeczne nie odpowiadają współczesnym wymaganiom pracowników. Można twierdzić, że robotnik poszukujący pracy, raczej tylko w ostateczności zgłasza się do PGR, toteż obsada załóg jest ciągle niekompletna. Nie ma żadnej wątpliwości, że byt pracownika PGR nie wzbudza zazdrości u chłopów (7).

---

(5) Benediktow — Za sniżenie siebiestoimosti produkcji sowchozow" — Sowchoznoje Proizwodstwo. N. 5. 1957. — Wprawdzie w 1956 wielki obszar zasianych nowin, gdzie produkcja zboża okazała się najtańsza, pokrywa inne straty i przynosi dla całości sowchozów niewielki zysk (315 milionów rubl.), ale to nie zmienia faktu, że sowchozy RSFR dały duże straty (677 milionów rubli), że dla całości sowchozów ZSSR plon kartofli w 1956 wyniósł 66 kwintali na ha, że średnia waga rzeźna półtorarocznej sztuki bydła wynosi 241 kg. i że upadek bydła w 1956 sięgał w niektórych republikach 5 i 6% całego pogłowia.

(6) Artykuł: „Opyt opłaty truda" Minin i Wołosienko w N-6, r. 1957, mies. „Sowchoznoje proizwodstwo" — podaje przykład dobrego sowchozu stosującego obficie akord, gdzie stawki podziennej płacy rozpoczynają się od 7 i 8 rub. i sięgają 17 do 22 rub., a akordowe wynagrodzenie przy tychże pracach od 8 i 11 rub. do 20 i 27 rub. (poza traktorzystami płaconymi znacznie wyżej.

H. Wroński — „Le Troudoden" — Ed. S.E.D.E.S., Paris 1957 — ocenia średnią płacę dniówkową w sowchozach na 12,6 rubli, miesięczną na 304,5 rubli w 1954, gdy także przeciętna płaca w przemyśle wynosiła około 700 rubli.

(7) T. Rychlik — Z problematyki rentowności PGR — „Ekonomista" Nr. 3. 1957; J. Jankowski — „Życie Gospodarcze" — Nr 28, 1957. Autorzy na podstawie *oficjalnej sprawozdawczości finansowej PGR* podają, że w latach od 1951 do 1956 straty przyniesione przez PGR-y gospodarce narodowej wynosiły kolejno: 1.358, 1.866, 2.225, 2.303, 3.502, 4.700 milionów

Czeskie i Wsch. Niemieckie gospodarstwa państwowe nie wywołują wprawdzie tyle krytyki w opinii publicznej co polskie, ale też nie są traktowane jako zadawalające rozwiązanie dla przyszłej formy rolnictwa. O zdecydowanie ujemnej opinii samych pracowników — wystarczająco świadczy trwała niechęć do angażowania się do pracy w PGR-ach, a stąd ciągłe żale administracji na brak potrzebnej obsady.

Stosunkowo najlepiej wypada ocena państwowych gospodarstw w Bułgarii i Jugosławii. Nie są i tam co prawda otaczane zachwytem. Od szeregu lat zaprzestano już nawet głosić, że są one przykładem i zachętą do kolektywizacji — poleca się im skromniej: być przykładem w postępie technicznym. Sprawy kolektywizacji doznały doraźnie swoistych rozwiązań, zupełnie niezależnie od PGR-ów. W Bułgarii, nie czekając na zbawienne skutki przykładu, dokończono przymusem kolektywizacji wsi, niemal bez reszty, w 1956 r. W Jugosławii zaś zezwalając w 1953 r. na rozwiązanie dawniej forsowanych spółdzielni, poprzestaje się dziś na skromnej liczbie pozostałych, najlepszych — i od nich przede wszystkim oczekuje się, aby wykazały swą wyższość.

Natomiast pod innymi względami PGR-y w obu krajach bałkańskich korzystają z opiniowej tolerancji. Ponieważ nie stanowią wiele w produkcji (3,26% obszaru rolnego w Bułgarii i 4,8% w Jugosławii), a spełniają na ogół normalne funkcje majątków państwowych w doświadczalnictwie, w nasiennictwie i w zarodowej hodowli, więc przynoszone budżetowe straty są łagodnie traktowane. Statystyka Jugosławii wykazuje przy tym systematycznie wyższe plony państwowych gospodarstw ponad drobne rolnictwo, przy różnicy do 30%.

Można też sądzić, że najwcześniej w Jugosławii przełamany skrajny centralizm w gospodarczym zarządzie — spowodował stosunkowo najmniej szkody i gospodarce PGR-ów. Wreszcie należy wskazać, że w obu tych mało uprzemysłowionych krajach,

---

złotych. Na 1.000 zł kosztów otrzymana wartość produkcji waha się od 411 zł. (Białostockie) do 893 zł. (Katowice).

Co do zarobków robotniczych, *Rocznik Statystyczny* podaje płace i zatrudnienie w rolnictwie łącznie z leśnictwem. Przeciętnie znacznie wyżej kwalifikowani pracownicy lasów podnoszą naturalnie przeciętną płacę rolniczą. Nadto, przy znacznym przeroście administracji w PGR-ach — kosztuje ona koło 20% Funduszu płac — mamy i z tego tytułu podniesienie przeciętnej. Stąd jest oczywiste, że podawana przez *Rocz. Stat.* suma 813 zł. jako przeciętna płaca miesięczna w 1955, nie może być miarodajna. Zapewne dopiero generalna podwyżka wynagrodzeń niższych od 500 zł., wprowadzona w 1956, musiała objąć PGR-y. Pozostała na pewno tradycyjna rolnicza wielogodzinność dnia pracy i inne niedole robotników folwarcznych, które pozwalają we wskazanym artykule „Ekonomisty" konstatować: „z powodu bardzo niskich zarobków robotników stałych — dokradanie produktów dla potrzeb hodowli w gospodarstwie pracowniczym stało się jednym ze sposobów podnoszenia zarobków".

istnieje naturalnie większa łatwość zatrzymania w PGR-ach stałych pracowników, niż w Niemczech, Czechach czy Polsce. Ani opuszczanie wsi dla przemysłu, ani każdoczesne wzorowanie wymagań według miejskiej skali życia nie stały się jeszcze na Bałkanach częste.

Czy jednak te wyliczone przyczyny lepszego stanu rzeczy w Bułgarii i Jugosławii mogą wyczerpać sprawę? Łatwo jest przecież wskazać, że podobne okoliczności w innych krajach bynajmniej nie były wystarczającą podstawą do poprawnego ułożenia stosunków produkcji i pracy w państwowych gospodarstwach. Oto i w ZSSR i w Rumunii istniała nie mniejsza jak w Bułgarii obfitość rąk do pracy, a jednak ogólne rezultaty PGR-ów są zdecydowanie gorsze.

Poza łatwo uchwytnymi czynnikami ekonomicznymi, wypada podkreślić znaczenie pewnych momentów socjologicznych. W rolniczo rozwiniętej i nasyconej różnymi formami spółdzielczości Bułgarii, jeszcze przed rządami komunistycznymi, powstał rodzimy prąd spółdzielczy i szereg wsi był przeobrażony w gospodarstwa kolektywne. Akcja ta zrodziła się i rosła przede wszystkim w oparciu o idealistyczną grupę młodych agronomów, szukających nowego rozwiązania dla starej niedoli przeludnionych wsi. Ci młodzi reformatorzy musieli się oczywiście znaleźć także przy formowaniu po wojnie nowych gospodarstw państwowych. Musieli tam wnieść znaczną dozę swego entuzjazmu dla wielkiej, zmechanizowanej produkcji, a na stosunki robotnicze musieli przenieść swoje poszanowanie pracownika, wyrosłe z koncepcji chłopskiego kolektywu i uzyskali zapewne lepszy stosunek robotników do całości gospodarstwa.

Można co najmniej tyle twierdzić na pewno, że w obu tych wybitnie chłopskich krajach, gdzie wielka własność rolna już od przeszło 1/2 wieku niemal całkowicie znikła — nie mogły być przeniesione na PGR-y złe obyczaje dworskiego folwarku, tchnące jeszcze pańszczyźnianą tradycją. Nie będzie więc błędem, jeżeli lepiej ułożonemu stosunkowi pracy w PGR-ach Bułgarii i Jugosławii przypisywać będziemy mniej niekorzystne wyniki tych gospodarstw, niż w innych krajach. Tym niemniej i w tym wypadku nie zachodzi spełnienie pokładanych nadziei.

Jeżeli poprzednie stronice tego opracowania doprowadzą czytelnika do przeświadczenia, że zagadnienie produkcji i pracy na wielkim, publicznym warsztacie rolnym nie zostało dotychczas należycie rozwiązane, chociaż rozwój rolnictwa europejskiego tego wymaga, a więc sprawa jest warta wysiłków i eksperymentów — to już podstawowe zadanie niniejszej rozprawy byłoby spełnione.

Jeżeli dalej, czytelnik będzie skłonny przyjąć, że istotnie rozwiązanie to będzie wymagało równoczesnego spełnienia wskazanych, podstawowych warunków — wolno będzie mniemać, że analizę trudnej sprawy posunięto o jakiś skromny krok naprzód. Przypomnijmy, że nacisk szczególny położony został

na współrzędność warunków następujących: a) Zaniechania lub ograniczenia polityki eksploatacji rolnictwa na rzecz przemysłu, co dać winno niezbędną podstawę dla opłacalności rolnictwa i realną możność wynagradzania pracy na poziomie bliskim do innych działów produkcji. b) Przełamania centralizmu administracyjnego, który jest źródłem nieuniknionych klęsk w produkcji rolnej, a zapewnienia właściwej decyzji lokalnemu kierownictwu. c) Wypracowania nowego systemu wynagradzania pracy, który mógłby związać pracowników z warsztatem produkcyjnym inaczej i bliżej, niż to zdołał czynić dotychczas zwykły, kapitalistyczny najem, nawet przy swych wszystkich wyszukanych ,,premiach", ,,bodźcach" i ,,zachętach".

Ale dla autora tych rozważań, najbardziej cenne byłoby pozyskanie aprobaty u tej garści czytelników, która poza względami gospodarczymi, wytrwale śledzi wszelkie przejawy ludzkich dążeń do wzbogacenia życia nie tylko w użyteczną, ale i w radosną pracę. Kto bowiem ufa w osiągalność tego celu, sprzyja naturalnie poszukiwaniom i wysiłkom, które chcą z pracy zarobkowej wykrzesać także dla człowieka pełną satysfakcję z osobistego, twórczego udziału w życiu swego pokolenia — ale sprzyjając, tym bardziej surowo mierzy fantazje i czcze marzenia. W ,,popychaniu" świata naprzód, liczą się w końcu tylko ci, którzy umieją twardo rozróżniać frazeologiczne zapewnienia o nowych czasach, od realnych poczynań ku zmianie podstawowej treści społecznego życia.

Cóż jest jednak prawdziwą zmianą treści w życiu społecznym? Mamy pełno w uszach różnych diagnoz, kiedy właściwie następuje przemiana kapitalistycznego ustroju w socjalistyczny. Rozważania polegają zazwyczaj na komentowaniu przeobrażeń w strukturze organizacyjnej instytucji i państwa samego oraz podkreślaniu innych zasad podziału dochodu narodowego. Czyż nie jest słuszny zarzut, że to dalece nie wystarcza i raczej ślizgamy się po powierzchni, dopokąd nie tykamy wewnętrznego układu w samym przedsiębiorstwie, dopokąd praca najemna, element podstawowy kapitalistycznego układu, trwa w dawnej postaci, zyskując tylko przemalowanie umieszczanych nad nią szyldów. Jakże ożywczym prądem stają się w polskiej dyskusji gospodarczej te głosy, które pojęcie ,,socjalistycznego przedsiębiorstwa" chcą nasycić odmienną treścią stosunków pracy ludzkiej, chcą zastąpienia ,,przedsiębiorstwa" przez społeczny ,,zakład pracy" (8).

Podobnie w rolnictwie, nie wnoszą nowej treści w stare wiejskie życie dokonane przemianowania domen i folwarków na zespoły i fermy PGR-ów. A oto sytuacja otoczenia jest taka, że wyznacza i wypycha niejako PGR-y do spełnienia roli przodującej. Prawdopdobnie konieczne przeradzanie się drobnego rol

(8) Prof. Fabierkiewicz na Zjeździe Ekonomistów w 1956, A. Bar dach w Nr. 36 ,,Życie Gospodarcze" — 1957.

nictwa europejskiego w formy wielkiej produkcji pozwala przewidywać rozwój form spółdzielczych. Są one dotychczas niezmiernie trudne dla chłopa właściciela.

Tezą niniejszego opracowania jest opinia, że o wiele łatwiej może być stworzony wielki społeczny zakład pracy rolnej z elementu robotników rolnych. Wejście do spółdzielni chłopa samodzielnego wymaga z jego strony:

1) wyrzeczenia się konkretnego, codziennego poczucia własności ziemi i przeniesienia go do kategorii uprawnień abstrakcyjnych,

2) podporządkowania się w bieżącej pracy rozkazom kierownictwa, gdy dotychczas sam sobą dysponował i kierował pracą rodziny.

3) gotowości do afirmowania gospodarczego rozumu kierownictwa, w całości zarządu, a zatem wyzbycia się ustawicznego poczucia żalu i pretensji, że przecież on sam zarządziłby naturalnie bardziej celowo i praktyczniej,

4) zaufania do lepszych wyników gospodarki zbiorowej, oraz zaufania do członków zespołu, że dają równie sumienną pracę, nie popełniają nadużyć i nie narażą go na krzywdzący podział, przy jego rzetelnym wysiłku.

Bezrolny robotnik folwarczny trzech pierwszych trudności w przezwyciężeniu swojej postawy uczuciowej nie miewa wcale, lub w minimalnym stopniu. Do pracy w zespole też jest bardziej przygotowany. Na ogół nie ma nic prawie do stracenia, a ma wiele do zyskania. Z nim łatwiej eksperymentować.

Im bardziej zaś jest jasne, że dawna nadzieja fornalska — wyjścia na samodzielne kiedyś gospodarstwo — musi opuszczać umysły robotników rolnych, tym więcej jest konieczne dla zakładu pracy otwierać przed pracownikami inne pole satysfakcji moralnych, by uczynić ich życie pełniejszym.

Jeżeli poza poprawą swego losu, spółdzielcza grupa robotnicza zdoła też otworzyć drogę dla przemiany drobnorolnej wsi w nowoczesną organizację produkcji rolnej, przypadłaby jej w udziale nie byle jaka historyczna zasługa przodownictwa. Swego czasu skromni tkacze Rochdalscy, zakładając pierwszą kooperatywę spożywczą, nie oczekiwali zapewne, że ich wysiłek przeobrazi głęboko życie społeczne w wielu krajach.

A gdyby nawet nadzieja dobrego przykładu spółdzielczego nie miała się spełnić i właściwe rozwiązanie stosunków pracy w wielkiej gospodarce rolnej pozostało tylko zdobyczą w ramach państwowych gospodarstw rolnych — to czyż inny los tych wielu już dziś milionów, wciąż upośledzonych robotników, nie wart jest wkładu myśli i wysiłków ze strony społecznych reformatorów?

*Juliusz PONIATOWSKI*

# Newroza na Śląsku

Współczesne położenie czołowego oddziału polskiej klasy robotniczej — górników śląskich — jest konsekwencją systemu, określanego często mianem stalinowskiej inkwizycji. Dzieje (narodziny, rozwój, mechanizm działania) owej inkwizycji sięgają daleko wstecz i stanowią sporą część z całości polskiej historii...

Górny Śląsk, jak wiadomo, leży na skraju południowego masywu. Rzeka Brynica przepływa, gdzieś w okolicach Sosnowca, koło trójkąta trzech cesarzy. Lewy brzeg rzeki zamieszkują gospodarni Ślązacy. Na prawym leży wygadane czerwone zagłębie, a dalej na wschód droga wiedzie w stepy, na strefę polarną do ogromnych obszarów cywilizacji turańskiej. Stopa życiowa mieszkańców Śląska sądząc z ich wyglądu, z ich domów, ich sposobu odżywiania się była niska, ale równocześnie była daleko wyższa niż w innych częściach Polski. W pierwszomajowy dzień ludność Zagłębia i Ślązacy nosili czerwone wstążeczki w klapach odświętnych marynarek, w pełni marzeń o socjalizmie. Militarnie teren Śląska był bezbronny.

Wiosną 1944 — szumiały wtedy dęby amerykańskie — problem Polska — Niemcy został dla Śląska przesądzony. Społeczeństwo znalazło się wobec chaosu i nosiło znamiona moralnego rozkładu. (Tu przeszło pierwsze uderzenie w ,,germanię''). Zniemczała część inteligencji, wysokokwalifikowani zawiadowcy i sztygarzy, albo wyemigrowali w stronę Weimaru i dalej, albo w Polsce oddawali się bezsensownym marzeniom, oczekując pomocy z nikąd. Natomiast młodzież wracała do sztolni, w pośpiechu uczyła się sylabizować nie tylko znany już pacierz po polsku, ale i gazety, była zupełnie zagubiona. W kopalni ,,Paryż'' 1944 r. powstała rada załogowa. Grupa starych KPP-owców, ospowaty działacz z KPP z czerwonymi opaskami na rękawach, wykłócali się namiętnie z PPS-wcami o mandaty w wyborach do instancji samorządowej, przejmowali na własność robotniczą kopalnię i zabudowania. Mając w pamięci międzywojenne doświadczenia mało kto wierzył na Śląsku w polski ,,Ordnung''. A przecież polski Ordnung był jedyną siłą, która mogła zapewnić spokój i odbudowę kraju... Uruchomić koła na szybach, dać Ślązakom zarobek, sprawić by działały koleje i linie żeglugi. Nie trzeba było być komunistą, aby to rozumieć. Narzucała to sama oczywistość. Przeciwdziałać uruchomianiu fabryk, budowaniu nowych oddziałów, było szaleństwem wbrew zdrowemu rozsądkowi i instynktowi samozachowawczemu.

Los przemysłu węglowego i 200 tys. górniczych istnień rozstrzygnęły, w latach 1950 — 1953, rozmowy pomiędzy Bie

rutem a Moskwą i jeden wieczór, w którym prasa i radiostacja katowicka przyniosły wieść, że do wrót Europy zakołatał koszmar wojny. Od tego momentu na Śląsku zaczął funkcjonować w sposób najbardziej widoczny ów system „S"... wielotysięczne pochody ze śpiewem, malowane na płótnach ceglastymi farbami portrety członków rządu i partyjnego kierownictwa... System dla którego człowiek doczesny, jednostka, nie była celem w sobie ale środkiem do celu.

Praca na biedaszybach w okupacyjną faszystowską noc musiała być przerażającym doświadczeniem dla górników. Zwyczaje niemieckich zdobywców mogły być zakwalifikowane metodą pojęć elementarnych : bezprawie, gwałt, zbrodnia. To co zaczynało dziać się w śląskich kopalniach w sześciolatce trudno było w ogóle zakwalifikować. Ustalając cyfrę 100 milionów ton wydobycia na 6 lat, obiecano wysokie subwencje dla Śląska, budowę 23 poziomów, 8 nowych kopalń, ilość wierceń entego rzędu. Inwestycje te były warunkiem elementarnym wykonania zadań. Dziś, publicystę szperającego w górniczych statystykach ogarnia przerażenie. 60% planu inwestycji, 95% planu wydobycia ! Czy w samym stosunku tych dwóch cyfr wynikowych sześciolatki (nie wnikając w szczegóły i przyczyny nie wykonania planu inwestycji) nie kryje się koszmar ? Wielka tragedia śląskich leaderów, zmuszanie górników do formy pracy niewolniczej.

Zacznijmy od leaderów.

Obserwacje wykazują, że przede wszystkim zarządzili oni demokratyczne ustalanie planów dla kopalń. Ustalanie nie przypominało jednak w niczym praktyk z okresu samorządu robotniczego lat 1944. Samorządy robotnicze po kilku dniach przestały istnieć, a kopalnie przejęły od robotników Zjednoczenia i Min. Górn. Był to akt upaństwowienia środków produkcji... który miał bardzo doniosłe konsekwencje : plan nie był ustalany demokratycznie oddolnie, ale był narzucany robotnikom odgórnie przez Państwo. Odnotowywano wysokość złoża na miliardy ton i przyjmując tę podstawę ustalano wykopy na czarny dzień. Decydowały nie możliwości faktyczne (np. w kopalni „Bobrek", „Wieczorek"), a potrzeby gospodarcze Polski, ZSSR, NRD, CSR (tu bilans w skali bloku). Sposób zarządzania kopalniami miał charakter czysto wojskowy: oficerowie produkcji + szlify na górniczym mundurze = odpowiedni typ działacza. „Wykonaj plan, wykonaj plan..." śpiewała prasa i radio, wtłaczano tę prawdę w każdym Komitecie Partyjnym, świetlicy i Zjednoczeniu.

Jednym z dyrektorów w średniej kopalni węgla był mój stary towarzysz, awansowany górnik-robotnik, którego pamiętam z wczesnej młodości. Przegwarzyliśmy przy nie jednej szklance wina wiele chwil, wymyślaliśmy na imperialistów; broszurki ZMP-owskie „sen bumelanta", roznosiliśmy razem. W okresie mobilizacji 52-53 został dyrektorem. Dziwne to musiało być dla niego przeżycie : agitować starych przyjaciół z KPP do pracy

niedzielnej (która w śląskich kopalniach trwała od 10 lat po dzień dzisiejszy) do planowych rolek, tłumaczyć się przed prokuratorem z wydziału górniczo-węglowego WP w Katowicach, przed Z. Zaw. Górników, prasą, ZMP (istniał przecież system transmisji) — kiedy pękła sprężynka w radzieckiej ładowarce, albo gdy górnik przez 3 dni opuścił pracę.

A jednak wbrew sobie stał się stalinistą.

Sądzę, że najpierw i przede wszystkim przyswoił sobie metodę dużych pojęć. Dotąd z uporem maniaka przyzwyczajony był powtarzać : ,,honor'', ,,godność osobista'', ,,sumienie'' ; teraz kazano mu wyeliminować je z codziennego słownictwa, zastąpić innymi pojęciami : ,,żelazna dyscyplina'', ,,kategorie konieczności państwowej'', ,,cele w skali bloku''. To znaczy — za wszelką cenę węgla, jak najwięcej węgla. Podnosił wzrok ku niebu i na ścianach czytał hasła, w przerwie narad brał do ręki *Trybunę Ludu,* w domu słuchał radia i wszędzie odnajdywał potwierdzenie : *inaczej być nie może.* Poczciwy dyrektor, niedoświadczony instruktor skąd mógł wiedzieć, że wobec metody tzw. dużych pojęć, należy stosować kryteria sprawdzalne i wykazywać ich nędzę filozoficzną. Na Śląsku nie było ani jednego uniwersytetu, teatr zamierał... Śląsk był jak dawniej pozbawiony humanistycznej inteligencji (rozwijano tylko uczelnie fachowe) panuje też dotąd jakaś kusa, półślepa jednostronność technicystyczna typu wybitnie półkolonialnego.

Następnie przyswoił sobie nowe zwyczaje : całonocne zebrania, składanie samokrytyk na rozkaz, podejmowanie zobowiązań pierwszomajowych, zobowiązań dla uczczenia rocznicy czyichś urodzin. Potem nawet odważył się występować z inicjatywą na zjazdach.

...Spotykałem go siedzącego na zjazdach w MG i KW (Komitet Wojewódzki). Stosunek sali do mówców wygłaszających urzędowe referaty, do wizytującego mitingi gen. Jaroszewicza — był zdecydowanie wrogi. Wszyscy wewnętrznie uważali plan za maniakalną mrzonkę, której urzeczywistnienie doprowadzi do opłakanych rezultatów (poszarpie front wydobywczy, spowoduje konieczność wybierania pod miastami i pędzenia chodników od granic do szybów itp). Próby wywołania dyskusji poza poprawnymi przemówieniami kilku tzw. ,,urobionych'' dyrektorów, nie udawały się. Sala milczała. Wówczas znajdował się pierwszy, który przypuszczał atak pełen tłumionego żalu do kierownictwa przy wyraźnym, ale milczącym poparciu sali. Odpowiedź referentów miażdżyła atakującego znacznie lepiej przeprowadzoną argumentacją i, aby wypadła jeszcze mocniej, zawierała pogróżki pod adresem kariery i przyszłości nie uświadomionego towarzysza ; zwykle padało kilka uwag o mentalności perliczki i psychice szczura. Pamiętam twarz mojego dyrektora : zimna, obojętna. Była jednak na tyle czytelna, że mogłem szybko zauważyć zmieniające się nastroje : gniew, lęk, podziw, niedowierzanie — wszystko przelatywało falami.

Był kwiecień 1955 roku w starych zakopconych Katowicach. W pogodny wiosenny ranek siedziałem w sekretariacie tow. Olszewskiego : rozmawialiśmy o powojennej poezji polskiej i Di Vittorio. Rozmowa była nader gorącym zajęciem, gdyż przedmiotem sporu stał się poemat Ważyka, teza włoskiego komunisty : „O granicach wytrzymałości klasy robotniczej", kategorie stosunku członka partii do uchwał kierownictwa...

Czy w każdym wypadku członek Partii jest zobowiązany zabezpieczyć realizację każdej uchwały ? Tow. Olszewski uznawał jedyną maksymę : żelazna dyscyplina i podporządkowanie. Wypaliłem dużo papierosów. Do pokoju wpadł świergot ptaków, który nagle zmieszał się z podniosłą muzyczną frazą. To był Mozart. Postać sekretarza znieruchomiała. Za oknem widać było wielki plac na którym w Dniu Barburki stały rzędem wyszorowane Ify i motocykle dla górniczych przodowników pracy. Zauważyliśmy, że teraz właśnie wszedł na ten plac oddział ludzi, dużo młodych mężczyzn w wojskowych mundurach. Niektórzy próbowali się opalać rozpinając koszule na piersiach, inni śpiewali „szła dzieweczka do laseczka". Stojąc w oknie obserwowałem ich w milczeniu. Byli to, jak łatwo odgadnąć, żołnierze wojskowych batalionów węglowych, których miałem poznać jednak w nieco późniejszym terminie. Po schodach obłapując poręcze, schodził jakiś mężczyzna ze szlifami dyrektora na górniczym uniformie. Widziałem, że gładził policzki mokrą ręką, która drżała. Operację jaką tu przeszedł wielu dyrektorów miało już za sobą, mało kto zwracał na niego uwagę. Niektórzy kiwali głowami ze współczuciem. Sami to przeszli jedni ostrzej, drudzy słabiej, znali jej przebieg. Nie było odważnych, nie było typów monumentalnych czy rozdartych w KW, który był zwany przez niektórych „Białym Domem" ; wszystko tu było logiczne, jasne, konkretne, oderwane od rzeczywistości. Tu właśnie dyrektor i działacz węglowy składali ów akt przyznania się do winy, tu kajali się za niepopełnione błędy. Wynik operacji był jednak radosny. Petent wychodził z KW „po przełomie" zdobywając owe morale : uznawał odtąd wyższość celów państwowych nad ludzkimi i — stawał się stalinistą. Mówić, odczuwać, myśleć, czynić tak jak „trzeba", ponieważ poza tym „trzeba" nie pozostawało nic wartościowego. A jednak kiedy wracał rządowym autem w swój „tzw. teren" wpadł w stan ruiny nerwowej, jakiś szczególny rodzaj przygaszenia miał w oczach, boleśnie spuszczone kąciki ust, a na skroniach bielały mu kępki siwych włosów. Przytłaczał go ból : wątpliwości z których się nie mógł zwierzyć nikomu.

Jak wygląda świat górniczy, i ci którzy bezpośrednio walczyli o plan? Czy jest to świat opisów „Officyny Ferraria", w której renesansowy pisarz Polski w XVI wieku przedstawiał Śląsk, świat obrazów malarza Ociepki ? Nie...

Kopalnia. Przed nią tłum obdartych wynędzniałych ludzi w stanie silnego wycieńczenia. Zjazd, odbywa się tu górniczą klatką, albo w prądach nieprzewietrzanego chodnika, upadem

trzeba iść wiele kilometrów, w kucki, zwijając się w kłębek (kop. „Mortimer"). Na dole praca w 60% ręczna, w rozproszeniu, w ciemności i pyle, w temperaturze 30°, nagie plecy, zepsute wentylatory, dłonie konwulsyjnie ściskające kilofki, mdlejące ciała — wyjątkowo niebezpieczna praca.

Pokłady poziome 60 wysokie; wybierać węgiel, ładować na taśmy można tylko w pozycji leżącej na wznak albo na brzuchu. (Kopalnie dolnośląskie). Albo pokłady pionowe, stojące, tzw. „kominy" — górnik w pozycji kominiarza, z góry zrywające się, nieustannie zrywające się zwały węgla, nieostrożne wysunięcie głowy grozi zmiażdżeniem sklepienia czaszki. („Sośnica", „Gliwice").

...Tu spotkałem żołnierzy z owych wojskowych batalionów węglowych. Było ich tysiące. Przed zjazdem młodsi płakali (kop. „Wujek", „Wieczorek") nadchodziły masy więźniów, tzw. „pracowników specjalnych" (PS), prowadzonych z psami, z milicją w czwórszeregach. Jedni i drudzy byli miazgą ludzką, która się nie liczyła. Zjeżdżali wieczorem, a późnym popołudniem na drugi dzień górnicza klatka wyrzucała ich na powierzchnię. Pracowali często i po 24 godzin (kop. „Rozbarki") np. w trakcie wykonywania zobowiązań 1-szo majowych. Cywilne brygady (np. Steffera) również przedłużały czas pracy do 16 godzin. W grudniu 1955 roku, kiedy kopalnia „Bobrek" szturmowała roczny plan, brygady ścianowe z oddziału VIII (np. Alfreda Jędryska) przebywały na dole 17 godzin bez przerwy. Pracowano w niedzielę i święta. (Mimo strajków w kopalni „Jowisz", „Czerwona Gwardia", „Kazimierz" w 1951 roku). W dnie powszednie średnia przeciętna czasu pracy na 10 tys. przodków kopalnianych wśród brygad ścianowych we wszystkich kopalniach wbrew oficjalnym statystykom oscylowała wokół 12 — 14 godzin pracy dziennej. Mieli poodbijane ręce, poparzenia w kroku... Wskutek przekraczania maksimum zdolności człowieka do pracy (a owe maksimum przecież istnieje) górnicy popadli w stan owej newrozy: ogarniała ich apatia, zatracali podzielność uwagi, mimo sygnałów ostrzegawczych np. wpadali do szybów, podstawiali nogi pod elektrowozy, ginęli setkami w katastrofach. Wypadki w Zagłębiu Śląskim osiągnęły w latach 1955-56 największą (po ZSSR i NRF) w Europie cyfrę — 4000 *wypadków miesięcznie.*

Płace w górnictwie pozostające po dziś dzień dla wielu złotą legendą! Dzieje się tak dzięki dwóm czynnikom: propagandzie prasowej i instytucji przodowników pracy. Przodownicy pracy pracując często po kilkanaście godzin dziennie, istotnie osiągają bardzo wysokie przeciętne. Ale olbrzymie masy górnicze po odliczeniu dodatków za liczne niedziele, święta i nadgodziny... Podstawowa płaca górnicza, jest na szóstym miejscu w Polsce. We wszystkich krajach Zachodniej Europy jest stosunek zupełnie odwrotny: górnicy są zawsze na pierwszym miejscu, potem hutnicy, metalowcy itp.

Górnicze mieszkania (familjoki, kolonie kopalniane, prywatne domki) znajdują się w opłakanym stanie. Grzyb, wilgoć, bez

światła, stemple podpierające sufit, dzieci górnicze w pobliżu bydła i świń (osiedle Zagórze). Rozchodzące się ściany, tak, że widać stary angielski tramwaj (Zagłębie). W jednym pokoju (np. dom Adama Łydka) śpi siedem górniczych rodzin, na jednym łóżku — podłodze... Ich życie osobiste, prywatne, doniczki, kącik do osobistych rozmyślań — nie istnieją. Fama tylko głosi, że kobiety na nogach mają podwiązki, aby się w nocy cudze żony ze sobą nie pomieszały. (Kop. ,,Mortimer''). Walą się nie tylko poszczególne domy, 450 rodzin w Sosnowcu, kilka tysięcy drobniutkich dzieci mieszka w piwnicach, wali się całe Zagłębie (Będzin).

Owe zjawiska (warunki, czas pracy, zarobki, mieszkania) Marks, w swym wiekopomnym dziele ,,Das Kapitall'', omawiając prace pierwotnej akumulacji kapitału w Anglii nazwał sto lat temu biologicznym niszczeniem klasy robotniczej. A przecież od czasów Marksa, od czasów pierwotnej akumulacji kapitału (XVI, XVIII w.) upłynęło kilka ładnych lat walki o wolność człowieka.

Mojej relacji nie zaczerpnąłem z roczników katowickiej prasy. Obserwacje moje pochodzą jeszcze z dawnych lat, kiedy pracowałem w ,,Trybunie Robotniczej'', są żywe aż do bólu.

Powstaje pytanie : czy są jakieś kategorie etyczne, moralne, które pozwalałyby niszczyć ludzi w imię jakiś wyższych celów? Cała postępowa myśl ludzka mówi : *nie wolno*. Kto dał to prawo garstce śląskich leaderów : system stalinowski, konkretni ludzie? Dlaczego w propagandzie zwróconej do śląskiej klasy robotniczej, ,,Trybuna Ludu'', Polskie Radio apelują do moralnego oburzenia posługując się emocjonalnym sloganem ,,walczymy z krzywdą człowieka''?

Co w śląskich miasteczkach, sztolniach zdaje się jaskrawo przeczyć ,,doskonałości systemu śląskiego'' to właśnie owa newroza jaka zalega w ludziach i trawi jednocześnie ich gorączkową działalność. Trwa nie tylko w czarnych sztolniach, ale wydobywa się spod ziemi jako fluid wielu tysięcy jednostek''.

•

Moje wrażenia z ostatniej podróży po Śląsku były jednak najbardziej przykre. Mówią tam górnikom (np. w kop. ,,Mortimer'') : kopalnie są deficytowe, organizujmy, niech powstają, niech dojrzewają rady robotnicze — czynnik doradczy dyrektora. Zabezpieczy to wykonanie planu 5-letniego w górnictwie. Plan 5-letni to cyfra 110 mil. ton. Nie mam pewności, nie mają i tej pewności towarzysze śląscy : czy będzie pełne pokrycie inwestycyjne dla tak wysokiego fedrunku. Wiem, że z żądań śląskiego Kom. Wojew. 300 tys. izb mieszkalnych PKPG wykroiło 150 tys. Wiem, że nie ma finansów na radykalne podwyższenie płac węglowych. Sytuacja jest bardzo trudna. Nie ma jednak żadnych powodów, ażeby dzisiaj, po przewrocie październiko-

wym, tę trudną sytuację rozwiązywać poza śląską klasą robotniczą. Niech górnicy rozwiążą ją sami : niech nastąpi uspołecznienie środków produkcji, kopalń, zabudowań, wolnych szybów. Niech powstaną samorządy robotnicze, a nie bajraty robotnicze traktowane na Śląsku jako jeszcze jeden poganiacz do walki o plan, bajrat dla dyrektora. Tylko one będą, moim zdaniem, w stanie nasze kopalnie wyprowadzić ze stanu newrozy psychicznej.

*Janusz MATIASIAK*

# Więzienie sowieckie (2)

## WSPÓLNA CELA NA ŁUBIANCE

Pod koniec maja kazano mi zabrać rzeczy i przeprowadzono do wspólnej celi. Było to pewne złagodzenie zastosowanego do mnie regulaminu. Wprawdzie wszystkie szykany, jakie stosowano w celach pojedyńczych, stosowano także w celi wspólnej, były one jednak mniej rygorystycznie przeprowadzane. Izolacja była dalej stosowana, miałem jednak kontakt z towarzyszami celi, a tą drogą i pewne, zresztą bardzo skromne, wiadomości ze świata zewnętrznego. Mogłem czytać książki, które do wspólnej celi dawano. Od towarzyszy więziennych otrzymywałem nadto niewielką ilość papierosów, którymi się w celi mający pieniądze z niemającymi, dzielili. Wspólna cela dla mnie była szczególnie ciekawa, dawała mi bowiem kontakt z obywatelami sowieckimi i to kontakt w warunkach, w których ludzi można poznać szczególnie dobrze i przyjrzeć się ustrojowi sowieckiemu od tej strony, która dla zwykłego turysty jest niedostępną. W naszej celi siedziało 8 osób. Każdy więzień miał łóżko z pościelą, nadto w celi stał stół i było jeszcze tyle wolnego miejsca, że dwóch nas mogło równocześnie chodzić. Co dwa tygodnie przeciętnie, kogoś z celi zabierano, a na jego miejsce przychodził ktoś nowy, albo wprost z wolności, albo też z innego więzienia, czy też z innej celi. W ten sposób przeciekały do nas pewne wiadomości ze świata bardzo zresztą fragmentaryczne i z dużym opóźnieniem. Ważne wydarzenia polityczne przychodziły do celi z opóźnieniem czterech do sześciu tygodni.

W celi zastałem zespół więźniów dość typowy, jak się potem przekonałem, dla więzienia na Łubiance i w ogóle dla stosun-

---

*Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.*

ków sowieckich. Dam więc krótką charakterystykę poszczególnych osób. Zastałem tu jednego starego robotnika, komunistę i rodowitego proletariusza. Nazywał się przed wojną Ikonow, typowe rosyjskie chłopskie nazwisko, uformowane od ikony. Przerobił je sobie na Rem, jest to skrót, który znaczy rewolucja, elektryfikacja i motoryzacja. W podobny sposób utworzone nazwiska przyjmowało wielu komunistów po rewolucji. Odegrał on dość poważną rolę w czasie rewolucji, a potem w czasie wojny domowej, będąc politycznym kierownikiem dywizji sowieckiej, co zarówno w czasie wojny domowej było, jak i obecnie jest, bardzo dużym stanowiskiem. Posiadał też w swoim czasie wysoki stopień w hierarchii partyjnej i był blisko związany z Zinowiewem; samouk, typowy półinteligent, z masą wiadomości, zdobytych przez czytanie książek wyłącznie prawie komunistycznych. Jako oskarżony o związki z opozycją partyjną otrzymał wyrok pięciu lat więzienia, nie obozu — co jest karą stosowaną w Sowietach dość rzadko. Pięć lat odsiedział i powinien był wyjść na wolność. Wytoczono mu jednak nową sprawę i rozpoczęto nowe śledztwo. Był to fanatyk, głęboko wierzący w doktrynę komunistyczną, należący do starego pokolenia komunistów, pragnący wprowadzić w całej rozciągłości tę doktrynę w życie. Wierzący, że zapanuje ona nad światem, jako wynik ruchu rewolucyjnego proletariatu, oraz rezultatu zwycięstwa czerwonej armii nad państwami kapitalistycznymi. Człowiek tego typu, mający stare powiązania z opozycją partyjną, nie mógł być tolerowany przy obecnym kursie w Sowietach i musiał być usunięty. O jego wyjściu na wolność w obecnych warunkach nie mogło być mowy. Życie swoje musiał już zakończyć w więzieniu. Zresztą stan jego zdrowia był zły i nie wróżył, aby długo już mógł wytrzymać warunki więzienne. Ten typ starego komunisty, fanatyka wierzącego w doktrynę, który zgrzeszył jakimś odchyleniem od generalnej linii partii i jako opozycjonista trafił do więzienia, spotykałem później jeszcze często. Ludzie ci, pomimo lat przebytych w więzieniach sowieckich i obozach pracy, w najstraszniejszych warunkach, pozostali komunistami i stoją na stanowisku, że ich los jest wywołany warunkami toczącej się walk z wrogami ustroju sowieckiego, i że ich prawda zwycięży i ż wrócą oni do władzy i znaczenia, jakie posiadali. Byli to przeważnie półinteligenci, oczytani w literaturze komunistycznej i bezkrytycznie wierzący w doktrynę komunistyczną tak jak w prawdę objawioną. Wszelka dyskusja z tymi ludźmi jest niemożliwa niecelowa. Powtarzają znane tezy doktryny, a jeżeli usłyszą po wątpiewanie w ich prawdziwość, zaczynają rzucać na przeciwnik najcięższe inwektywy i nie dopuszczają nawet w swej obecnoś krytycznych uwag w stosunku do komunizmu i Związku Sowieckiego. Natomiast sami wygłaszają tezy obowiązującej w Sowietach wiary, jako prawdę absolutną. Ludzie ci zatruwali innym pobyt w celi i uniemożliwiali swobodną wymianę myśli i to ta dalece, że potem starałem się mówić o ile możności obcymi języ kami (nie po rosyjsku), bo wówczas byłem wolny od ciągłyc

interwencji tych panów i wysłuchiwania dobrze mi znanych rad lub przez propagandę spreparowanych informacji o Związku Sowieckim.

Drugim z kolei więźniem był inżynier, były oficer floty bałtyckiej, zrusyfikowany Niemiec, stary przedwojenny liberał i socjalista rosyjski, który brał udział czynny w rewolucji, nie chciał w swoim czasie optować na rzecz Niemiec i wierzył w realizację szczytnych haseł rewolucyjnych.

Obecnie już trzeci rok siedzący pod śledztwem. Gdy mówił ze mną po niemiecku, patrzył na Rosję Sowiecką oczami Europejczyka, oczywiście bardzo krytycznie, objaśniając mi nonsensy gospodarcze tego ustroju, przyczyny niepowodzeń i błędy, jakie są popełniane na każdym kroku przy produkcji przemysłowej i objaśniał ich przyczyny. Gdy mówił po rosyjsku, powtarzał zwykle opinie i poglądy nakazane propagandą sowiecką. Rozmowy z tym człowiekiem nauczyły mnie, że należy bardzo ostrożnie przyjmować to, co ludzie mówią o Sowietach, ponieważ przeważnie myślą inaczej. Trzeba dużej dozy osobistego zaufania, aby, w warunkach więziennych, dowiedzieć się prawdy i tego, co ludzie naprawdę myślą. Mój towarzysz był człowiekiem, którego ustrój sowiecki nie mógł tolerować, był to przecież człowiek starego, przedwojennego autoramentu, inżynier o pewnych kwalifikacjach, były oficer, a więc jednostka, która musi być usunięta z życia.

Trzecim lokatorem celi był geolog. Specjalista w zakresie wód mineralnych północnego Kaukazu, który specjalnie badał źródła uzdrowiska Esentuki i położył duże zasługi dla rozwoju uzdrowisk północnego Kaukazu, przez odkrycie wielu nowych źródeł wód mineralnych. Był wplątany w dużą sprawę ,,szkodnictwa''. Badania bakteriologiczne wykazały, że w wodach mineralnych Kisłowodska i innych uzdrowisk, znajdują się bakterie nawozowe. Oskarżono więc kierownictwo uzdrowisk o celową działalność na szkodę uzdrowisk. Jak wiadomo, woda zawierająca bakterie nawozowe nie nadaje się do picia. Istotna przyczyna zanieczyszczenia wód była bardzo prosta. Uzdrowiska nie były skanalizowane, a geologiczny układ warstw był tego rodzaju, że wody powierzchniowe przenikały szczelinami do warstw źródłodajnych. Tą drogą bakterie nawozowe dostawały się do wód źródlanych. Wskutek rozbudowy uzdrowisk i zwiększonej frekwencji, wzrosło także zanieczyszczenie źródeł. Mój towarzysz więzienny siedział już dwa lata i czekał go wyrok od ośmiu do dziesięciu lat obozów pracy. Ludzi tego typu co wspomniany geolog, lub inżynier, spotykałem potem w więzieniu częściej. Byli to normalnie wykształceni inteligenci, sympatyzujący przed wojną z ruchem rewolucyjnym, którzy chcieli lojalnie współpracować z ustrojem sowieckim, mając sympatię i pozytywny stosunek do głoszonych przez ten ustrój zasad. Obecnie trafili do więzienia, w olbrzymiej większości na skutek bezpodstawnych oskarżeń. Ludzie ci, prawie z reguły krytycznie ale słusznie oceniali ustrój sowiecki i jego błędy.

Czwartym z kolei był Rosjanin, syn emigranta białogwardzisty, który w Wilnie ukończył prawo i został aresztowany po przyjściu wojsk sowieckich. Oskarżono go o szpiegostwo przeciw Sowietom, a sprawa jego jako syna emigranta, przedstawiała się niedobrze. Zdawał on sobie też sprawę, że z więzienia sowieckiego nie wyjdzie. Z nim mogłem mówić po polsku. Mówił bowiem po polsku równie dobrze jak po rosyjsku. Był zdecydowanym wrogiem Sowietów i miał dużo wiadomości o tym kraju. On też wiele rzeczy mi wytłumaczył, których nie znałem, lub nie rozumiałem. Siedział na Łubiance o pół roku dłużej ode mnie, cały czas we wspólnej celi, a więc przed jego oczyma przewinęło się już wielu więźniów.

Powyższa czwórka stanowiła starą załogę celi. Siedzieli tu od dawna i ja ich także w celi pozostawiłem. Inne osoby zmieniały się częściej. Byli to kolejarze, aresztowani w związku z katastrofami kolejowymi. Tych siedziało dużo. Jak wiadomo, plagą ruchu kolejowego w Sowietach są katastrofy. Nadto koleje funkcjonują bardzo nieregularnie i z ogromnymi opóźnieniami, walczą z krańcowym brakiem taboru i złym poziomem kwalifikacji zawodowych personelu. Po każdej katastrofie i każdej czystce na kolejach, szereg pracowników kolejowych różnych stopni, idzie do więzienia. Oczywiście, aresztowania nie wpływają i wpłynąć nie mogą na sprawniejsze działanie kolei, ale w ten sposób usuwa się rzekomych winowajców. Spotkałem ich w czasie mego pobytu na Łubiance kilku. Byli to maszyniści kolejowi, dróżnicy oraz jeden naczelnik ruchu dyrekcji Świerdłowskiej. Syn robotnika z czteroklasowym wykształceniem (na to stanowisko wymagane są w Europie studia akademickie), partyjny komunista i typowy półinteligent, ale, co jest rzeczą rzadką w Sowietach, człowiek rozsądny i uczciwy, mający prostą, ale głęboką moralność, której mu komunizm nie był w stanie rozbić. Otrzymał on, jak się później dowiedziałem, wyrok skazujący na 10 lat obozu za szkodnictwo, które jeżeli miało istotnie miejsce, to wypływało z jego bardzo niskiego wykształcenia fachowego, opartego wyłącznie na wiadomościach zdobytych praktyką.

Kilka tygodni siedział w naszej celi, miły i bardzo inteligentny chemik, pracownik instytutu naukowo-badawczego w dziale produktów naftowych. Typowy inteligent rosyjski, jeszcze przedwojennego autoramentu, ale już wychowany przez Sowiety. Człowiek wyznający doktrynę komunistyczną i wierzący w jej realizację, zresztą mający w wielu wypadkach własne zdanie, co jest przestępstwem w stosunkach sowieckich. Kilku więźniów było wojskowych, którzy trafili do więzienia po zakończeniu wojny fińskiej. Jednym z nich był porucznik, dowódca kompanii piechoty, który ze spadochronem został zrzucony na tyły fińskie, w mundurze żołnierza fińskiego. Tam został aresztowany, osadzony w fińskim więzieniu i skazany na śmierć. Następnie, po zawarciu pokoju, wymieniony. Wytoczono mu z kolei w Sowietach sprawę o zdradę kraju. Był to przekonany komunista, półinteligent, o poziomie wykształcenia i kultury poniżej polskiego po-

oficera. On i wojskowi, którzy brali udział w wojnie fińskiej, opowiadali mi o przebiegu walk na froncie, o wielkich stratach wojsk rosyjskich w tych walkach, o bardzo złym kierownictwie wojskowym oraz o bohaterskiej walce i obronie Finnów. Opowiadania tych ludzi wyrobiły we mnie przekonanie, że wojny w wielkim stylu, np. z Niemcami, Związek Sowiecki nie może wytrzymać, skoro ta mała wojna kosztowała Sowiety tyle wysiłku i spowodowała bardzo poważne trudności aprowizacyjne wewnątrz kraju oraz wielokrotny wzrost cen na produkty żywnościowe na wolnym rynku.

Późniejsze wypadki zadały kłam temu przeświadczeniu. Okazało się, że rząd sowiecki, spodziewając się wojny i gotując się do niej na froncie europejskim, w wojnie z Finlandią celowo użył tylko drobnej części swych sił i wyprowadził do walki przeważnie przestarzałą i lichą broń. Postępowanie to miało na celu wprowadzić w błąd opinię świata, a w pierwszej linii opinię generalnego sztabu niemieckiego co do siły i wartości armii sowieckiej. Cel ten został osiągnięty. Istotnej siły i wartości armii sowieckiej przed wojną z Niemcami nikt nie znał i z gigantycznych zbrojeń sowieckich nikt sobie w pełni nie zdawał sprawy.

Mieliśmy także, jako lokatora w celi, sowieckiego Żyda, pracującego jak większość jego rodaków w Rosji Sowieckiej, w handlu, oczywiście państwowym. Prywatny handel w Sowietach nie istnieje, prócz tzw. bazarów po miastach, gdzie kołchoźnicy po dowolnych cenach sprzedają produkty żywnościowe, jakie im pozostały po uregulowaniu zobowiązań wobec państwa. Więzień ten był przez nadzór i administrację więzienną wyjątkowo dobrze traktowany i korzystał z różnych udogodnień. Mógł częściej wypisywać sobie produkty ze sklepu więziennego, otrzymał nowy materac, był lepiej traktowany przez śledztwo. Pozwalano mu na dostarczanie dowodów swej niewinności tak dalece, że miał nadzieję, iż uda mu się o swej niewinności przekonać współrodaków, prowadzących jego śledztwo. Później spotkałem więcej Żydów w więzieniu. Wszyscy oni stanowili element w stosunku do Rosjan, kulturalniejszy, inteligentniejszy, a w wielu wypadkach o lepszych kwalifikacjach fachowych. W śledztwie mieli wszyscy pewne fory i byli lepiej traktowani. Mogłem zauważyć głęboką nienawiść do nich u Rosjan. Antysemityzm jest w Sowietach zakazany i uważany za jedno z najgorszych odstępstw od sowieckiego światopoglądu, dlatego też jest starannie ukrywany i wybucha tylko wyjątkowo. Niemniej antysemityzm w Rosji Sowieckiej jest bardzo powszechny i silny, a stare „biej Żydów, spasaj Rasieju'' jest dzisiaj również żywe, jak przed rewolucją, a może nienawiść jest dziś silniejsza, bo w oczach opinii publicznej bezprawia i gwałt władzy sowieckiej spadają w pierwszej linii na Żydów. Tym się też tłumaczy, że na równi z rodowitymi Rosjanami idą oni do więzień. To ma udowodnić bezstronność i obiektywizm władzy sowieckiej.

Do naszej celi trafił też stróż cerkiewny, typowy chłop wielkorosyjski. Był to człowiek, który miał odwagę, oficjalnie rano

i wieczór, modlić się w celi, bijąc pokłony i żegnając się przed
nieistniejącą ikoną. Opowiadał mi on wiele o strasznych stosun-
kach, jakie panują na wsi sowieckiej po wprowadzeniu kołcho-
zów, o ucisku religii i trudnościach związanych z wykonywaniem
praktyk religijnych. Cytował stale Ewangelię i Pismo Święte, je-
dyne książki, które czytywał. Stał na stanowisku, że przyszłość
jest w ręku Boga, wierzył niezłomnie w szybki upadek Sowie-
tów, twierdząc, że jest to pragnienie szerokich mas chłopów, wy-
zutych przez kołchozy z ziemi i zamienionych w niewolników,
żyjących w nędzy. Spodziewał się szybkiej wojny, która zmiecie
Sowiety. Wszystkim swoim rozumowaniom i ocenom politycz-
nych stosunków dawał uzasadnienie religijne, powołując się na
cytaty z Pisma Świętego i Ewangelii. Był aresztowany za agi-
tację religijną i miał bardzo ciężką sprawę.

Do bardziej ciekawych więźniów należał także 70-letni ma-
hometanin, Tatar, nauczyciel przy meczecie, który za propagan-
dę panislamizmu otrzymał 8 lat więzienia. Odsiedział już 5 lat i
wytoczono mu nową sprawę. Był to milczący, uprzejmy i zamk-
nięty w sobie człowiek wschodu, słabo zresztą mówiący po rosyj-
sku. Innych, którzy przeszli przez naszą celę, nie opisuję, nie da-
li się poznać, bo byli zbyt krótko, albo nie przedstawiali typów
bardziej ciekawych lub charakterystycznych.

O klęsce Francji i wypadkach na Zachodzie dowiedziałem
się w lipcu. Wiadomości były dla mnie zupełnie nieoczekiwane i
z przyczyn poniesionej przez Francję klęski nie mogłem sobie
zdać sprawy. Zresztą wiadomości, które przychodziły, były bar-
dzo fragmentaryczne i dopiero w parę miesięcy później mogłem
mniej więcej ustalić prawdziwy przebieg wypadków. Rozumia-
łem, że klęska Francji wpłynie na bardzo znaczne przedłużenie
wojny i że, z kolei, Niemcy zaatakują Anglię. Zdawałem sobie
jednak sprawę, że bez floty opanowanie Anglii jest niemożliwe a
ataki lotnicze nie mogą dać Niemcom rozstrzygającego zwycięst-
wa. Później otrzymane wiadomości ten mój pogląd potwierdzi-
ły. Zdawałem sobie sprawę, że opanowanie Francji, Belgii i Ho-
landii, Danii i Norwegii, nie tylko nie poprawia aprowizacyjne
sytuacji Niemiec, ale raczej to położenie pogarsza. Wszystkie te
kraje posiadają przecież negatywny bilans aprowizacyjny. Na-
wet ewentualny atak na Bałkany, który przewidywałem, bilan-
su aprowizacyjnego nie może poprawić, a wobec tego, ze wzglę-
du na przedłużającą się wojnę, Niemcy będą musiały poszuka
rozwiązania problemu swego niedoboru żywnościowego. Znaleź
to rozwiązanie będą mogły jedynie w Rosji. Opanowanie bowiem
czarnoziemów rosyjskich stwarza teoretycznie dostateczną pod-
stawę aprowizacyjną nie tylko dla Niemiec, ale i dla całej Euro-
py. Czarnoziemy te przed wojną światową karmiły Europę. Wie-
działem, że w rządzących kołach Niemiec istnieje przekonanie
że z Rosji, nawet przy jej obecnym stanie gospodarczym, uda si
wiele wyciągnąć, a przy dobrej organizacji produkcja może by
szybko podniesiona. Opanowanie Rosji byłoby równoznaczne
rozerwaniem blokady angielskiej. Wszystkie te przesłanki skł

niły mnie do wniosku, że Niemcy będą musiały podjąć i podejmą wojnę ze Związkiem Sowieckim.

O istnieniu umowy niemiecko-sowieckiej i o zobowiązaniu Związku aprowidowania Niemiec wiedziałem. Zdawałem sobie jednak sprawę, że umowa ta nie będzie i nie może być przez Sowiety wykonana i że tą drogą bilans aprowizacyjny Niemiec nie może być wyrównany. Z drugiej strony było dla mnie jasne, że Rosja sowiecka przygotowuje atak na państwa kapitalistyczne i że z tym atakiem wyczekuje na właściwy moment. Wedle oficjalnej opinii w Sowietach, która stała się opinią powszechną, walka państw kapitalistycznych ze sobą jest środkiem do osłabienia tych państw. Gdy państwa kapitalistyczne dojdą do stanu wyczerpania, wówczas przyjdzie właściwy moment dla ataku ze strony Sowietów i dla wprowadzenia komunizmu w Europie. Gdy do więzienia przyszła wiadomość, że niemiecka próba ataku na Anglię się nie udała, zdałem sobie sprawę, że teraz przyszedł czas na atak Niemiec na Rosję. Wiadomości, które przychodziły o układzie niemiecko-sowieckim, na mój sąd wpływu nie miały. Układ ten oceniałem jako typową dla niemieckiej i sowieckiej dyplomacji grę polityczną, mającą na celu zaskoczenie przeciwnika w momencie, gdy ataku będzie się najmniej spodziewał. Dlatego też, poczynając od sierpnia 1940 r., zacząłem czekać na wiadomości, które by mówiły o wojnie niemiecko-sowieckiej. Przypuszczałem, że wojna rozpocznie się na wiosnę 1941 a do tego czasu będzie prowadzony kamuflaż gry politycznej.

Orientowałem się na tyle w siłach Sowietów, by zdawać sobie sprawę, że wojna skończyć się musi klęską sowiecką, mimo, że będzie to wojna bardzo ciężka ze względu na olbrzymie obszary Związku Sowieckiego, bezdroża, rozbudowany sowiecki przemysł wojenny i pomimo wszystko wysoką wartość moralną armii sowieckiej, zwłaszcza młodszych oficerów i podoficerów. Wojna, której oczekiwałem, była i dla mnie osobiście jedyną nadzieją wyjścia na wolność. Zdawałem sobie sprawę, że mój los przy istniejącym stanie rzeczy jest przesądzony i jedynie wojna może zmienić moje obecnie beznadziejne położenie. Przekontrolowawszy moje rozumowanie kilkakrotnie i upewniwszy się, że jest słuszne, żyłem nadzieją na przewidywaną przeze mnie wojnę, mimo że ze świata zewnętrznego do mojej celi przychodziły coraz to nowe wiadomości o zacieśniającej się współpracy Niemiec z Sowietami. Sowiety prowadziły, jak ją określano, ,,genialną politykę Mołotowa'', która pozwalała im gromadzić siły i zbroić się do przyszłego uderzenia we właściwym, przez Sowiety wybranym, momencie. Tę politykę, wszyscy moi rozmówcy tak właśnie rozumieli i patrioci sowieccy widzieli przyszłość w najświetniejszych dla Sowietów barwach, a sowiecki Berlin i Paryż wydawał im się bliski. Ocena, że wojna musi się zakończyć klęską sowiecką była, jak się później okazało, także oceną rządzących kół niemieckich. O tym wiedziałem. Nawet najbardziej pesymistyczna ocena przeciwnika mówiła o niemieckiej przewadze. Przewaga ta w późniejszej wojnie istotnie się okaza-

ła, lecz wszystkie oceny zostały przekreślone przez nieoczekiwany wprost stan zbrojeń sowieckich i bitność czerwonej armii.

Pod koniec lipca stan mojego zdrowia uległ załamaniu. 6-cio miesięczny głód i bardzo ciężkie warunki lwowskiego więzienia oraz niedostateczne odżywianie na Łubiance wyczerpały moje siły. Bardzo schudłem, zaczęły mi się ruszać i wypadać zęby, (początki szkorbutu) organizm był wyczerpany całkowicie. W końcu przyszła biegunka, bardzo niebezpieczna choroba więzienna wywołana wyczerpaniem. Zacząłem się domagać pomocy lekarskiej i poprawy pożywienia. Pomimo choroby do ustępu puszczano mnie tylko dwa razy dziennie, zgodnie z więziennymi przepisami. Wywołało to bardzo dotkliwe cierpienia. Doprowadzony do ostateczności, odmówiłem przyjęcia obiadu. Po pierwszej odmowie i wyjaśnieniu przyczyn z mojej strony, zabrano mnie z celi i karnie przeniesiono do innej. W Sowietach wszelki protest w więzieniach, a zwłaszcza głodówka i odmawianie przyjmowania pożywienia, są bezwzględnie karane. Pomimo tego, po paru tygodniach, moje starania umotywowane istotnie bardzo złym stanem zdrowia, dały ten efekt, że przyznano mi dodatkową porcję 250 gramów białego chleba i obiad, złożony z pożywnej zupy i mięsnego dania. Ponadto otrzymywałem dziennie po 12 papierosów najgorszego gatunku. Widocznie ostateczna decyzja w mojej sprawie jeszcze nie zapadła i chciano mnie mieć w swojej dyspozycji na wszelki wypadek, postanowiono więc utrzymać mnie przy życiu.

## NOWA WSPÓLNA CELA NA ŁUBIANCE

W nowej celi Nr 39 przesiedziałem jeszcze cały miesiąc na dawnych warunkach i dopiero 10 października otrzymałem lepsze pożywienie, które było zupełnie wystarczające. Zaczęło mi też przybywać sił i skończyła się biegunka, która mnie straszliwie męczyła. Zacząłem się czuć lepiej. W końcu grudnia, stwierdziłem jednak nowe nieszczęście jakie mnie spotkało, a mianowicie, oślepłem na prawe oko. Lekarz więzienny stwierdził kataraktę. Okulary, które jako krótkowidz nosiłem, zostały mi zabrane jeszcze we Lwowie, wzrok mój w związku z osłabieniem całego organizmu, także osłabł, nadto od ciągle świecącego w oczy światła elektrycznego oczy mnie stale bolały, zacząłem więc oczy zawiązywać chustką na noc i przez część dnia gdy świeciła się elektryczność. W grudniu, gdy stwierdziłem ślepotę prawego oka, zacząłem oczywiście jeszcze bardziej oszczędzać drugie oko.

W nowej celi przebyłem ogółem 9 miesięcy. Przez ten czas przewinęła się przez nią długa galeria obywateli sowieckich, którzy pozwolili mi lepiej poznać życie i stosunki w Związku Sowieckim. Poznałem tu kilku młodych ludzi, wziętych do więzienia wprost z wolności. Pozwolili mi oni zorientować się w poziomie moralnym i umysłowym, młodego sowieckiego pokolenia.

Byli to wychowankowie szkoły powszechnej, szkoły średniej, oraz wyższych szkół. Spotkałem też ludzi naukowo pracujących w instytutach naukowych, oraz profesorów uniwersytetu, zarówno edycji przedwojennej, jak i takich, którzy swe wykształcenie otrzymali przy władzy sowieckiej. Liczną grupę stanowili członkowie partii komunistycznej, którzy popadli w niełaskę i oskarżeni byli o knowania opozycyjne — bardzo ciężkie w Sowietach oskarżenie. Byli to przeważnie rodowici proletariusze (arystokracja sowiecka) których źródłem wiadomości było przeważnie samouctwo, obejmujące zakres szkoły średniej i oczytanie w literaturze polityczno-partyjnej, dającej podstawy socjalistycznego i komunistycznego światopoglądu. Wśród tych ludzi spotykałem także pracowników NKWD, których do więzienia posłała czystka wewnętrzna.

Wśród działaczy komunistycznych spotkałem starego bolszewika, towarzysza Lenina, byłego redaktora politycznego ,,Izwiestii''. Był to zasłużony dla rewolucji, Żyd rosyjski, Ahamkes, który przyjął nazwisko Stiekłow i pod tym nazwiskiem, jest znany. Miał on już 68 lat i od 50 lat był członkiem partii. Miał on też wielkie zasługi dla rewolucji, zwłaszcza przez zrewolucjonizowanie armii i należał dc przywódców ruchu bolszewickiego, stojąc blisko Lenina. Jego artykuły polityczne w latach 1921-25 były czytane przez całą Rosję. Był on też, jako redaktor ,,Izwiestii'', znany zagranicą. Gdy wraz z wielu innymi komunistami popadł w niełaskę, otrzymał na podstawie wyroku administracyjnego (*Osoboje Sowieszczanije*) 8 lat więzienia, które odsiadywał w Orle. Obecnie wszczęto ponownie jego sprawę. Chodziło o to, aby on, sławny Stiekłow-Ahamkes, uznał swoje błędy i złożył oświadczenie, że obecny kierunek partii jest właściwy i odpowiada ściśle wskazaniom Lenina. Takiego oświadczenia pan Stiekłow złożyć nie chciał, uważał bowiem, że prawdziwa interpretacja ,,Pisma Świętego'' może tylko od niego pochodzić i on jedynie jest do tej interpretacji powołany. Jako przedstawiciel ,,Wiary prawdziwej'', patrzał z pogardą na obecnych władców Rosji Sowieckiej, jako na przedstawicieli herezji. W tych warunkach jego sprawa przybierała bardzo zły obrót. Patrząc z pogardą na młode pokolenie komunistów, żył całkowicie rewolucyjnym komunizmem i wspomnieniami walk, jakie bolszewicy toczyli, jeszcze w przedrewolucyjnym okresie. Mnie zamęczał swoimi wspomnieniami z tych czasów i nie mógł zrozumieć mojej w tej dziedzinie ignorancji a zwłaszcza, gdy nie wiedziałem o działalności Żydów polskiego pochodzenia i paru zrusyfikowanych Polaków, którzy brali udział w ruchu rewolucyjnym rosyjskim.

W celi spotkałem także udmurta, przedstawiciela fińskiego szczepu mieszkającego w Rosji centralnej, zwanego także wotjakami. Był to człowiek wyjątkowo rozumny o samorodnym rozsądku i zdrowym sądzie o rzeczach i zjawiskach. Odgrywał w swoim czasie dużą rolę i zajmował wysokie stanowisko w sowieckiej administracji państwowej. Został oskarżony o nacjonalizm udmurski, do czego przyczepiono współdziałanie z Finlandią i dą-

żenie do związania plemion fińskich w Rosji z Finnami. Od 7-iu lat tułał się po więzieniach i obozach. Ostatnio uciekł z obozu. Przyczyną ucieczki były okoliczności rodzinne. Jego syn, pozbawiony opieki rodzicielskiej, został zawodowym złodziejem. Ojciec dowiedział się o tym, uciekł z obozu, wpłynął na syna, mając autorytet nie tylko ojca, ale i wieloletniego więźnia i sprowadził go na drogę uczciwej pracy. Po spełnieniu tego zadania sam chciał się urządzić. Został jednak aresztowany i dostawiony na Łubiankę. Opowiadał mi wiele o obyczajach i sposobie życia u udmurtów (co znaczy ludzie lasu). Do wprowadzenia kołchozów chłopom powodziło się dobrze i żyli zamożnie. Dziś są w nędzy. Ich ciekawa obyczajowość i kultura ludowa, ulega likwidacji. Był on, jak i wielu innych, przeciwnikiem kołchozów i słusznie uważał je za przyczynę nędzy, w której żyje dzisiejsza wieś sowiecka. Stał też na stanowisku, że Rosja sowiecka w razie wojny z Niemcami nie zdoła stawić zwycięskiego oporu.

W celi znalazł się też Francuz. Robotnik rolny z południowej Francji, bardzo miły i inteligentny. We Francji był pod wpływami propagandy komunistycznej. W czasie wojny dostał się do niewoli i pracował na pograniczu sowieckim w Prusach Wschodnich, jako robotnik rolny. Powodziło mu się dobrze, pomimo to postanowił przedostać się do Sowietów, do kraju neutralnego, o którym tyle słyszał dobrego, spodziewając się, że przy pomocy francuskiego poselstwa przejedzie do Syrii. Przeszedł granicę i oddał się w ręce posterunku sowieckiego. Przesiedział kilka miesięcy w strasznych warunkach w więzieniu białostockim i został przywieziony do Moskwy na Łubiankę. Nie umiał ani jednego słowa po rosyjsku. Byłem jedynym człowiekiem, z którym mógł w celi rozmawiać. Gawędziliśmy też całymi godzinami.

Z komunizmu i radykalizmu był uleczony gruntownie. Widział przyszłość Francji w powrocie do katolicyzmu, do tradycji i patriotyzmu. Gdy moich towarzyszy więziennych informowałem o stopie życiowej i zarobkach tego francuskiego robotnika rolnego, po prostu nie wierzyli.

Do celi przychodzili także ludzie, którzy po kilka lat przepracowali w obozach na dalekiej północy, w Turkiestanie, albo pod Kujbyszewem, a obecnie ich sprawy były rozpatrywane ponownie. Na wszystkich tych ludziach obozy pozostawiły głębokie piętno i żaden z nich nie był już zdolny żyć w normalnych warunkach. Obozy pozbawiły ich zmysłu moralnego i wyrobiły wrogi, przepojony nieufnością, stosunek do innych ludzi. Spotykałem licznych inteligentów, którzy krytycznie patrzyli na efekt 20-letniej działalności Sowietów.

Ludzie ci mówili o sobie, że są bezpartyjni. Opinie ich były dla mnie szczególnie cenne, stanowili oni przecież odbicie ogromnej większości obywateli sowieckich. Byli to przeważnie ludzie na kierowniczych stanowiskach i kierownicy opinii w swoich środowiskach, z reguły ludzie lepiej sytuowani, którzy zrobili większą lub mniejszą karierę życiową ściśle związaną z władzą

sowiecką i z ich partyjną przynależnością. Znaczny procent tych ludzi trafia do więzienia. Pokolenie rewolucyjne komunistów jest już prawie doszczętnie zlikwidowane. Wystarczy być tylko podejrzanym o opozycyjne nastroje, aby trafić do więzienia. Ten stan rzeczy uniemożliwia przewrót wewnętrzny i zapewnia jednolitość i zwartość zewnętrzną partii rządzącej.

Dawna, przedwojenna, burżuazja została już dawno zlikwidowana. Dziś likwiduje się jej resztki, które poszły na kompromis i służyły systemowi bolszewickiemu. Tych ludzi uważa się zawsze za niepewnych. Należy pamiętać o tym, że pochodzenie szlacheckie, burżuazyjne, czy kułackie, tak samo dyskwalifikuje człowieka w Sowietach, jak żydowskie w Niemczech, lub murzyńskie w Stanach Zjednoczonych. Wyjątki są dopuszczone, ale tak nieliczne, jak w Niemczech w stosunku do Żydów, lub w Stanach Zjednoczonych do Murzynów. Pełnego zaufania nigdy jednak nie mogą uzyskać. Ze strony dawnej burżuazji ustrojowi sowieckiemu nic nie grozi, siła ta bowiem nie istnieje. Mimo to, zadowolonych ludzi w Rosji nie ma. Chłop żyje w nędzy i jego praca jest przedmiotem straszliwego wyzysku przez państwo. Robotnik ma stopę życiową niższą niż przed wojną, musi nadmiernie pracować, wyrabiając wysokie normy za nędzną płacę, inteligent jest kwalifikowany nie na podstawie swej pracy i umiejętności, ale pod kątem widzenia jego stosunku do partii rządzącej i zaufania, jakie zdobył dla siebie u rządzących. Jedynie ludziom partii siedzącym na stanowiskach kierowniczych, oraz NKWD, powodzi się lepiej, o ile oczywiście nie staną się podejrzani o knowania opozycyjne.

Aparat państwowy funkcjonuje źle wskutek przerostu biurokracji, braku sił kwalifikowanych i złej organizacji. Jeszcze gorzej przedstawiają się przedsiębiorstwa państwowe. Tam te same przyczyny prowadzą do oczywistych błędów i olbrzymich deficytów, narażając produkcję na kolosalne straty. Muszę tu nadmienić, że pojęcie deficytu w naszym tego słowa znaczeniu w Sowietach nie może istnieć. Każde przedsiębiorstwo posiada budżet wydatków, pokrywanych przez państwo i plan produkcji, który obowiązane jest wykonać. Przydział surowców i półfabrykatów otrzymuje, zgodnie z planem, od innego przedsiębiorstwa. Plan musi być wykonany, najczęściej jest on nawet przekroczony. Inna rzecz jakość produktu, ta zależy przecież od otrzymanych surowców i półfabrykatów oraz od funkcjonowania samego przedsiębiorstwa. Wobec tego, że przedsiębiorstwa pomocnicze tak jak i samo przedsiębiorstwo przetwórcze, pracują źle, efekt końcowy jest jasny. Towar zresztą zawsze ma nabywcę, bo albo nabywa go państwo albo idzie na rynek. Na rynku brak jest wszystkiego — a więc każdy produkt, bez względu na jakość i cenę, znajdzie nabywcę. Przedsiębiorstwa i instytucje państwowe, także nie mają wyboru. W tych warunkach deficyt finansowy w naszym znaczeniu, nie może powstać, natomiast wyraża się on w cenie produktu i w jego jakości. W Sowietach, deficyt przedsiębiorstw pokrywa konsument. Gdy zjawią się jaskrawe niedociąg-

nięcia, przychodzą represje i kierownicy przedsiębiorstwa idą do więzienia. Przyczyn zła nie wolno wskazać, tkwią one bowiem w systemie, a ten nie podlega krytyce. Szuka się tylko bezpośrednio winnych. Winę ponoszą ,,wreditieli'' (szkodnicy), którzy celowo i świadomie działają na szkodę Związku Sowieckiego. Oni są winni katastrofom kolejowym, oni są winni gdy produkowane maszyny są liche i niezdolne do wykonania pracy, jaką winny wykonywać zgodnie ze swym typem. Oni, ci ,,szkodnicy'', są przyczyną wszelkich niepowodzeń, jakie spotykają produkcję i przedsiębiorstwa w Związku Radzieckim. Co pewien czas, w każdym dziale życia, przeprowadza się czystkę, wywleka się wówczas wszystkim znane i wszędzie istniejące niedomagania i wsadza się większość ludzi do więzienia. Dzieje się to w myśl starej zasady, jeszcze z carskich czasów, która brzmi: *car batiuszka chorosz, a czynowniki swołocz.* Dziś ta zasada brzmi: ,,Ojciec Stalin dobry, ale szkodnicy przeszkadzają socjalistycznemu budownictwu''. Po czystce dawnego kierownictwa, przychodzi nowe, z reguły mniej kwalifikowane, a błędy pozostają, wynikają bowiem z systemu. W więzieniu spotykałem kierowników różnych przedsiębiorstw i instytucji. Pytałem o ich poprzedników. Okazywało się, że mój rozmówca jest piątym, albo szóstym na tym stanowisku, który poszedł do więzienia. Istniejący stan rzeczy w Rosji Sowieckiej wywołuje oczywiście rozmowy i jest po cichu krytykowany; gdy krytyka tego rodzaju dojdzie do wiadomości NKWD, następuje aresztowanie, za rozpuszczanie fałszywych wiadomości i propagandę antysowiecką. Takie przestępstwo jest karane do 10-ciu lat obozu pracy. Podstawą oskarżenia jest donos. Donosiciel nie zawsze podaje prawdziwe fakta, bardzo często z przyczyn osobistych celowo i świadomie oskarżając fałszywie swego konkurenta, czy też działając z zemsty. Donosicielstwo stało się też plagą życia sowieckiego. Ludzie unikają stosunków z ludźmi tak samo jak odpowiedzialności, jedno i drugie prowadzi bowiem do więzienia.

Osobną grupę więźniów stanowią aresztowani za nadużycia finansowe. Zwykli łapownicy i defraudanci na Łubiankę nie trafiają. Po innych więzieniach siedzi ich mnóstwo. Kradzież pieniędzy z kasy państwowej była zawsze zjawiskiem powszechnym wśród rosyjskiej administracji. Obecnie kradną inaczej. Wskutek dewaluacji ukraść poważną sumę jest bardzo trudno. W więzieniu za kradzieże siedzi dziś w Sowietach znacznie więcej ludzi niż przed rewolucją. Na Łubiankę przychodzą tylko tacy defraudanci, których kradzieże miały powiązania ze szkodnictwem lub walką z ustrojem.

Kategorią uprzywilejowanych więźniów są kryminaliści, tych na Łubiance w ogóle nie spotkałem. Z opowiadań towarzyszy więziennych wiem, że są oni zarówno w więzieniu śledczym, jak potem w obozach pracy lepiej traktowani i są dodatkowym źródłem cierpień dla przestępców politycznych.

Siedząc w więzieniu, nabrałem przekonania, które zresztą późniejsze moje obserwacje potwierdziły, że w Rosji Sowieckiej

przeciw ustrojowi nie walczy żadna zorganizowana siła, że nie ma w Rosji elementów, które by były zdolne objąć władzę, że poza NKWD i partią, jedyną siłą zorganizowaną jest wojsko, a poza tym istnieje tylko b i e r n a masa, której jednostki zanim zdołają zdać sobie sprawę z rzeczywistości i wyrobić sobie opozycyjny pogląd na zjawiska, już trafiają do więzienia, aby go nigdy nie opuścić. Ustrój sowiecki w Rosji może być tylko obalony przez siłę zewnętrzną, nigdy zaś przez jakiś ruch od wewnątrz, który w warunkach sowieckich jest zupełnie niemożliwy.

Donosicielstwo jest tak samo rozpowszechnione w więzieniu jak na wolności, wskutek czego wszelkie rozmowy muszą być bardzo ostrożnie prowadzone, a zwłaszcza krytyka jest niezmiernie niebezpieczna. Nowicjusz, przyszedłszy do więzienia sowieckiego odniesie wrażenie, że otoczony jest samymi komunistami, gorącymi zwolennikami istniejącego systemu. Jest to błąd, ogromna większość wygłaszających z emfazą bolszewickie zasady jest od nich bardzo daleka, lecz robi to ze strachu, a siedząc pod śledztwem ma nadzieję że zdoła się uwolnić wobec nicości lub zgoła bezpodstawności stawianych im zarzutów. Aby mieć dobrą opinię głosi nakazane hasła i poglądy. Tylko nieznaczna część, to istotnie ideowi komuniści, wierzący w swą doktrynę. Po wyrokach, już w obozach, ludzie są bardziej zrezygnowani, a więc i bardziej szczerzy i mówią otwarcie to co myślą i tam jednak wielu, którzy zachowali nadzieję zwolnienia, dalej deklamują wyuczone zdania. Negatywny stosunek do władzy, oraz świadomość dokonywanego nad nim gwałtu i bezprawia nie wywołuje u obywatela sowieckiego jakiegoś konkretnego działania. Zresztą wszelka, najmniejsza, próba w tym kierunku, jest zawsze zduszana w zarodku. Negacja nosi charakter indywidualny i oderwany. Nawet solidarność więzienna aresztowanych w stosunku do nadzoru więziennego nie istnieje, a nadzór jest uznaną przez więźniów władzą a nie, jak to było za czasów carskich, władzą obcą, wrogą, wobec której więźniowie polityczni, bez względu na charakter swego przestępstwa i poglądy, czuli się solidarni, bronili swoich praw i stawiali wspólne żądania i występowali zawsze jeden w obronie drugiego. Ten stan rzeczy istniał oczywiście we Lwowie, gdzie siedziałem razem z Polakami i Ukraińcami, znany mi jest również z carskiego więzienia, w którym siedziałem jeszcze jako uczeń szkoły średniej i które miało swą wyrobioną moralność i zwyczaje, oraz niepisane prawa i gdzie więźniowie stanowili jeden obóz, a władze więzienne drugi obóz, z którym prowadzono walkę. Obecnie żadna moralność więzienia nie istnieje, jedynie pozostał zwyczaj dzielenia się zamożniejszych więźniów z biedniejszymi. Dzielono się więc papierosami i częściowo kupowanymi w sklepie produktami z tymi co nie mieli możności nic kupić, choć i ten stary więzienny obyczaj miał dość jaskrawe odchylenia. Solidarność więźniów, to bardzo potężna broń walki w więzieniu. W sowieckim więzieniu nikt jednak walki nie próbuje podej-

mować i do solidarności się nie poczuwa, stoi bowiem na stanowisku, że on jest niewinny i uważa siebie za lojalnego obywatela sowieckiego, a pozostałych uważa za wrogów władzy sowieckiej. Długi czas nie mogłem się oswoić z faktem, że ludzie bezpodstawnie aresztowani i skazani na długie lata ciężkich robót, zamiast prowadzić walkę i przeciwstawić się gwałtowi, który się nad nimi dokonywa, starają się w narzuconych warunkach urządzić i zdobyć dla siebie jakieś znośniejsze warunki, względnie uzyskać rewizję swej sprawy, okupując to skrajną i uniżoną lojalnością. Zamiast walczyć, uznają i podporządkowują się władzy, która dopuszcza się nad nimi gwałtu. Obserwując długo życie więzienia sowieckiego, doszedłem do przeświadczenia, że władcy sowieccy zabierając obywatelowi moralne podstawy jego światopoglądu, odebrali mu również poczucie honoru i zamienili go w niewolnika, który wprawdzie sarka na bat, pod którym żyje, lecz jest mu posłuszny i uległy, nie mając nawet śmiałości pomyśleć o walce o swe wyzwolenie. Niewątpliwie takie uformowanie duszy sowieckiego obywatela, trzeba uznać za wielkie osiągnięcie w życiu wewnętrznym państwa sowieckiego. Dopiero, gdy się zrozumie tę psychikę niewolniczą, można zrozumieć cały szereg zjawisk życia sowieckiego, dla Europejczyka zupełnie niezrozumiałych.

*(c. d. n.)*

*Leon KOZŁOWSKI*

# O dwóch napaściach

Ataki czy polemiki w ,,Syrenie'' czy ,,Dzienniku Żołnierza'' *dziwią* mnie więcej niż przyzwyczajonych i wczytanych, bo bardzo rzadko te pisma biorę do ręki.

W ,,Syrenie'', p. Paczyński umieścił artykuł w związku z pogłoską powrotu do kraju ministra Juliusza Poniatowskiego. Znawca spraw rolnych, o chyba jedynym w Polsce doświadczeniu, zdecydował wrócić w chwili, gdy uznał, że przy *dzisiejszej* polityce rolnej może być w kraju ze swą wiedzą użyteczny. Dotychczas najzajadlejsi przeciwnicy Poniatowskiego, a było ich wielu, gdy przeprowadzał w Polsce konieczną reformę rolną, nie pozwalali sobie kwestionować ani jego zalet moralnych, ani czystości jego intencji; nie wielu ludzi tej miary mieliśmy wśród nas.

Pan Paczyński wie już dziś lepiej od Poniatowskiego co zamierza on w Polsce robić. Cóż za niska lekkomyślność jemu właśnie, wiernemu z wiernych, zarzucać zdradę swojej przeszłości.

Artykuł ma dobry tytuł: ,,Obrzydliwość''. Jest rzeczywiście obrzydliwy.



Felieton Z. Nowakowskiego w ,,Dzienniku Żołnierza'' — to z podobną dezynwolturą przeprowadzony nowy atak na Miłosza. Jeżeli p. Paczyński rwie szaty z powodu ewentualnego powrotu Poniatowskiego, Z. Nowakowski bierze do ręki już zardzewiały miecz, którym część emigracji (na spółkę z Bezpieką) chciała Miłosza zamordować, gdy jako attaché kulturalny ambasady zerwał z reżymem i schronił się u nas w Maisons Laffitte. Cóż się dziwić p. Paczyńskiemu — przykład idzie z góry — przykład stylu, popularnego mistrza ,,zdrowego polskie-

go instynktu", bo tak się nazywa polska złośliwa i tromtadracka bezmyślność. „Oni gotowi morze krwi wylać, ale słowa prawdy nie powiedzą..." — pisał Norwid w r. 1866.



Miłosz wygłosił w Londynie odczyt w przepełnionej sali Instytutu Sikorskiego zaproszony przez młodą redakcję „Merkuriusza" i Zrzeszenie Studentów. Nie był to chyba wypadek, ale plan świadomy, że odczyt odbył się właśnie tam, a nie w byle jakiej, neutralnej sali angielskiej. Miłosz przemawiał, jak pisze Z. Nowakowski, pod sztandarami Monte Cassino. Może było to właśnie w planie organizatorów, taka dyskretna i szlachetna próba *zadośćuczynienia* Miłoszowi za oszczerstwa i insynuacje rzucane przez prasę, między innymi londyńską. Rzadko chyba zagraniczna dezinformacja Ubeków była tak jak wtedy przyjęta i podparta przez emigrację.

Po paru latach nagonka ucichła. Miłosz nie próbował polemizować 1), ale pisał książki.

Zły Polak? Autor „Doliny Issy"! Agent sowiecki? Wtyczka? Autor „Zniewolonego Umysłu"! Znałem młodego Brazylijczyka, który dopiero po przeczytaniu „Zniewolonego Umysłu" po hiszpańsku zerwał z partią komunistyczną. Iluż takich na świecie wytrzeźwiły książki Miłosza.

Łatwiej jest wisieć na haku niż myśleć. Nie tylko w talencie poetyckim Miłosza, ale w rzetelności jego myśli, uczciwości z którą pisał o „nowej wierze", o jej pokusach, które w pewnym momencie i na niego działały, w docieraniu, drążeniu spraw najbardziej złożonych, gdzie trzeba spojrzeć na nie i od strony faktów i cyfr, i od strony przeżyć najintymniejszych, w tym stylu dalekim od afiszowej propagandy o „bolszewiku z nożem w zębach", tkwi sedno *działania* tej książki tłumaczonej na 11 języków.

Dziś, dla Z. Nowakowskiego, Miłosz to już nie wtyczka i szpieg, ale człowiek „niepospolicie utalentowany *życiowo*". Utalentowany życiowo! Chciałbym aby Z. Nowakowski widział w początku 1951 roku tego utalentowanego życiowo Miłosza, kiedy zrywał z reżymem szczuty zewsząd, z płynącymi na niego donosami i raportami od emigracji do przeróżnych kancelarii. Osiągnięto przecież, że Miłosz oderwany od rodziny w Ameryce mógł poznać swego syna dopiero jak ten miał... 2 i pół roku.

Widzę jeszcze twarz, jak z medalu, groźną i wzniosłą, byłego ambasadora R.P., a wówczas już obywatela amerykańskiego w swej willi w Waszyngtonie „Nie dopuszczę... nie pozwolę...". Twarze zawodowych dwójkarzy wskazujących na swe

1) Kiedy pytano Puszkina dlaczego nie reaguje na okrutne ataki przeróżnych krytyków odpowiedział: „nigdy nie mogłem w sobie przezwyciężyć *śmiertelnej nudy tego rodzaju odpowiedzi*" (cytuję te słowa Puszkina za Rozanowem „Šredi chudożnikow").

nosy, wyczuwające jakoby niechybnie odór szpiega (jedyny argument rzeczowy), no i tych wszystkich łapsów z natchnienia i dobrej woli — wspólnymi siłami o włos, że Miłosza nie zaszczuto.

W dawnej Polsce kiedy zostało stwierdzone oszczerstwo winowajca musiał wleźć pod stół i psim głosem oszczerstwo odszczekać. Który z tych panów odszczekał cokolwiek? Nikt tego zresztą od nich nie wymagał. Sprawa ucichła wraz z wzrastającą pozycją światową Miłosza-pisarza; i naraz, znów, bard polskiego instynktu zdecydował, że sale Instytutu po wygłoszonych przez Miłosza wierszach ,,trzeba *wykadzić*'', bo sama obecność poety obraziła sztandary spod Monte Cassino.



W dniach walk o Monte Cassino po ścieżce, po której jedynie znosić można było rannych z pola bitwy, szły przez kilkanaście godzin czołgi. Dopiero po ich przejściu zabrano się do rannych. Wzięto wówczas młodego chłopca. Leżał tam już długie godziny i gdy brano go na nosze zobaczono, że leży w kałuży krwi. Odwrócił głowę, spojrzał, i półgłosem, jakby do siebie tylko, powiedział: ,,Ile krwi ta Polska potrzebuje''. Kto może *zapomnieć* czego symbolem są sztandary złożone w Instytucie?



,,Jest pewna jednostronność heroiczna, a która wielkie usługi oddać może nieprzyjaciołom...'' w narodzie ,,gdzie energia wyprzedza zawsze inteligencję i co pokolenie jest rzeź'' — pisał jeszcze Norwid. Młodzi, zapraszając Miłosza do sali Instytutu chcieli może podkreślić, że minęła epoka heroicznej *jednostronności*, że *myśl* również musi być uczczona, że *krew* wylana służyć powinna nie tylko akademiom i felietonom, ale że obowiązuje do *myśli*.

*Józef CZAPSKI*

# Moskwa - Sierpień 1957

Byłem w Moskwie raz tylko — w czasie Festiwalu. Stąd obserwacje moje nie są ani pełne, ani zbyt głębokie. Nie miałem możności zapoznać się z tak ważną dziedziną życia, jaką jest ekonomika; nie widziałem żadnych miast radzieckich poza Moskwą; to co zapisuję dotyczy przede wszystkim atmosfery w jakiej ludzie dorastają i żyją. Jako uczestnik delegacji polskiej wyczułem tę atmosferę może silniej i lepiej niż ci, którzy przyjechali na festiwal z daleka.

## MIASTO

Pamiętam surrealistyczny obrazek jakiegoś młodego malarza : pole zasypane gruzem, połamanym żelastwem i rozmaitym śmieciem, a pośrodku tego wszystkiego pyszne małżeńskie łoże z różowym baldachimem.

Moskwa składa się z elementów równie do siebie niedopasowanych jak elementy tamtego obrazu : stwarza wrażenie budowli skonstruowanej przez dziecko, któremu dano do zabawy parę garniturów klocków naraz.

Przy szerokich wielkomiejskich arteriach stoją szeregi niskich prowincjonalnych domków, często drewnianych. Pomiędzy domki poutykane są olbrzymie, obładowane ozdobami wieżowce. Kilka kroków od centrum, niemalże ,,pod skrzydłami wieżowców'', chylą się do ziemi czerniejące rudery z mizernymi ogródkami. Tuż obok miniaturowy pałacyk : to metro. Pod ziemią — pałacowe komnaty. Ciężkie złocenia, marmury, posągi przywódców, imponujące oświetlenie. Chłopka, która przyjechała tu pierwszy raz składa ręce w podziwie — jak w świątyni. Schyla głowę przed posągiem. Ślizgając się po błyszczącej posadzce wędruje w stronę peronu. Znika mi z oczu zasłonięta statuą. Posągi są wyższe niż ludzie.

## MIESZKANIA

W wieżowcach pracują urzędnicy. W domkach mieszkają ludzie. Mieszkania są duże, kilkopokojowe. W każdym pokoju jedna rodzina. Kuchnia i łazienka wspólne. Od jakiegoś czasu toczy się tutaj walka o małe mieszkania. To znaczy oddzielne, choćby najmniejsze mieszkanie, dla każdej rodziny. To oznacza postęp.

Wnętrza dziewiętnastowieczne. Ciężkie zielone plusze, fioletowe sztuczne kryształy, dulskie komody, papierowe kwiaty, ozdobne tapety.

W pierwszej chwili sprawia to wrażenie dawno nie odnawianego mieszkania bardzo starych ludzi. Potem dopiero spostrzegam te same rzeczy w domach młodych małżeństw i na wystawach sklepowych. W bardzo wielu mieszkaniach, wśród staroświeckich bibelotów — telewizor.

Mieszkania są brudne, za to ulice, zwłaszcza pryncypalne, błyszczą jak świeżo wypucowane. Co parę metrów srebrne śmietniki z ornamentami, podobne do wazonów. Na przedmieściach śmietniki nieposrebrzane.

## STROJE

Rozmawiam z dobrze zarabiającym dziennikarzem radzieckim.

— Powiadacie, że nasi ludzie brzydko się ubierają. Nie podobają wam się szerokie ,,marynarskie'' spodnie, słomiane ka-

pelusze, kretonowe sukienki. Ale przecież to wszystko jest nasze, rosyjskie. Taki już mamy gust.

Patrzę na mego rozmówcę: samodziałowa marynarka, eleganckie włoskie buciki. Nie widziałem takich na moskiewskiej ulicy. Szmuglowany płaszcz paryski kosztuje w Odessie pięć tysięcy rubli. Jest to pięć razy więcej, niż wynosi niezła pensja robotnicza.

## PTAKI

Nieduży placyk. Chmary gołębi. Ładnie. Naokoło napisy: ,,Gołąb to ptak pokoju''. ,,Karm gołębie tylko grochem''. ,,Gołąb to ptak pokoju''...

## SPORTY

Podczas otwarcia festiwalu odbywają się masowe pokazy gimnastyczne. Tysiące uczestników. Efekty imponujące: figury geometryczne, falujące jeziora, zmiany kolorów, napisy.

Podsłuchany dialog dwóch widzów:

— To wszystko można by właściwie osiągnąć za pomocą maszyny.

— No tak, ale maszyna drożej kosztuje.

## MASKARADA

Na festiwal miasto zostało udekorowane. Nad ulicami zwieszają się girlandy kolorowych latarek. Z takich samych kolorowych latarenek ułożone są napisy i symbole. Szyby prywatnych mieszkań zaklejone są od góry do dołu pstrymi papierowymi rybkami, kwiatami i gołąbkami. Nad ulicami, zawieszone na sznurach powiewają potężne tekturowe postacie muskularnych robotników i płowowłosych dziewcząt radzieckich. W kioskach pełno kolorowych pocztówek. Najzabawniejsza przestawia wielką radziecką dziewczynę obejmującą przyjacielskim gestem niższych od siebie o głowę zagranicznych przyjaciół: czarnego Murzyna, żółtego Chińczyka i cherlawego blondynka.

Wieczorem zapalają się kolorowe reflektory. W parkach oświetlony jest każdy krzak. Dużo milicji. Przed wielkim balem na Kremlu tłum na Placu Czerwonym pokaźnie gęstnieje. Działa milicja konna. W czasie balu uliczni sprzedawcy roznoszą kiełbasę i lody (pyszne). Sale kremlowskie pozamykane; bal odbywa się na dziedzińcu. Zimno. Jakiś Francuz z dziewczyną chowa się do pękniętego dzwonu (tego słynnego olbrzyma, który spadł zanim zdążył zadzwonić). Gra parę orkiestr. Gromadkami, trzymając się pod ręce przebiegają — śpiewając zmarznięci komsomol-

cy. Zapalają się sztuczne ognie. Nieco dalej pokazują tresowa nego niedźwiedzia.

Wszystko to przypomina odpust w Górze Kalwarii.

Jest to jednak jeden z lepiej zorganizowanych i na pewn jeden z najkosztowniejszych odpustów na świecie.

## ROZMOWY O SZTUCE

Pierwsze spotkanie z przedstawicielami literatury radzieckie miało charakter bardzo oficjalny. Pisarze radzieccy zasiedli z długim stołem ustawionym na scenie, goście zagraniczni zaję miejsca na widowni (spotkanie odbywało się w tzw. „Dom Uczonych"). Aleksy Surkow, przewodniczący radzieckiego Zwią zku Pisarzy kolejno przedstawiał swoich kolegów. Nie był wśród nich nikogo z ostro krytykowanych pisarzy z almanach *Litieraturnaja Moskwa* — np. autora powieści „Nie samym chle bem" — Dudincewa. Ich nieobecność tłumaczył Surkow bardz prosto : Nie ma ich w Moskwie, wyjechali na wakacje.

Przyjęto zaproponowaną przez salę formę spotkania : wys łanie do „prezydium" anonimowych karteczek z pytaniami.

Większość pytań zadawali Rosjanie. Na przykład : „Dl czego w bibliotece Lenina nie wypożycza się almanachu *Litiera turnaja Moskwa?"*.

Oczywiście cudzoziemiec nie pytałby o tego rodzaju konkr ty. Odpowiedź Surkowa brzmiała : „Almanach ten nie jest n indeksie. W ogóle w Związku Radzieckim żadne indeksy n istnieją. Może jakiś bibliotekarz idiota zrobił to na własną ręk zaraz jutro zadzwonię tam i sprawdzę jak to było".

W drugiej części spotkania towarzystwo rozeszło się po k luarach i dyskutowano w małych grupkach, już bez pośredn ctwa karteczek.

Tym razem Rosjanie nie zadawali tego typu pytań. Garstk Polaków zgromadziła się wokół pisarza Sofronowa. Rozmow zeszła na temat wolności sztuki. Ktoś zacytował chińskie has „Niech kwitną wszystkie kwiaty".

— Są wśród nich jadowite, które trzeba tępić, także środk mi administracyjnymi — wtrącił czeski dziennikarz.

— A czy nie lepiej, jeśli walka między poszczególnymi k runkami w sztuce odbywa się w drodze swobodnej dyskusji i sw bodnej rywalizacji; czy nie lepiej jest pozostawić wolny wyb odbiorcy, a ostateczną ocenę historii (nie od razu zrozumia Goyę i Van Gogha); czy można uchwalać „realizm socjalistyc ny" (czy jakikolwiek inny kierunek artystyczny) za pomocą gł sowania, tak jak to zrobili plastycy radzieccy po referacie Sze łowa ?... — Argumentowali Polacy.

Na co Sofronow :

— Mówmy o faktach, towarzysze. Ja np. nie jestem dost nikiem państwowym. Jestem szeregowym radzieckim pisarze I redaguję pismo „Ogoniok". Umieszczam w nim to co mi

podoba, stosownie do mego gustu. Tak robią wszyscy redaktorzy na całym świecie.

— A czy człowiek o innym guście niż pan może w Związku Radzieckim założyć pismo.

— A u was — może?

— Owszem. Powstają pisemka młodej awangardy, bardzo niepodobne do *Nowej Kultury*, są gazety katolickie...

— Ale to są pisma prywatne?

— Nie.

— Nie wierzę!

Więcej nie wracano już do tego tematu.

Drugie spotkanie literackie odbyło się już w węższym, polsko - radzieckim gronie. Ostro krytykowano zamieszczony w *Nowej Kulturze* artykuł Krzysztofa Toeplitza o upadku literatury radzieckiej po roku z 34-tym. Nie przebierano w argumentach Surkow oświadczył:

— Wy twierdzicie, że nasza literatura nie istnieje, że jest mitem. Hitler uważał, że Związek Radziecki jest mitem, ale się pomylił...

Polacy próbują sprowadzić dyskusję na bardziej literackie tory. Mówią o Żdanowie i żdanowszczyźnie — teorii, która ze względu na swój pragmatyzm polityczny i zawężone pojęcie typowości nie pozwalała na rozwój dobrej literatury. Do tego teorię tę popierały środki administracyjne.

I znowu odpowiada Surkow:

— Żdanowszczyzna to termin wymyślony przez burżuazyjnych pismaków. Uważajcie czyim głosem śpiewacie!

Spór próbuje załagodzić pisarka starszego pokolenia, Helena Usijewicz. Jest to siwa, szczupła kobieta o zmęczonej twarzy i drżących rękach. W mówieniu bardzo jej przeszkadza astma. Mówi trochę po polsku, ma wiele dobrej woli.

— No tak — powiada — *konieczno*, trzeba sobie powiedzieć, sadzali u nas w tiurmy. No ale nie za to co pisali, tylko... Tylko — staruszka nie wie co powiedzieć — tylko... za czort wie co! — wypala wreszcie i siada z niepewnym uśmiechem.

Surkow bierze całe to przemówienie za dobry dowcip i zwraca się do staruszki:

— Racja, racja, Heleno Usijewicz. Choćby wy, Heleno. Dwadzieścia lat was krytykujemy i żyjecie!

— No właśnie — żyję. Żyję! — Potakuje wesoło staruszka.

◆

I jeszcze raz spotkaliśmy się w podobnym gronie. Było to w czasie wycieczki statkiem.

Miała to być impreza towarzyska. Obiad, dużo alkoholu, występy estradowe. Atmosfera filmowych komedii radzieckich. Pulchny tenor z gitarą, słodki sopran, brzęk toastów... I wśród tego nieustający, zawzięty spór literacko-polityczny. Co toast to spięcie.

## MŁODZI

Tutaj młodzi umieją przemawiać. Osiemnastoletnia dziewczyna pewnym krokiem wchodzi na trybunę, mówi śmiało, głośno; dużo gestykuluje. Sala klaska kiedy klaskać trzeba. Bez pudła.

Krytykują polskie filmy dokumentalne. Sprawnie działa nowa scholastyka :

— Dlaczego pokazujecie na ekranie walące się miasteczka. To nietypowe. Pokazujcie Nową Hutę.

— Dlaczego pokazujecie historyjkę o starym smutnym szlifierzu. To pesymistyczne. Sztuka socjalistyczna powinna być optymistyczna.

— Pokazujemy prawdę — bronią się polscy filmowcy.

— My inaczej pojmujemy prawdę — odpowiada Rosjanka. — W Moskwie są domy drewniane i murowane. My chcemy pokazywać w sztuce te murowane. Bo to jest Moskwa przyszłości.

## ZBUNTOWANI

A jednak na tych samych oficjalnych spotkaniach podchodzą do nas w kuluarach obcy ludzie, dzielą się krytycznymi uwagami, wypytują o Polskę, proponują spotkania. „Może wybierzemy się gdzieś za miasto, w niedzielę. Tam sobie swobodnie porozmawiamy, nikt nie będzie nas słyszał" — mówią i dyskretnie rozglądają się na boki.

Sami często urządzają takie konspiracyjne weekendy. Po trzy, cztery zaprzyjaźnione osoby. To pachnie dekabrystami. Sami robią to porównanie.

Tyle studenci. Spotykamy także młodych poetów. Przychodzą do nas. Czytają nam swoje wiersze. Jest w nich skarga. Skarga na obłudę, skarga na lakiernictwo, skarga na partyjnych bonzów... Czasami zamiast skargi pojawia się bunt.

Oczywiście żaden z tych wierszy nie będzie wydrukowany. Większość n.b. nie posiada wartości artystycznej. To są dokumenty, publicystyka.

Podobnie publicystyczne są obrazy młodego malarza Głazunowa. Są to tradycyjne realistyczne portrety. Patrzą z nich ludzie zmęczeni, bez uśmiechu, tacy, jakich spotyka się w metrze, kiedy wracają z pracy. Głazunow ma piekielne kłopoty przed każdą wystawą. Powtarza się zarzut : „dlaczego nie malujecie radosnych radzieckich ludzi. Wasze malarstwo jest pesymistyczne, oczernia radziecką rzeczywistość".

## ROZMOWY Z LENĄ

Poznałem w Moskwie piękną dziewczynę. Miała pyszne długie włosy. Któregoś dnia, przyszła na spotkanie ze zmienionym

uczesaniem. Włosy miała ciasno upięte. Widać było, że płakała. Okazało się, że koledzy zbesztali ją za ,,burżuazyjną fryzurę''.

Chodziłem z Leną po mieście, rozmawialiśmy o głupstwach. Przy każdej próbie sprowadzenia rozmowy na tematy polityczne, Lena przerywała mi: ,,Cśśśś.... — ,,ucho'' słucha .— I wskazywała na jakiegoś pana w słomkowym kapeluszu.

Często był to po prostu zwyczajny przechodzień. Ale to nie zwiększało rozmówności Leny.

## W TETRZE

Widziałem w Moskwie ,,Arystokratów'' Pogodina. Sama sztuka jest słaba : Kiepsko napisana i do tego nieprawdziwa historia o ludziach budujących Biełomor — Kanał. Moment atrakcyjny stanowiła inscenizacja : Było to dosłowne powtórzenie starej inscenizacji Meyerholda, zresztą świetnej.

Ta osobliwa teatralna rehabilitacja była jednocześnie najciekawszym i najbardziej nowoczesnym przedstawieniem z tych, które obejrzałem w Moskwie.

W pozostałych teatrach niepodzielnie króluje staruszek Stanisławski. Rzemiosło aktorskie tradycyjne, ale znakomite.

## W AUTOBUSIE

Wożono nas po mieście autobusami. Na chodnikach stał potężny tłum i wznosił okrzyki ,,Mir, drużba!'' (pokój, przyjaźń). Twarze rozgorączkowane, ciekawe innych, cudzoziemskich twarzy. Największe zainteresowanie wzbudzali egzotyczni chłopcy z Ameryki Południowej i z Afryki. Na widok Polaków tłum reagował rozmaicie. Czasami, wśród sztampowego okrzyku ,,mir drużba,'' można było rozróżnić głosy ,,niech żyje Gomułka''.

Kontakty z Rosjanami nie ograniczały się oczywiście do tych ,,autobusowych''. Nie mieliśmy właściwie żadnych przeszkód w nawiązywaniu kontaktów prywatnych. Czasami tylko zdarzały się wypadki, że jakaś rosyjska dziewczyna po którymś tam spotkaniu z Polakami została zwolniona z pracy za ,,zbyt intensywne utrzymywanie kontaktów z cudzoziemcami''.

Zespół ,,Śląsk'' wyjechał na tournée po ZSSR, a grupa architektów na wycieczkę do Leningradu. Ale wszystkie eskapady prywatne kończyły się fiaskiem. Jednego z delegatów zaprosili znajomi na wycieczkę samochodową nad kanał Wołga— Don. Na rogatkach milicja ,,wyłuskała'' go z auta.

Niektórzy Polacy wsiadali w kolejkę podmiejską — tzw. ,,elektriczkę'' i próbowali przejechać parę stacji. Odnajdywano ich na pierwszym podmiejskim przystanku. Nieomylnie.

## INNI

Delegaci krajów demokracji ludowej nie byli tak rozdyskutowani jak Polacy. Czesi robili gesty lizusowskie, Niemcy wschodni byli ,,wzorowi'' jak z dziecinnej czytanki. Słyszałem przemówienie Węgra, który twierdził, że wstydzi się za wybryki swoich rodaków w Październiku.

Pewien komunistyczny dziennikarz włoski okazał się ,,plus catholique que le pape'' — zachłystywał się z zachwytu nad radzieckimi filmami. Nawet dla gospodarzy było to żenujące.

Inni Włosi, także komuniści — gromadka wesołych wisusów którą spotkaliśmy na jakimś przyjęciu — odnosiła się z wielką sympatią do koncepcji polskiej i jugosłowiańskiej.

Francuzi, z którymi się zetknąłem, dzielili się z grubsza na dwie grupy : Jedni byli rozdyskutowani, ciekawi wszystkiego, wścibscy (np. ,,La nouvelle Gauche''), inni zadzierali głowy przed wysokościowcami i wołali : ,,formidable, formidable!''

## EPILOG

Przejechaliśmy granicę polską w nocy. Przez pociąg przebiegło jakieś wielkie ,,ufff''... Było ciemno, naokoło mokradła, pusto. Ale ludzie darli się, śpiewali, wznosili okrzyki... Ludzie, którzy na ogół nie lubią wznosić okrzyków. Gwałtowny przypływ uczuć patriotycznych; cielęcy sentyment do tramwaju warszawskiego, w którym zawsze, jak świat światem, klnie się i narzeka.

Został nam w pamięci obraz metra moskiewskiego, w którym ludzie milczą.

# Bim-Bom i STS

Był w Polsce niedługi okres kiedy najciekawszymi i najpoważniejszymi pozycjami w życiu teatralnym całego kraju były dwa teatrzyki studenckie: gdański Bim-Bom i warszawski Studencki Teatr Satyryków. Bim-Bom i STS były krzykiem. Krzykiem ptaka, któremu nie dość, że obcięto skrzydła, ale jeszcze wdeptuje się go w błoto. Jak okazało się później ptak nie był specjalnie pięknie upierzony i w śpiewie nie był wirtuozem, ale wtedy — przede wszystkim w miesiącach zimy, wiosny i lata 1956 roku — był zjawiskiem naprawdę niecodziennym.

Rozwiał się już wtedy tuman wrzawy wokół ,,Poematu dla dorosłych'' i ukazywało się tak zwane ,,nowe'' ,,Po Prostu'', w dziedzinie teatru pano-

szyła się jednak ciągle sztuka socrealistyczna w formie, i nudna, przeważnie, w treści. Jedynym wyłomem były kolejne, nieliczne inscenizacje Brechta.

Niektóre świetne okresy w historii teatru związane są z okresami wznoszenia się fali walki politycznej. W historii polskiego teatru — „Powrót Posła", Wyspiański i — podobny okres zapoczątkowały teatrzyki studenckie, okres który potem najwyższe osiągnięcia miał w „Święcie Winkelrida" w Łodzi i „Angelice" w Poznaniu.

Poczynając od drugich programów zarysowała się znaczna odmienność formalna: w Bim-Bomie było więcej pantominy, liryki i abstrakcji, w STS-ie przeważało słowo poezji ostrej, politycznej — wiersze Dąbrowskiego. Dla obu teatrów wspólny był sprzeciw wobec otaczającej rzeczywistości artystycznej i politycznej. Przedstawienia opierały się w większości na tekstach własnych, często nieświetnych, ale we wszystkich utworach młodych poetów i plastyków wrzała pasja i bunt. Pamiętam piękną balladę Agnieszki Osieckiej (II program STS-u) pt. „Solo na kontrabasie". Kontrabas, jak wiadomo, jest używany tylko w orkiestrach, jest instrumentem „zespołowym". A staremu człowiekowi kazano grać solo. Programy były zaskakujące i treściowo i formalnie. Składały się z osobnych scenek granych, mówionych, śpiewanych, połączonych nie słowem konferansjera (ówczesne novum) ale wspólną myślą. Najgorzej było z aktorstwem. W Bim-Bomie aktorem na poziomie był jedynie Cybulski, a w STS-ie wyróżniał się Biskup. Mimo braków, przedstawienia były dobre, a przede wszystkim inne od tych, które widziało się na innych scenach. Były lepsze niż w teatrach zawodowych. Przez pewien czas recenzenci mieli w Polsce zwyczaj używana zwrotu: „szkoda, że w Teatrze X — nie jak w Bim-Bomie..." I nawet „sam" prof. Kott stawiał warszawskim Państwowym Teatrom STS za wzór.

Teatrzyki studenckie zrobiły „dobrą robotę" w przygotowaniu polskiego października. Narodzone w okresie głębokiego upadku sztuki, potrafiły stać się współczesne i nowoczesne, zrozumieć potrzeby i sens chwili. Tak przyszedł przełom.

Dla utrzymania się na tym samym poziomie artystyczno-ideowym październik wymagał szybkiego przestawienia celownika. Mało kto umiał tego dokonać w Polsce. Nie potrafiły również teatrzyki studenckie.

Ci, którzy byli do października zdecydowanie „contra" stali się nagle, niespodziewanie dla siebie samych „pro". Jednogłośnie zgłaszali swój akces do głosowania i entuzjazmowali się wyborami... A równocześnie ze sceny Teatru Polskiego w Poznaniu padały słowa z „Angeliki" Leo Ferraro, „okazuje się, że kandydują ci sami ludzie — to po co było robić wybory?" — publiczność długo, bardzo długo biła brawo przy otwartej kurtynie, a potem zgodnie głosowała bez skreśleń — i wszyscy wiedzieli dlaczego czynią jedno i drugie... Tymczasem pierwszy popaździernikowy program STS-u okazał się artystyczną i polityczną pomyłką. Bim-Bom zaś wyabstrahował swój program z ostrza i komunikatywności. Teatrzyki studenckie przestały odgrywać rolę polityczną a w dziedzinie teatralnej ustąpiły przodownictwa teatrom zawodowym, które szeroko zaczęły czerpać z otwartego teraz źródła nowoczesnej dramaturgii zachodniej. Niejednokrotnie tylko wysokość tantiem autorskich nie pozwala na inscenizowanie Millera i Sartre'a. Jednak gra się Sartre'a i Becketta i Ionesco. Po przedstawieniach „Godota" czy

,,Krzeseł", studenci przestali wytrzymywać konkurencję formalną, a wię utracili teren na jednej ze swych najmocniejszych pozycji. Najdobitniej świad czy o tym przedstawienie ,,Czekając na Godota" innego teatrzyku studenc kiego: ,,Teatr 38" w Krakowie. Przedstawienie pod każdym względem poza sferą pomysłów, słabe i nieudane. Młodzi stracili również teren w dzie dzinie ideowo-politycznej, po swoim drugim, przedpaździernikowym, bene fisie. Tutaj już zresztą nie na rzecz teatrów zawodowych, które sam nie czynią wiele. Sedno sprawy tkwi gdzie indziej. Teatrzyki studencki nie mówią dziś o zagadnieniach generalnych w taki sposób, w jaki je ocenia olbrzymia chyba większość narodu, która uznając potrzebę stabilizowania obecnej sytuacji, rozumie wszystko to, co mieści się pod wspólną nazwa ,,racja stanu", ale nie stawia znaku równości między stabilizacją a trwałością.

A Bim-Bom i STS stały się potrosze spokojnymi teatrzykami, w kraju spokojnie budującym socjalizm.

Krótka historia tych dwóch zespołów ma schemat taki sam jak przemiany ostatnich kilkunastu miesięcy: linia schematu biegnie w górę, wznos się gwałtownie ku szczytowi, a potem opada, ciągle jest jeszcze wysoko ale bez jednoznacznego kierunku.

W przedstawieniu jakie Bim-Bom pokazał w Paryżu była taka jedna scena:

Granica — dwie budki strażnicze — dzieli wszystkich. Zakochan nie obejmą się, nawet niewidomi natrafią na niewidzialną przecież przeszkodę. A potem para przebierańców z budek strażniczych stawia drogo wskazy. Granica przestaje dzielić. Łączy.

Myślę, że dla emigracyjnej publiczności polskiej tą granicą nie był Odra, Nisa, Bug czy Tatry, ale to, co wciąż jeszcze dzieli Polaków w kraju i zagranicą.

Bim-Bom przyczynił się trochę do zmniejszenia tej granicy... Należy życzyć obu teatrzykom, aby ich nowe programy znowu stanęły na poprzednim poziomie.

*Kazimierz BRAUN*

# Książki

## Odyseja w nowym tłumaczeniu Wittlina

Patrząc na nowe tłumaczenie *Odysei* pióra Józefa Wittlina, trudno powstrzymać się od optymistycznych refleksji. Jest to trzecie z kolei tłumaczenie tejże książki przez tegoż tłumacza. Drugie, które zostało w mojej warszawskiej bibliotece, nosiło datę 1935. Między nim a wydanym obecnie eleganckim tomikiem „Veritasu" leży otchłań 22 lat. Kto, patrząc na tę książkę, powie, że życiu brak ciągłości, że wśród skoków historii żyjemy jak na popasie? Życie musi posiadać zdumiewającą stałość i ciągłość, jeżeli przez wszystkie te lata Wittlin nie przestał szlifować swego tłumaczenia, a my, czytelnicy, wracamy wciąż do książki liczącej bez mała trzy tysiące lat wieku.

Homer był zresztą zawsze widomym znakiem stałości i ciągłości życia. Zawdzięcza to w znacznej mierze pozycji autora numer jeden, od którego zaczyna się historia piśmiennictwa i czytelnictwa. Na drugim końcu tej historii widzimy róg obfitości, z którego sypią się bez przerwy nowości literackie. Autor ostatniej książki, o której wszyscy mówią, posiada też stanowisko godne zazdrości, skoro tylu się o nie ubiega. Sława jego zaćmiewa chwilami sławę Homera, ale trwa najczęściej bardzo krótko. Za miesiąc, za rok modny autor zostanie zepchnięty w cień przez inną wschodzącą gwiazdę.

Istnienie obok siebie rzeczy trwałych i przemijających zdaje się leżeć w samej naturze życia literackiego i znajdować oparcie w różnorodności zainteresowań czytelników. Posiadacze bibliotek prywatnych, znający wszystkie wzory poprzednie, umieją lepiej ocenić urok nowości. Przewroty społeczne zmywają co pewien czas z oblicza ziemi tę kategorię czytelników. Na ich miejsce przychodzą ludzie nowi, nieobciążeni nadmiarem lektury. Pierwszą ich troską jest zabezpieczenie zdobytego majątku i władzy.

---

Homer, *Odyseja*. Wyd. III. Str. 438, Londyn 1957.

Konsolidacja pozycji społecznej wymaga wiary w ciągłość historii, przekonania, że wyniesienie na powierzchnię życia grup nowych nie jest dziełem przypadku, lecz końcowym wynikiem procesów ciągłych. Okresom konsolidacji i reintegracji społecznej towarzyszy zazwyczaj powrót do tradycji, do etykiety oraz odnowienie sławy i poczytności autorów klasycznych. Czytający ich ulega miłemu złudzeniu, że jest ostatnim spadkobiercą niezliczonych pokoleń znawców, i że smak literacki łączy go z elitami wszystkich wieków poprzednich. Na gruzach porządku średniowiecznego, w niespokojnych czasach Renesansu, lektura Homera przywracała poczucie ciągłości życia. Czytano go z niesłabnącym zainteresowaniem, jednym tchem, jak można wnosić z świadectwa Ronsarda: „*Je veux lire en trois jours l'Iliade d'Homere et pour ce, Corydon, tire bien l'huis sur moi*". Voltaire żył w czasach bardziej uporządkowanych, i jego ocena klasyków jest mniej entuzjastyczna. Candidowi, patrzącemu z zachwytem na piękne wydanie Homera, wenecki senator Pococurante tłumaczy, że zasypia wprawdzie nad tą nudną historią, ale że każdy szanujący się wenecjanin musi posiadać tę książkę w swej bibliotece. W kilkadziesiąt lat później, po Rewolucji francuskiej i wojnach napoleońskich, Homer znalazł znów zapalonych czytelników. Tłumaczenie Wittlina pojawiło się więc być może w stosownej chwili.

Teksty klasyczne różnią się głęboko nie tylko od nowości literackich, ale także od innych książek dawnych, które po latach efemerycznej sławy wyszły z obiegu. Starożytne czy nowożytne pisane są w języku, którym nikt już nie mówi. Słowa w nich są jak stare, porysowane przez katastrofę kamienie; o każde z nich spierają się gramatycy. Tłumacz nie znajduje dla nich ekwiwalentów. Każda epoka, każde pokolenie czytelników starało się zaktualizować klasyczne teksty przez nowe interpretacje i oświetlenia. W ciągu wieków praca myśli pokryła je grubym mchem komentarzy i refleksji. Tekst klasyczny nie udziela się nam więcej w swej bezpośredniej prostocie; słyszymy go zawsze z towarzyszeniem szmeru rozbieżnych komentarzy. Stąd jego wieloznaczność, różnorodność impulsów, jakie daje wyobraźni czytelnika. Nic np. w równej mierze jak tekst klasyczny nie pobudza do zabawnych przeinaczeń, niespodzianych zastosowań gier słów, pastiszów i rozrywek literackich. Cytaty z Homera służyły Arystofanesowi i Lukianosowi do najbardziej figlarnych efektów.

Nie jesteśmy dziś dość biegli w grece, aby wzorem ich układać słowa Homera w kalambury. Nasze poczucie wieloznaczności *Odysei* bliższe jest osobliwego streszczenia jej, jakie znajduje się na końcu *Historii prawdziwej* Lukianosa, w formie listu Odysa do nimfy Kalipso. List taki, rzecz prosta, musi przedstawiać wypadki w nieco innym świetle niż poemat Homera. Sama jednak treść tego ostatniego zdaje się zachęcać do różnych oświetleń. Historia Odysa, który przez jedenaście lat z miną wielkiego cierpiętnika zdobywa na wyspach serca ró-

nych sławnych kobiet, gdy Penelopa, otoczona zalotnikami, na próżno czeka nań w domu, dopuszcza różne interpretacje.

Każda nowa lektura uprzytamniała mi wieloznaczność *Odysei*. Zatrzymuje mnie zawsze pobyt Odysa w kapiącym złotem i srebrem domu Alkinoosa. Przepych tego domu i kosztowność używanych w nim przedmiotów przekracza wszędzie o jeden odcień wiarygodność opisu. Życie w nim zawiera tyle subtelności hierarchicznych, że sama Pallas Atene musi udzielić Odysowi odpowiednich instrukcji, aby nie zgubił się w przepisach etykiety. Stoimy tu na samej granicy dwóch tworów wyobraźni, zbliżonych kształtem, lecz odległych sensem. Pierwszy przedstawia zróżniczkowaną wewnętrznie grupę osób, złączonych regułami niezrozumiałej dla barbarzyńców gry towarzyskiej, podobnej do partii szachów, gdzie każda figura ma inne uprawnienia, lecz stanowi niezbędną i rozstrzygającą nieraz część całości. Drugi przedstawia grupę, której budowa hierarchiczna wynika tylko z różnic majątkowych — jak w *Uczcie Trymalchiona* — lub z przydziału władzy — jak w *Rewizorze* i której igraszki, w braku innych reguł, są tylko bufońską parodią zabawy towarzyskiej. Przyjęcie Odysa w domu Alkinoosa jest być może najodleglejszym wzorem późniejszych etykiet dworskich. Nie wiem czy Gracjan znał ten tekst, który zapewne zwróciłby jego uwagę. Istnieje jednak także tajemne powinowactwo między przyjęciem u Alkinoosa a *Ucztą Trymalchiona,* między srebrnym dzbanem, z którego służąca leje wodę na ręce gości Alkinoosa, a srebrnym urynałem w ręku Trymalchiona, witającego zaproszonych u wrót parku.

Jak tłumaczyć tekst tak wieloznaczny, skrywający w sobie tyle możliwych interpretacji, tyle rozbieżnych aluzji i zbliżeń? Nikt nie potrafi odnaleźć pierwotnego wyrazu w tekście wytrawionym dwoma i pół tysiącami lat pracy myśli. Tłumacze wybierali więc zwykle jedną z możliwych koncepcji *Odysei,* traktując ją na przemian jako poemat heroiczny czy groteskowy twór sztuki ludowej, czy dzieło poety, zwracającego się do wybrednej publiczności.

Wittlin wybrał drogę ambitną, nierównie trudniejszą, drogę tłumaczenia stylizowanego w duchu sztuki klasycznej. Wersję poprzednią oczyścił z wszystkiego co było w niej młodopolskie lub zakopiańskie, co mogło mówić o czasie i miejscu tłumaczenia. Jego nowa wersja zachwyca lekkością i prostotą. Są to najbardziej uderzające rysy sztuki klasycznej. Kto widział jak postać ludzka przedstawiona jest na freskach pompejańskich — nie może się oprzeć wrażeniu, że studia anatomiczne Michała Anioła i Leonarda mają w sobie coś pedantycznego. Lekkość i prostota pozwalają najlepiej oddać teksty wieloznaczne w sposób nie przesądzający o niczym, zachowujący wszystkie możliwości interpretacji. Wolna od wszystkiego co mówiłoby o nim samym, wierszowana wersja Wittlina, wierna jest najlepszym tradycjom sztuki klasycznej; jak ta ostatnia stwarza złudzenie spokojnego zbliżania się do czegoś zawrotnie pięknego.

Nowa wersja *Odysei* i zagadnienia artystyczne, jakie stawia sobie tłumacz, oddalają nas bardzo od klimatu literatury współczesnej, której najsławniejsi mistrze z ponurą determinacją spowiadają się czytelnikom z swego upadku i swego obrzydzenia do człowieka. Mam wrażenie, że ukazanie się w tej ciężkiej atmosferze wzoru całkowicie odmiennego nie jest tylko dziełem przypadku.

*Paweł HOSTOWIEC*

# Parapsychologia

Parapsychologia wzbudza coraz więcej zainteresowania nie tylko wśród laików ale również i naukowców. Gdybyśmy jednak zapytali czym właściwie jest parapsychologia, to wcale nie byłoby łatwo dostać odpowiedź ścisłą, uzasadnioną i zadowalającą. Można traktować parapsychologię jako jeden z działów psychologii i takie stanowisko, dość powszechne, jest na ogół zadowalające o ile nie będziemy mieć niepotrzebnych wątpliwości czym właściwie zajmuje się psychologia?

Uczony, który pierwszy wprowadził *nazwę* psychologii dwa wieki temu (1), niemiecki filozof C. Wolff, jako przedmiot jej badań uznawał *duszę* człowieka. Stąd nazwa. Ale dla nas, dziś, dusza stanowi twór — w pewnym sensie — hipotetyczny, a w istocie przedmiot wiary nie zaś wiedzy (2). Taki zaś przedmiot nie może być badany naukowo; może on stanowić jeden z tematów spekulacji filozoficznych jeżeli nie po prostu teologicznych. Dlatego też z punktu widzenia postawy naukowej może najbardziej zadowalającym określeniem psychologii jest dziś stwierdzenie, że treścią jej badań jest osobowość i zachowanie się człowieka. W ten sposób zagadnienie duszy i dalsze tego konsekwencje mogą być taktownie ominięte i nie stanowić ,,kości niezgody''. Możemy zatem powiedzieć że parapsychologia jest działem psychologii, który bada takie cechy osobowości i takie postacie zachowania się jakich nie umiemy włączać w łańcuchy kauzalne zjawisk i procesów realnych.

Słusznie zwrócił ktoś uwagę, że w takim ujęciu parapsychologia staje się dyscypliną samobójczą: jej zadaniem jest bowiem wykrycie kauzalnych powiązań zjawisk badanych ze światem realiów, ale wtedy, automatycznie przestają one być jej terenem

(1) Dokładniej, 222 lata temu.

(2) Jeżeli w coś *wierzymy* (albo nie wierzymy), to dlatego że nie możemy tego *wiedzieć*.

badań, przechodząc wprost do psychologii. Tym sposobem celem parapsychologii jest wyzbyć się dziedziny własnych badań. Jest to zatem dyscyplina tymczasowa — co, rzecz jasna, wróży jej trwałość.

Zjawiska parapsychologiczne były znane i obserwowane bardzo dawno. Może wcześniej nawet niż zaczęto w ogóle wyodrębniać zjawiska psychiczne, wyobraźnię człowieka i ciekawość pobudzały takie wydarzenia jak sny prorocze, przepowiednie, porozumienia telepatyczne, jasnowidzenia itp. Nawet próby eksperymentalnego podejścia do takich zjawisk są dość dawne. O podobnej próbie opowiada na przykład Herodot, relacjonując jak to Krezus, król Lydii w VI wieku przed naszą erą przeprowadził starannie obmyślany eksperyment dla zbadania która z siedmiu sławnych greckich wyroczni jest najbardziej wiarogodna.

Zjawiska parapsychologiczne służyły też do celów zupełnie praktycznych, jak pokazuje przykład Aleksandra z Paphlagonii (w II wieku naszej ery), który nie tylko popisywał się, jak nasz Ossowiecki, odczytywaniem zapieczętowanych tekstów, ale również zajmował się diagnozą medyczną i leczeniem na odległość przy użyciu ,,psychometrii'', oraz jasnowidzeniem telepatycznym. Sława jego była tak wielka, że Marek Aureliusz nie wahał się używać jego pomocy aby podnieść ducha armii szykującej się do walki. Sławny pisarz Lukian dokładał starań aby wykryć tajemnicę i technikę Aleksandra — bez większego zresztą powodzenia.

Te dwa najbardziej starożytne z zanotowanych w literaturze przykładów, są również zupełnie typowe i dla naszych czasów. W jednym wypadku mamy zawsze osoby wybitne — uczonych, myślicieli, badaczy — którzy poświęcają czas, talenty, nawet kariery aby naukowo badać różne postacie zjawisk parapsychologicznych. W drugim — mamy osoby, grupy, organizacje, starające się urządzać ,,demonstracyjne pokazy'' zjawisk parapsychologicznych, mające im, czy innym, przynosić korzyści materialne lub moralne.

Dopiero w czasach najnowszych, niewiele ponad ćwierć wieku temu pojawił się typ trzeci : zainteresowanie zjawiskami tymi ze strony akademickich instytucji naukowych i zastosowanie do badań w tej dziedzinie metod nauk ścisłych. Wprawdzie dotychczas, to znaczy po upływie 27 lat od założenia pierwszego laboratorium parapsychologii (przy uniwersytecie w Duke, w Północnej Karolinie, U.S.A.) pozostaje ono nadal *jedyną* w świecie instytucją ze stałym personelem naukowym, budżetem i całym ceremoniałem akademickim, poświęconą całkowicie zjawiskom parapsychologicznym. Jednakże w wielu uniwersytetach świata są wyznaczane, choć dorywczo ale coraz częściej, subsydia na cele wykładów czy badań, lub na prace doświadczalne doktorantów, z zakresu parapsychologii, ukazują się drukiem materiały z takich badań, odbywają się zjazdy i konferencje uczonych z różnych dziedzin wiedzy, poświęcone dyskusjom nad sprawą

badań parapsychologicznych itd. Słowem ruch naukowy w tyn zakresie zaczyna nabierać zdecydowanie rozpędu.

Od dawna, jednym z motywów podejmowanych przez popu laryzatorów parapsychologii była rzekomo niezrozumiała, upart postawa ,,nauki oficjalnej'', nie uznającej parapsychologii. Zja wiska tego zakresu nie były dopuszczane na łamy czasopisn naukowych szanujących swój status powagi akademickiej, uczon choćby wybitny narażał groźnie swą karierę jeżeli odważał si oficjalnie zabierać głos na temat zjawisk parapsychologicznyc inaczej niż w tonie sceptyczno-krytycznym. Taka jednak sytuacj nie powinnaby właściwie wydawać się ani dziwna ani niezrozu miała. Oczywista jest przecież, że zjawiska parapsychologiczn są dziedziną nie tylko o olbrzymim ładunku emocjonalnym, al nadto o ogromnej sile atrakcyjnej i niebywale ponętnych okazjac dla wszelkiego autoramentu dziwaków, głuptaków i szarlatanów Czy w tłumie tej nieprzyjemnej zbieraniny jest również miejsc dla trzeźwych, ostrożnych i rzetelnych poszukiwaczy prawd naukowej — to wcale nie było jasne i oczywiste. I dziś, w świa domości wykształconego ogółu, dziedzina zjawisk parapsycholo gicznych stanowi wciąż jeszcze jak gdyby niezdecydowane po granicze pomiędzy akademicką nieortodoksyjnością a przyczó kiem szpitala dla umysłowo chorych.

Rozumowanie racjonalne, na naukowych stwierdzeniac oparte, wciąż stanowi tylko bardzo cienką powłokę na kłębiąc się lawie namiętności, odruchów i instynktów gromadnych – cienką powłokę, która oddziela procesy rozwijającej się cywil zacji od irracjonalnych, barbarzyńskich, czy nawet po prost bestialskich wybryków. Zezwolić, aby w jakimkolwiek punkc ta ochronna powłoka została naruszona, bez przekonania, ż natychmiast zastąpi ją lepsza, pewniejsza warstwa równie sku tecznego rozumowania — byłoby ryzykiem lekkomyślności n łatwo podejmowanym (przynajmniej przez uczonych, politycy by wają w tym zakresie ,,odważniejsi''), mimo, że ochronna po włoka myślenia racjonalnego nie jest oczywiście, bardzo skutec na. Jest ona jednak jedyną jaką mamy.

Zjawiska parapsychologiczne cechuje kapryśność. Nie mo na przewidzieć gdzie, kiedy, w jakich okolicznościach i w jaki formie się przejawią. Dlatego tak niezmiernie trudno jest st sować do nich metody badań ścisłych. Trudniej nawet niż c takiego, równie kapryśnego, zjawiska jak meteoryty, które go już upadną to zostawią przynajmniej bryłkę metalu czy kamieni zdatną do badań chemicznych. Ale sam spadek meteorytu je równie nieprzewidzialny, toteż również nie powinniśmy się dz wić że ,,nauka oficjalna'' bardzo długo, bo aż do początkó ubiegłego stulecia nie chciała mieć z meteorytami nic wspólneg — odmawiała po prostu uznania, że kamienie mogą spadać z ni ba. Sławna Akademia Francuska podjęła w tej sprawie naw dość stanowczą uchwałę i tylko zwykły przypadek sprawił, zo została ona rychło zmuszona do puszczenia tej uchwały w ni pamięć.

Ponadto, co jest może jeszcze ważniejsze, nauki akademickie — z wyjątkiem dziedzin jawnie nie należących do nauk ścisłych a więc teologii, filozofii i (może częściowo) historii — oparte są na doktrynalnych założeniach empirycyzmu i — jego nowoczesnego kontynuatorstwa — pozytywizmu. Założenia te można by określić w technicznej terminologii jako aksjomaty jednej z odmian monizmu materialistycznego, mianowicie jego postaci antymetafizycznej.

Na tych, głęboko ukrytych, fundamentach filozoficznych opiera się w istocie cały gmach nowoczesnej nauki — imponująco skutecznej w wielu, bardzo wielu dziedzinach. Trudno nie pamiętać, że to wyniki i zastosowania tej właśnie nauki podniosły — szybko i wysoko — poziom życia cywilizowanych społeczeństw. W ciągu kilku zaledwie pokoleń stworzyły one wygody i ułatwienia życia i pracy, przedłużyły długość życia czynnego, usunęły wiele cierpień i plag itd., słowem przyniosły ogromny i realny zakres postępu, nawet jeżeli uwzględnimy w pełni wszystkie trudności, niebezpieczeństwa i konflikty jakie z tym postępem są związane. Czyż dziwne jest zatem że fundamenty takiej budowli naukowej chronione są starannie przez uczonych przed, lekkomyślnym może, w nich dłubaniem?

Fakty, same przez się, nawet tak dziwne fakty jakie notuje parapsychologia, znaczą bardzo mało jeżeli nie zostają one uporządkowane i powiązane przez jakąś teorię. Częstokroć takie teorie — bez których nie potrafilibyśmy może nawet dostrzegać faktów — nie są wcale sformułowane. Istnieją one tylko *implicite* i trzeba starannych analiz rozumowania aby je wykryć. Otóż zjawiska parapsychologiczne zdają się implikować dość określony i ograniczony zakres możliwości teoretycznych. Żadne zaś z tych możliwości nie dają się pogodzić z zasadami monizmu materialistycznego, leżącego u podstawy nauk. Trzeba więc albo odrzucić ów fundament skutecznej i pożytecznej nauki i przebudować od podstaw, całkowicie, olbrzymi budynek nauki akademickiej — albo też szukać innych teoretycznych poglądów na zjawiska parapsychologiczne, co w praktyce oznacza negację ich rzeczywistości.

Jeżeli dzisiaj można stwierdzić że nauka, niechętnie wprawdzie i z ociąganiem się, z dreszczem lęków i obaw, zaczyna decydować się na pierwszą z tych alternatyw, to wcale nie dlatego aby doświadczenia parapsychologiczne były całkowicie przekonywujące i nieodparcie wymowne. Są w tym zakresie możliwe różne interpretacje. Ważniejsze jednak jest to, że zjawiska parapsychologiczne nie są *jedynym* ewenementem wskazującym konieczność rewizji i przebudowy filozoficznych fundamentów nauki. Można by uważać że to raczej dlatego nauka akademicka dopuściła dziedzinę parapsychologii do swego grona, że już w samym tym gronie ujawniły się czynniki, rozbijające niewzruszony pozornie fundament.

Te pierwsze czynniki rozkładu zjawiły się w najwspanialej rozwiniętej nauce ścisłej — w fizyce teoretycznej, a dokładniej,

w mechanice kwantowej. Powstała tu mianowicie konieczność uznania, że ultymatywne sformułowania praw natury — a więc takie sformułowania które pozostają ważne również i w zakresie zjawisk jądrowych — muszą być uważane za prawa statystyczne. Inaczej mówiąc, zjawiska jądrowe nie stosują się do zasad kauzalizmu, które oznaczają przecież nie tylko że każdy proces, rozumiany jako skutek, ma swą przyczynę. Zasady kauzalizmu implikują również że każda przyczyna w takich samych okolicznościach wywołać musi taki sam skutek, a ponadto że między każdą przyczyną i jej skutkiem istnieje bezpośredni związek, jeżeli nawet nie w formie materialnej, to w każdym razie fizycznej. Takie sformułowanie zasad oznacza dopiero, że procesy realne są zdeterminowane — że w określony sposób wynikają jedne z drugich, stanowiąc w istocie integralne czynniki jednego kompletnego procesu wszechświata.

Otóż przyjmowanie praw naturalnych — czyli abstrakcyjnego sformułowania procesów wszechświata — jako praw statystycznych oznacza, że tylko przy bardzo dużej liczbie wypadków ich przeciętny przebieg zgadza się z formalnym kształtem „prawa" z niewymiernie małymi odchyleniami. Każdy indywidualny wypadek może mieć jednak przebieg inny i, w zasadzie, nieprzewidywalny. Zatem przebieg ogólny wielkiej liczby procesów — ich niejako wypadkowa — jest *pozornie* zdeterminowany jako statystyczna suma procesów indywidualnych, z których każdy jest albo niezdeterminowany całkowicie, albo jego determinacja jest niewyznaczalna. Jako klasyczny przykład służyć może samorzutny rozpad atomów pierwiastka radioaktywnego. W całej masie pierwiastka możemy określić „prawo" że w pewnym czasie, na przykład roku, połowa wszystkich atomów ulegnie rozpadowi, ale o każdym indywidualnym atomie (który możemy wyodrębnić przez, na przykład związanie go z określonym genem rośliny) musimy stwierdzić że istnieje zupełnie takie same prawdopodobieństwo iż rozpadnie się on w następnej sekundzie jak za pięć lat.

Taka sytuacja stanowi całkowitą sprzeczność z zasadami materializmu pozytywistycznego. Nie jest prawdą jednak, jak niekiedy naiwnie pisano, że zasada nieoznaczoności Heisenberga przekreśla w ogóle determinizm, a więc postulować musi indeterminizm i stąd może dopuszczać naukowe sformułowania na przykład wolnej woli człowieka. To jest oczywisty nonsens. Zasadę nieoznaczoności można interpretować w różny sposób i wcale nie jest jasne, że interpretacja indeterministyczna (tak zwana kopenhaska) jest najwłaściwsza. Przeciwnie, są co do tego poważne wątpliwości. Ale konieczność odstąpienia od zasad kauzalizmu udowadnia że materializm pozytywizmu, przy wszystkich swych zaletach i zasługach w formułowaniu praw i teorii naukowych — stanowić może jedynie pierwsze przybliżenie do rzeczywistości. Przy ściślejszych badaniach ujawniają się rozbieżności i zmuszeni jesteśmy szukać dalszych przybliżeń.

Trzeba zaznaczyć że istnieją i to wcale obiecujące próby ocalenia zasad kauzalizmu w mechanice kwantowej(3). Jednakże kauzalizm, który z tych prób się wyłania, wymaga przyjęcia, w tej czy innej postaci, koncepcji ,,substratu'' rzeczywistości, który to substrat posiadać by musiał jeszcze mniej cech ,,mechanicznych'' niż miał je ,,eter kosmiczny'' ubiegłych stuleci. Parametry tego substratu mogłyby, nawet w zasadzie pozostać niepoznawalne eksperymentalnie. Taka koncepcja, choć dałoby się ją może pogodzić z niektórymi postaciami monizmu materialistycznego (na przykład z materializmem dialektycznym) pozostaje całkowicie sprzeczna z pojęciami materializmu pozytywistycznego.

Jeżeli jednak w jednym jakimś punkcie materialistyczno-pozytywistyczna podszewka nauk okazuje się złudzeniem — to nie ma słusznych podstaw aby się upierać, że wszędzie indziej musi ona być rzeczywistością. Stąd też można by powiedzieć, że parapsychologia wchodzi do gmachu nauki przez szczelinę otworzoną w mechanice kwantowej.

Naukowa parapsychologia nie może opierać swej działalności na wysoce obfitym materiale obserwacyjnym nagromadzonym od dawna przez liczne organizacje znane jako stowarzyszenia ,,metafizyczne'', ,,metapsychiczne'', ,,psychiczne'' itp. Zanotowane w tych materiałach wypadki spontanicznych manifestacji zjawisk parapsychologicznych, nawet po odrzuceniu tych w których zdolności krytyczne obserwatorów można by podawać w wątpliwość, nie ofiarowują nic ponad przedstawienie zjawisk tak różnorodnych w szczegółach, jeżeli nie zasadach, że są one nieporównywalne. Materiały zaś z przeprowadzanych ,,eksperymentów'' dotyczą mediów zawodowych, notorycznie skłonnych do posługiwania się prestidigitatorstwem oraz badaczy, z reguły zmuszonych do improwizowania warunków laboratoryjnych, a przeto nie osiągających standardu dokładności wymaganego przy naukowych badaniach.

Dla zainicjowania nowej dyscypliny naukowych badań konieczne było znalezienie metody, która by w sposób prosty, porównywalny i możliwy do stosowania przez różnych badaczy, pozwalała wyodrębnić czy ujawnić zjawisko, lub zjawiska zasadnicze i przez to udostępniła je bardziej szczegółowym badaniom. W tym kierunku zasługa twórcy pierwszego laboratorium parapsychologii, prof. J.B. Rhine i jego zespołu, jest oczywista. Usystematyzował on stosunkowo prostą metodę odgadywania kart z symbolicznymi znakami (tak zwanych kart Zenera) — doświadczenie które jest dostatecznie ujednolicone w swych odmianach aby dawać wyniki doskonale porównywalne, a równocześnie pozwalające na wprowadzanie odmian i modyfikacji dla wyznaczania różnych cech badanego zjawiska, czy okoliczności jego występowania.

---

(3) Mowa tu o teoriach rozwijanych ostatnio przez takich fizyków teoretycznych jak Amerykanin D. Bohm, Francuzi de Broglie i Vigier, Japończyk Takabojari, Polak Szczeniowski i wielu innych.

W zasadzie doświadczenie sprowadza się do tego, że badany, tak zwany subiekt odgaduje kolejno karty w serii odpowiednio tasowanych talii. Talia zasadniczo składa się z 25 kart o pięciu odmianach rysunku. Odgadywanie zatem kart, kierowane zwykłym przypadkiem dawałoby przeciętnie pięć odgadnięć na talię, przy czym przeciętna ta byłaby tym bliższa liczbie pięć im większa ilość serii zostałaby powtórzona. Otóż w laboratorium Rhine'a (i innych) znaleziono szereg subiektów, którzy w licznych tysiącach serii w okresie całych miesięcy i lat systematycznie odgadywali liczbę kart wyższą od przeciętnej przypadkowej. Z rozważań ścisłej matematyki statystycznej wynika że zjawisko takie może powstać tylko wtedy gdy prócz zwykłego przypadku działa również jakiś stały dodatkowy czynnik rzeczywisty. Ten hipotetyczny czynnik otrzymał nazwę *extrasensory perception* — (,,postrzeganie pozazmysłowe'', nazwę niezbyt fortunną gdyż zdającą się implikować że 1) możliwe jest spostrzeganie pozazmysłowe; 2) że charakter owego czynnika jest taki jak spostrzegania. Implikacje takie byłyby nieuzasadnione i na pewno sporne, toteż nazwę *extrasensory perception* rozumiemy jako nie implikującą nic i używamy przeważnie w postaci skrótu ESP).

Niektórzy z badaczy usiłują odróżnić dwie odmiany tego czynnika, mianowicie ,,telepatię'' i ,,jasnowidzenie''. Pierwszy miałby być związany z jakby postrzeganiem treści myślowych innych osób, drugi — z jakby postrzeganiem zjawisk fizycznych, przy czym występowałyby dwie formy jasnowidzenia: jedna dla zjawisk oddalonych w przestrzeni, druga w czasie. Ostatnio jednak podniesiono poważne wątpliwości, czy możliwe jest takie zorganizowanie doświadczenia z kartami Zenera aby móc rzeczywiście odróżnić, czy rozpoznać odmiany ESP jeżeli one istotnie zachodzą. Stąd tendencje do traktowania ESP jako czynnika jednolitego, zdolnego do różnego typu manifestacji.

Czynnik ESP byłby zatem podstawą oddziaływania zjawisk zewnętrznych, zasadniczo materialnych, na osobowość i zachowanie się człowieka, poza zakresem działania jego organów zmysłu. Według założeń i obserwacji, wszelkie działania w świecie fizycznym są zawsze dwukierunkowe, toteż i w zakresie parapsychologii można spodziewać się działań odwrotnego rodzaju, to jest wpływu osobowości i zachowania się człowieka na przebieg procesów materialnych, poza zakresem mechanicznego przekazywania energii. Mowa jest tu o tak zwanym poruszaniu ciał fizycznych wysiłkiem ,,woli''. Aczkolwiek laboratoryjne wykazanie tego czynnika zwanego PK (*psychokinesis*), jest jeszcze trudniejsze niż czynnika ESP i przez to mniej niewątpliwe, w zasadzie parapsychologia przyjmuje dziś istnienie tego czynnika za pewne.

Po osiągnięciu tych wyników, dość obiecujących, a często uważanych za epokowe — badania parapsychologiczne stanęły jakby na martwym punkcie. Samo wykrycie istnienia jakiegoś nieznanego czynnika może być tylko wstępem do badań. Waż-

nym, może wspaniałym, ale nie więcej niż wstępem. W następnej fazie konieczne będzie zbadanie i określenie charakterystycznych cech, czy właściwości owego czynnika oraz sporządzenie modelu jego działania. To znaczy stworzenie serii metod zdolnych zagadnienia te empirycznie wyznaczać, oraz skonstruowanie pewnych teoretycznych koncepcji, których konsekwencje byłyby doświadczalnie sprawdzalne. Ta druga faza rozwoju parapsychologii wciąż jeszcze jest daleka od zrealizowania. To co dziś o charakterze ESP wiemy czy domyślamy się, oraz co o mechanizmie jego działania możemy sądzić to są wszystko pojęcia najzupełniej mgliste.

Parapsychologia potrzebuje dziś znacznie więcej materiału doświadczalnego i więcej wykwalifikowanych naukowców, mogących pracę w tej dziedzinie podjąć. Metoda kart Zenera, niewątpliwie wysoce użyteczna i której nauka ma do zawdzięczenia pierwszy dowód istnienia ESP jest raczej mało wygodna jako sposób selekcjonowania osób ,,sensytywnych'' dla dalszych badań laboratoryjnych. Jej rutyna, nużąca i męcząca zdolna jest napełnić kompletnym zniechęceniem nawet dość entuzjastycznych amatorów na ,,króliki doświadczalne''. A znużenie i zniechęcenie to są czynniki psychiczne zdające się mieć wielką korelację negatywną z ESP. Poza tym dobór eksperymentatorów również przedstawia nieprzewidywane początkowo trudności. Okazuje się bowiem, że przedmiotem doświadczenia parapsychologicznego jest nie sam tylko sensytywny ,,subiekt'', ale raczej zespół subiekt-eksperymentator. Zdaje się nie ulegać już wątpliwości, że przebieg i wyniki doświadczenia parapsychologicznego, poza innymi okolicznościami i stopniem wrażliwości subiekta zależą również funkcjonalnie od osobowości eksperymentatora.

Z drugiej jednak strony, mimo znalezienia niewielu tylko naprawdę wybitnych subiektów, czynnik ESP bynajmniej nie należy do zjawisk wyjątkowych lub rzadkich. Przeciwnie, jest on najprawdopodobniej normalnym składnikiem każdej osobowości ludzkiej, występując jednak w różnym i nie stałym natężeniu. Czy i w jaki sposób funkcjonowanie tego czynnika można, choćby chwilowo, wzmocnić, wyodrębnić lub ujawnić — oto zagadnienia, których rozwiązanie jest na pewno możliwe, choć nie wydaje się bliskie. Atak na tę trudną pozycję tajemnic natury prowadzony jest dziś coraz uparciej, systematyczniej i z wielu stron. Dziś już zaczynamy sobie zdawać sprawę z faktu, że pełne zrozumienie osobowości człowieka nie będzie naprawdę możliwe bez uwzględnienia tego, zagadkowego jeszcze czynnika ESP.

*J. HORZELSKI*

# Likwidacja K. P. P.

W ubiegłym roku ukazała się w Helsinkach, nakładem spółki wydawniczej Tammi, książka Arvo Tuominen'a p.t. *Kremlin Kellot. Muistelmia vuosiita,* 1933-1939 („Dzwony Kremla. Wspomnienia z lat 1933-1939")

Arvo Tuominen, był w swoim czasie jednym z najbardziej bojowych komunistów Finlandii, sekretarzem Fińskiej Partii Komunistycznej i sekretarzem związków zawodowych tego kraju. Za działalność wywrotową był on w latach dwudziestych wielokrotnie aresztowany i szereg lat spędził w więzieniu. Tak jak wielu komunistów, zohydziwszy sobie kapitalistyczną ojczyznę, uciekł do kraju swych marzeń. Tam wkrótce dochrapał się wysokiego stanowiska i został nawet członkiem Prezydium Kominternu. Książka jego to właśnie pamiętnik z tych czasów, z czasów, gdy mógł z bliska przyglądać się, jak Komintern przekształcony został najpierw na narzędzie polityki zagranicznej Sowietów, a następnie na jaczejkę wywiadowczo-terrorystyczną na usługach N.K.W.D.

Książka Tuominen'a, jest bogata w nieznane dotąd szczegóły, dotyczące rozwiązania K. P. P. Komunikat Pięciu Partii (Związku Sowieckiego, Włoch, Bułgarii, Finlandii i Polski) z 18 lutego 1956 roku rehabilitujący K.P.P., nie wyjaśnia konkretnie *w jakich* okolicznościach Kompartia Polski została rozwiązana. Artykuł wstępny *Trybuny Ludu* z 19 lutego p.t. „Historyczny dokument" mówi o sfałszowanych dowodach przeniknięcia kierownictwa K.P.P. przez „szpiegów Piłsudczyzny" i „agentów Trockizmu". Dowody te miały być podsunięte Kominternowi przez „bandę gangsterów i sabotażystów", ale znów ani słowa *jakie* to były dowody, ani *kto* to byli owi „gangsterzy i sabotażyści". Słowem sprawa likwidacji K.P.P. jest ciągle nie całkowicie wyjaśniona. Publikacja materiałów i dokumentów dotyczących dziejów K.P.P., podjęta w roku 1954 przez partyjny Instytut Historii przy Centralnym Komitecie P.Z.P.R.'u, też żadnych rewelacji w tej ciągle wstydliwie traktowanej sprawie nie przyniosła. Stąd tym bardziej cenne są wspomnienia byłego komunisty fińskiego, który z tytułu urzędu sprawowanego w Kominternie zmuszony był do zatwierdzenia decyzji, powziętej z natury rzeczy przez samego Stalina. Ale oddajmy głos Tuominen'owi :

„Na wiosnę 1937 roku zwołano ponownie plenum Prezydium Kominternu, w ten sposób jak to miało miejsce w czasie sprawy Beli Kuna. Sądziliśmy, iż pewnie wykryto jakąś nową aferę i byliśmy przygotowani na usłyszenie zwykłych oskarżeń o szpiegostwo. Byliśmy raczej nieco zdziwieni, iż na zebraniu nie był obecny żaden z polskich członków Prezydium. Za chwilę ogarnęło nas nie tylko zdziwienie, ale co więcej — zdziwienie i przerażenie.

„Dimitrow zajął miejsce przewodniczącego. Myśmy zajęli swoje miejsca, a Manuilsky rozpoczął przemówienie od następujących słów :

— Towarzysze ! Mam wam przedstawić historię, tak czarną i brudną i tak nieprawdopodobną, iż po prostu trudno wam sobie to wyobrazić. W 1920 roku, gdy waleczna Czerwona Armia stała pod bramami Warszawy, nagle cały polski pułk, złożony z 700 ludzi, przeszedł na naszą stronę. Przyjęliśmy ich radośnie, gdyż wydawało się, że chodzi tu o przy-

jaciół Sowietów; częściowo byli to przecież polscy komuniści... Niektórzy żołnierze wstąpili wprost do Armii Czerwonej, niektórzy zostali nawet oficerami; inni zostali politycznymi komisarzami, a inni znów otrzymali wybitne stanowiska w administracji sowieckiej. Możecie sobie wyobrazić, że przejście na naszą stronę tej grupy i to w takich okolicznościach wzbudziło u nas duże zaufanie — przeszłość tych 700 ludzi nie była jednak bliżej zbadana. Postąpiliśmy właśnie tak, jak chytry wróg przewidywał".

W tym miejscu — pisze Tuominen — Manuilsky zrobił przerwę. Opowiadanie jego o polskich Wallenrodach wzbudziło zdziwienie wśród słuchaczy, którzy z napięciem czekali dalszego ciągu tej fantastycznej historii.

„Wróg założył na nas sidła", ciągnął dalej Manuilsky, „był przebiegły i niebezpieczny. Któż mógł przypuszczać, iż tych 700 ludzi to była specjalnie wybrana i przeszkolona ekipa szpiegowska, która wkrótce przeniknęła na ważne stanowiska. Byli to ludzie, którzy przez siedemnaście lat potrafili uprawiać bez przeszkód brudną robotę. A któż stał za tą bandycką robotą? Oczywiście renegat socjalistyczny — Piłsudski!

„Zaskoczenie było całkowite", pisze dalej Tuominen. „A stało się jeszcze większe, gdy Manuilsky oznajmił, że w gronie tych 700 byli niektórzy członkowie Centralnego Komitetu Kompartii Polski i że nawet Leński i Bronkowski byli wmieszani w tę aferę szpiegowską. Nie było więc innego wyjścia jak aresztować całe naczelne kierownictwo Partii — co też uskuteczniono".

„Bela Kun mógł jeszcze być obecny, gdy go oskarżano, ale Polacy byli sądzeni zaocznie, bez przesłuchania, aczkolwiek byli członkami Kominternu; dwóch z nich było członkami Prezydium, a dwóch członkami Komisji Kontrolnej. Owe krótkie, a nader uroczyste posiedzenie pod kierownictwem Dimitrowa pieczętowało tylko ich los... było też jasne, że ci wszyscy 700, ci których odnaleziono, względnie którzy jeszcze żyli, zostali już aresztowani".

„Zrozumiałe jest, iż opuszczaliśmy zebranie głęboko zamyśleni. Ci aresztowani byli to słynni, starzy bojowcy, wielu z nich było wybitnymi rewolucjonistami... Przypuszczaliśmy, że jeżeli wykończono owych 700 ludzi, to taki sam los spotka ich bliskich i znajomych, w ogóle ludzi, którzy z nimi mieli cokolwiek do czynienia. Ta czystka polskiego kierownictwa dotknęła z całą pewnością wiele tysięcy polskich komunistów. Prezydium Kominternu wyraziło oczywiście swe głębokie oburzenie z powodu tej niecnej zdrady, i poleciło wszystkim kierownikom stronnictw mieć oczy i uszy otwarte, aby coś podobnego nie zaszło w innych kompartiach".

„A jednak wypadki tego rodzaju pojawiały się dalej", pisze Tuominen. „Nie przeszło nawet kilka miesięcy po sprawie polskiej, gdy na porządek dzienny wypłynęła sprawa Estońskiego stronnictwa..."

A więc permanentna czystka... Tuominen miał dosyć koszmaru... Kiedy w 1939 roku znalazł się w Szwecji, „wybrał wolność". Wkrótce wstąpił on do Fińskiej Partii Socjal-Demokratycznej, w której szeregach pozostaje po dziś dzień. Obecnie jest on redaktorem pisma „Kansan lehti" w Tampere, największym fińskim mieście portowym. Wspomnienia Tuominen'a, pisane z pamięci, nie mają wagi dokumentu, są szkicowe, skrótowe i zapewne nieco uproszczone, ale rzucają przynajmniej nieco światła na sprawę do niedawna gruntownie zakłamaną, sprawę, do której dokumentów brak prawie zupełnie. Stąd ich skromne, ale niewątpliwe znaczenie. Składając sztuka po sztuce takie właśnie fragmenty może wkrótce skompletujemy sobie pełny obraz likwidacji Komunistycznej Partii Polski. Czas na to najwyższy po latach dwudziestu.

*M. K. DZIEWANOWSKI*

# Listy do Redakcji

Łódź, 25 września 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

W nocie biograficznej o Jerzym Zagórskim („Kultura", nr 9/119), popełniono omyłkę, którą pragnę sprostować. O sztuce „Święto Winkelrida" napisano, że „niegrana przez lat dziesięć ze względów politycznych, została wystawiona z dużym powodzeniem po Październiku".

W istocie prapremiera sztuki Andrzejewskiego i Zagórskiego odbyła się w Teatrze Nowym w Łodzi 14 września 1956 roku, a więc *przed Październikiem*. I w tym leży główna zasługa Teatru Nowego i osobiście dyrektora tego teatru i reżysera sztuki Kazimierza Dejmka, że jej wystawieniem przyczynił się niewątpliwie w jakiejś mierze do zwycięstwa idei odnowy, które nastąpiło w niecałe półtora miesiąca później po prapremierze „Święta Winkelrida".

Łączę wyrazy szacunku

*Jan KOPROWSKI*



Warszawa, 24. 9. 1957.

Kochany Redaktorze,

W tej chwili dostałem przypadkiem nr 7 „Kultury" i przeczytałem z wielkim zainteresowaniem artykuł p. Juliusza Mieroszewskiego pt. „Polska leży między Rosją a Ameryką". Tezy tego artykułu wydają mi się oparte na błędnych przesłankach i sądzę że mogą dezorientować czytelników — postaram się może to wykazać przy okazji w prasie krajowej.

Na razie proszę o łaskawą gościnę dla uwag nad dwoma zdaniami artykułu, nie mającymi nic wspólnego z przewodnią jego myślą, lecz będącymi wyrazem uczuć autora wobec „Paxu" i Bolesława Piaseckiego.

Pierwsze z tych zdań brzmi: „Premier" Piasecki zaprowadziłby w rozpolitykowanej Polsce taki „porzundek", iż Bierut wypadłby na tym tle na króla liberałów".

Nie przewiduję by Piasecki miał objąć stanowisko premiera, ale skoro Mieroszewski alternatywę tę bierze pod uwagę, to sądzę że powinien oprzeć dalszą prognozę na następujących, dość znanych faktach:

1. W okresie tak zwanego stalinizmu Bolesław Piasecki uczynił z Instytułu wydawniczego „Pax" jedyne źródło zachodniej myśli europejskiej, a to wydając szereg myślicieli i pisarzy, których by nigdy nie wydały nietylko pozostałe instytucje marksowskie, ale nawet i prywatni księgarze przedwojenni. Jeszcze miesiąc temu ukazały się w Paxie szkice ekonomiczne Kurowskiego, nie tylko broniące skrajnego liberalizmu, ale i pisane przez autora, który wystąpił z grona współpracowników Piaseckiego i stanął w szeregu jego zdecydowanych przeciwników.

2. W tymże samym okresie Piasecki chronił wielu ludzi, którzy z racji swego pochodzenia lub przeszłości byli narażeni na prześladowania i których przekonania wcale nie były zgodne z jego, mocno lewicową, linią polityczną.

3. Wreszcie Piasecki wywalczył wolność głoszenia światopoglądu chrześcijańskiego, co poza murami kościołów nie było tolerowane w żadnym z krajów demokratyczno-ludowych.

Przerażające prognozy Mieroszewskiego są wprost sprzeczne z wnioskami, które trzeba wysnuć z przytoczonych powyżej a powszechnie znanych i nie kwestionowanych faktów. Autor nie podał natomiast na jakich danych kwalifikację swą opiera.

Następne — choć nie ostatnie — słowa które wywołują zastanowienie brzmią u Mieroszewskiego jak następuje: ,,Oni (paxowcy) z góry akceptują sowiecką drogę do socjalizmu, bo tylko ta droga zapewnić może krociowe dochody koncernom Paxu".

Nie zdziwisz się, drogi Redaktorze, że nie będę przedstawiał argumentów przeciw powyższemu zdaniu. Wywołuje ona zdumienie przez to, że użyte przez tak myślącego publicystę jakim jest Mieroszewski. Wydaje mi się, że niskie insynuacje w stosunku do przywódców politycznych których poglądy się zwalcza, wzbudzić muszą u każdego uczciwego czytelnika wstręt do tego, kto je używa raczej niż do tego, przeciw komu są skierowane.

Łączę serdeczny uścisk dłoni,

*Aleksander BOCHEŃSKI*



Berkeley, Cal., 7. 10. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pisząc list do Redakcji ,,Kultury" (nr 117/118) Józef Mackiewicz nie przypuszczał zapewne, że do rodzimej nagonki na niego, prowadzonej zresztą przeważnie zza węgła, przyłączy się publicznie osoba ,,nie będąca Polakiem ani obywatelem polskim" i wyrażająca ,,pogląd bezstronny człowieka patrzącego z boku". Mam na myśli list p. Mozesa Parientesa w nr. 9/119 ,,Kultury".

Okres swej ,,działalności kooperacyjnej" (używam wyrażenia p. Parientesa) z Litwinami Józef Mackiewicz dokładnie opisał w artykule ,,O pewnej, ostatniej próbie" w nr. 11/85 ,,Kultury" z roku 1954. Nie piszę więc tego listu w jego ,,obronie", zwłaszcza, że sam doskonale potrafi się obronić. Zabieram głos jako świadek ośmiomiesięcznego panowania Litwinów w Wilnie w okresie 1939-1940 i jako człowiek, który — z pewnymi zastrzeżeniami — podzielał i podziela poglądy Józefa Mackiewicza na problem ,,kooperacji" Polaków z Litwinami oraz innymi narodami zamieszkującymi obszar byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Pan Parientes pisze o zajęciu Wilna przez Litwinów ,,z łaski bolszewików". Pomijając fakt, że dużo rzeczy działo się i dzieje w Europie ,,z łaski bolszewików", trzeba podkreślić, że w wypadku litewskiej okupacji Wilna w roku 1939-1940 ,,łaska" ta miała szereg doraźnych stron dodatnich. Tępe, szowinistyczne, mściwe i — co tu obwijać w bawełnę — głupie poczynania antypolskie władz kowieńskich w Wilnie w tym okresie są powszechnie znane. Autor niniejszego listu dwukrotnie poruszył publicznie te ciemne strony okupacji litewskiej. Niemniej jednak stwierdzić trzeba, że

od dnia 28 października 1939, gdy wojska litewskie wstąpiły do Wilna (a nie od „końca września" jak błędnie pisze p. Parientes) aż do 15 czerwca 1940, gdy nastąpiła tak zwana sowietyzacja Litwy, w Wilnie panowała atmosfera względnej praworządności. Ludzie przestali zapuszczać brody, ubierać się w łachy, mieszkać na przedmieściach, spać w ubraniu w oczekiwaniu nocnej wizyty NKWD. Zaczęli tysiącami — legalnie i wygodnie — wyjeżdżać na Zachód via Szwecja. Pozwalam sobie na domysł (przepraszam z góry, jeżeli mylny), że i p. Parientes był w liczbie tych, którzy wyjechali wtedy na Zachód i że gdyby nie ten okres „łaski bolszewików" nie mógłby dziś napisać swego listu do Redakcji. (W nawiasie muszę tu zaznaczyć, że wyrazy „z łaski bolszewików" brzmią — prawdopodobnie bez złej intencji ze strony p. Parientesa — szczególnie niesmacznie, skoro nawet najzacieklejsi „naganiacze" nigdy nie posądzali Józefa Mackiewicza o to, aby kiedykolwiek i cokolwiek, bezpośrednio czy pośrednio, łasce bolszewików zawdzięczał).

Pan Parientes nazywa Józefa Mackiewicza człowiekiem nie mającym prawa zabierania głosu w sprawach polskich, doradza mu zostanie Litwinem lub „tutejszym" i wreszcie oświadcza, że społeczeństwo żydowskie i „pewnie jakiekolwiek inne" nie tolerowałoby w swym gronie człowieka typu Józefa Mackiewicza. Surowe sądy p. Parientesa są wynikiem nieznajomości zarówno najdawniejszych, jak i najnowszych dziejów stosunków polsko-litewskich. Józef Mackiewicz nie był bynajmniej odosobniony, kiedy jesienią 1939 wiązał pewne nadzieje z objęciem rządów w Wilnie przez Litwinów. Jeżeli nie większość, to w każdym razie znaczna część Polaków wileńskich żywiła wtedy podobne nadzieje.

◆

Gdyby któryś z przyjaciół-Polaków p. Parientesa należących, jak mówi, do sfer naukowych dał mu krótką lekcję 500-letnich dziejów polsko-litewskich, to zapewne nie odważyłby się on odbierać Józefowi Mackiewiczowi praw Polaka. Aż do końca pierwszej wojny światowej każdy mieszkaniec Wielkiego Księstwa Litewskiego był — bez względu na język, którego używał, i kulturę, do której należał — Litwinem. Wprawdzie rzeczy poczęły się psuć już gdzieś w drugiej połowie XIX wieku, kiedy to — nie tylko u nas — zakiełkowały „smocze zęby" nacjonalizmów zwierzęcych — ziarna nienawiści i nietolerancji — ale dopiero w roku 1918 nastąpił formalny „rozwód Jagiełły z Jadwigą" (wedle świetnego powiedzenia jednego z polskich publicystów; jeśli mnie pamięć nie zawodzi — Hipolita Korwin-Milewskiego). Trzeba jednak zaznaczyć, że wielu Polaków nie uznało ani uczuciowo, ani ideowo tego „rozwodu". Była to grupa „tutejszych" tak zwanych „krajowców" lub „demokratów wileńskich" i ich sympatyków, którzy uporczywie wierzyli w możliwość wskrzeszenia idei jagiellońskiej. Do grupy tej, na której czele stał Ludwik Abramowicz, należeli ludzie o otwartych głowach, obcy wszelkim ciasnym nacjonalizmom i przy tym ludzie dużej wiedzy i wielkiej szlachetności serca.

„Rozwód", który się odbył z inicjatywy „Jagiełły", był dla tych ludzi wielkim ciosem. Doprowadził jednych do psychicznego zrezygnowania z „litewskości" (czytaj: regionalizmu), innych — do pewnego rozdwojenia psychicznego, a mówiąc ściśle — do poczucia podwójnej niejako narodowości, a nawet podwójnej lojalności, *ale nie w sensie politycznym*, a przeto nie mających nic wspólnego ze „zdradą" interesów tej czy innej strony. Doprowadził tych, którzy pozostali „krajowcami" do głębokich rozterek wewnętrznych, często do tragedii, jaką dla każdego człowieka ideowego jest załamanie się jego ideałów.

Wracając do Józefa Mackiewicza — jego „kooperacja" z Litwinami polegała na redagowaniu „Gazety Codziennej", z którą i niżej podpisany miał zaszczyt jakiś czas współpracować. Blaski i nędze, lub raczej — tylko nędze tego epizodu opisał we wspomnianym artykule „O pewnej, ostatniej próbie". Szowinizm i głupota władz nasłanych z Kowna sprawiły, że się rychło rozczarował i musiał z redaktorstwa ustąpić. Razem z nim rozczarowali się „krajowcy", do których zresztą, o ile wiem, formalnie nigdy nie należał. Rozczarowało się wielu Polaków wileńskich nie mających afiliacji partyjnych. Rozczarowanie było tym boleśniejsze, że Polacy mieli w świeżej pamięci ludzki a nawet serdeczny stosunek Litwinów do uchodźców polskich na terenie rdzennej Litwy (Kowieńszczyzny). W głowie nam wtedy nie mogło się pomieścić, że ci Litwini, tak gościnni i ludzcy „u siebie", są zdolni do swych szowinistyczno-policyjnych brewerii, które wyprawiali w Wilnie jako okupanci.

Żyjemy w czasach naprawdę tragicznych. Nacjonalizmy zoologiczne panoszą się w dalszym ciągu na całym świecie, i to mimo nauk, których nam nie skąpiła ostatnia wojna. Jeśli są wśród nas tacy, którzy ten stan rzeczy uważają za normalny i nieodwracalny — tym gorzej dla nich i, niestety, dla nas. Pana Parientesa dziwi zapewne wyraz „tutejszy". Może by się mniej dziwił, gdyby przeczytał lapidarnie ujętą przez bezimiennego autora broszurki „Story of Wilno" (Londyn 1942) taką charakterystykę Wilna: „this city of Wilno where sometimes everybody is Lithuanian and sometimes nobody is"... I może by zrozumiał, że można być dobrym Litwinem (oczywiście w historyczno-regionalnym, a nie kowieńsko-szowinistycznym znaczeniu) nie przestając być Polakiem — nie tylko dobrym, lecz nawet lepszym od tych, co swą polskość budują na ciasnym nacjonalizmie i na urazach plemiennych.

„Krajowców" można nazywać marzycielami, epigonami lub anachronistami, ale nie wolno odmawiać im prawa zabierania głosu w sprawach, *które ich bolą*. Zwłaszcza nie powinien tego robić człowiek patrzący tak dalece „z boku", że nie dostrzega złożoności i tragizmu zagadnienia, w którego sprawie swobodnie głos zabiera.

Może, jak pisze p. Parientes, społeczeństwo żydowskie lub „jakiekolwiek inne" skazałoby na ostracyzm człowieka typu Józefa Mackiewicza. Osobiście uważam, że społeczeństwo polskie powinno być dumne, że posiada człowieka nie tylko o wielkim talencie pisarskim, ale i o tak rzadkiej u ludzi w ogóle a u Polaków w szczególności — niezmienności poglądów politycznych i o kryształowej moralnej „integrity", jakim jest Józef Mackiewicz.

Wyrazy szacunku łączę.

*Michał K. PAWLIKOWSKI*



*P.S.* — Pan Parientes wspomina o jakiejś „płomiennej mowie" wygłoszonej przez Józefa Mackiewicza. Zarzut śmieszny — wszyscy bowiem znający Mackiewicza wiedzą, że nigdy w życiu — ani w roku 1939, ani kiedykolwiek żadnej mowy nie wygłosił, gdyż nie umie przemawiać publicznie. W nagonce na Józefa Mackiewicza obfitującej w rozmaite fantastyczne oszczerstwa (np. że wzywał kiedyś do rzezi Żydów) ta „płomienna mowa" stanowi szczególne curiosum. Nie chcę posądzać p. Parientesa o złą wolę, przypuszczam więc, że coś mu się w pamięci poplątało.

*M.K. P.*

Montreal, 26. 9. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Recenzja jest rodzajem literackiego worka, do którego wszystko można wrzucić, kazanie z ambony, wspomnienie z dzieciństwa, wykład o hodowli kur a nawet — denuncjację. Ten typ wypowiedzi podstawia się ostatnio pod miano literackiej krytyki. Sandauer denuncjuje Rudnickiego, Pankowski — Sandauera, Herling-Grudziński — Brandysa. Że kolaborowali...

Nie wchodzę w samą istotę uprawnień i podstaw do wydawania na pisarzy dyskwalifikujących opinii-wyroków, do przenoszenia osądów moralnych z osoby artysty na jego dzieło. Przypomnę jedynie mimochodem że kategoriach *tak* pojętej sprawiedliwości nie mielibyśmy dziś arcydzieł Corregia, poezji Villona, ,,Gargantui'' Rabelais'go, pięknej prozy Oskara Wilde'a, Céline nie byłby dziś ośrodkiem zainteresowania, a Montherlant i Sacha Guitry musieliby zniknąć ze sceny. A Malaparte? Historia sztuki zna wielu bezkręgowców, włóczęgów, niebieskich ptaków, zboczeńców, karierowiczów i ,,płatnych pachołków''. *Errare humanum est...* Dzieła które zostawili, odkupiły błędy. Reszta jest, musi być zapomnieniem.

To na marginesie. Bo głównie chodzi mi o los recenzji, której grozi napór pozaliterackich, na pewno cennych jako przyczynki do biografii pisarzy, pożądanych w ewentualnym przewodzie sądowym ale zbędnych przy ocenie krytycznej utworów.

Julian Benda powiedział kiedyś, że dzieło literackie należy traktować jak tekst wyrzucony na brzeg morza w zakorkowanej butelce, o którym nic nigdy nie będzie wiadomo. Nic o autorze, nic o rzeczywistości, która uformowała i dzieło i autora. Jest tekst i wiele pytań.

Obity korkiem pokój Prousta, dziwne przypadłości J.J. Rousseau, Flauberta i Wyspiańskiego, lęk przestrzeni Prusa, cztery żony Caldwella, jaskrawe skarpety Tyrmanda, auto i ordery K. Brandysa — zastanówmy się — w jakim stopniu te kuchenne plotki mogą pomóc do zrozumienia pisarstwa pana X, do artystycznej i społecznej oceny jego wartości. Biografizm i psychologizm, jako metody krytyczno-poznawcze są tym bardziej nie usprawiedliwione, że pisarz mówi o sobie chętnie, że tak powiem, z natury rzeczy; w utwór przelewa to, czym jest, to co chce o sobie powiedzieć i co chciałby ukryć. Zadaniem rzetelnego krytyka jest właśnie odczytanie zagmatwanej szarady metafor i symboli, dojście poprzez TEKST — do pisarza.

W typie obecnej recenzji pokutuje tradycja plotek Boya. Nie należy jednak zapominać, że bezceremonialność tej odmiany Ste-Beuve'izmu uformowała się w specyficznych historycznie i społecznie warunkach. W latach dwudziestych była szkołą krytycznego myślenia — dziś jest szkodnictwem.

Dlaczego? Nie tu miejsce na szersze omówienie zagadnienia. Powiem tylko, że właśnie w dzisiejszych trudnych i powaśnionych czasach krytyka utworu poprzez krytykę człowieka wydaje mi się nieporozumieniem i błędem; osądzanie w recenzji postawy moralnej pisarza poprzez wszelkiego typu ataki, ,,wycieczki osobiste'' i rozgrywki personalne — chwytem niedozwolonym. Powiem po prostu — warcholstwem i pieniactwem.

Zastanawiające jest dlaczego Herling-Grudziński, wytrawny znawca sztuki recenzyjnej, esseista i pisarz, ucieka się do pozaliterackiego materiału krytycznego w wypadku tak ciekawego *literackiego* utworu. Mowa jest o powieści Kazimierza Brandysa ,,Matka Królów''.

W omówieniu czytamy: ,,... bezprzykładne kłamstwa pisarskie, nagrodzone sowicie orderami, pieniędzmi, wysokimi dostojeństwami''; ,,... upodlenie'' ... ,,gnojówka moralna'' ... itd.

Bieda w tym, że czytelnika to nie interesuje. W dziale recenzyjnym ,,Kultury'' szuka się recenzji a nie obywatelskiego sądu.

Pisarza należy oceniać według najwyższego lotu. „Bez dogmatu" nie jest i nie było miarą talentu Sienkiewicza. Bernanos przechodzi do historii jako autor „Journal d'un curé de campagne" a nie „Mauvais rêve"; Zapolska jako autorka „Moralności" i „Panny Maliczewskiej" a nie kryminałek podpisywanych Józef Maskoff. Słabiutkie nowelki Uniłowskiego nie zaszkodzą sławie „Wspólnego pokoju" a „Niebieskie kartki" w niczym nie umniejszą wstrząsających „Złotych Okien" Adolfa Rudnickiego.

Kazimierz Brandys zostanie w literaturze autorem „Miasta niepokonanego" i „Matki Królów". Reszta — niech będzie zapomnieniem...

Łączę serdeczne pozdrowienia

*Klara SZPAKOWSKA*

*P.S.* — Z wielkim zainteresowaniem czekam na kompetentne omówienie „Matki Królów".



Pittsburg, USA, 5. 9. 1957 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule „Bohaterskie nie bohaterstwo Gombrowicza" (nr. 9-119) p. Jeleński naświetlił i wyjaśnił trudne aspekty pisarstwa autora „Dziennika", za co na pewno niejeden czytelnik „Kultury" jest mu wdzięczny. Artykuł napisany jest tak zajmująco i zwarcie, że potraktowanie po macoszemu sprawy „krygowania się" Gombrowicza do katolicyzmu tym bardziej brzmi jak fałszywa nuta.

Dla wyjaśnienia stosunku Gombrowicza do katolicyzmu p. Jeleński wspomina o możliwych powodach ewentualnego przejęcia się doktryną o grzechu pierworodnym a następnie zwraca uwagę na fakt obecności członków Kościoła na wszystkich najnowszych pozycjach myślowych. Gabriel Marcel i Enrico Castelli reprezentują katolicyzm w szeregach egzystencjalistów, na przedpolu ateizmu znajdziemy o. Teilhard du Chardin a dominikanie francuscy żywo rozprawiają z marksistami. Ta trafna ilustracja jednego z aspektów powszechności Kościoła może być przedmiotem płytkiej interpretacji ze strony „małych masońskich czy marksistowskich Jasiów", którzy widząc katolików na wszystkich barykadach nowoczesności dopatrują się w tym wyników rozkazodawstwa jakiejś watykańskiej dwójki czy jezuickiej generalicji. Taką interpretację p. Jeleński słusznie pozostawia prostaczkom.

Sam jednak zadawala się niewiele ciekawszym tłumaczeniem opisanego zjawiska nazywając je mimikrą; w konkluzji twierdzi, że katolicyzm na widnokręgu filozoficznym Gombrowicza to „mglista pokusa oparta na snobizmie, sympatii i dezorientacji". Taki sąd nie wynika jednak z poprzednich wywodów, które otwierają drogę do ciekawej analizy pozytywnej, a przynajmniej nie negatywnej, cechy Kościoła, jaką jest zadziwiający fakt brania przez jego członków udziału we wszystkich przejawach dzisiejszej myśli. U czytelnika powstaje wrażenie, że p. Jeleński konkluzję o stosunku Gombrowicza do katolicyzmu uniezależnił od naszkicowanego poglądu na Kościół i nie ujawnił żadnych przesłanek, prowadzących do swej konkluzji; taka postawa wynika czasami z uprzedzeń. Szkoda, że znalazła ona swój wyraz w skąd inąd świetnym artykule. Najwięcej traci na tym, niestety, udostępnienie Gombrowicza czytelnikom „Kultury".

Łączę wyrazy szacunku

*Stanisław WĄSOWSKI*

Londyn, dnia 19 września 1957.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jedną z największych trudności każdej demokracji jest umiejętność pogodzenia powszechnej równości i wolności z zasadą *kompetencji*. Nie można, oczywiście, formalnie zakazać *wszystkim* zabierania głosu *o wszystkim*. Jednakże odpowiedni poziom kultury i wyrobienia politycznego i społecznego powinien powstrzymywać od pochopnego wypowiadania się w sprawach, których zrozumienie — a cóż dopiero rozstrzyganie — wymaga poważnych studiów przygotowawczych i należytego opanowania zarówno właściwego aparatu pojęciowego, jak i obszernego materiału faktycznego.

Od trzech już lat w literaturze światowej istnieje — niestety tylko w języku angielskim — kapitalna praca autorki polskiej, szczegółowo omawiająca skomplikowaną sprawę międzynarodowo-prawnej legalności poczynań sowieckich w stosunku do terytorium i państwa polskiego. Kompetentne wywody i argumenty tej pracy spotkały się, jak dotąd, z powszechnym uznaniem w fachowym środowisku prawników międzynarodowych. Natomiast we wrześniowym numerze ,,Kultury'' treść tych wywodów została zignorowana, a argumenty ,,obalone'' w mniejszej ilości słów, niż wspomniana książka zawiera stronic.

Liczni wśród czytelników ,,Kultury'' dawni mieszkańcy Ziem Wschodnich Rzplitej z osłupieniem przeczytali w niej sformułowane kategorycznie i z niezwykłą pewnością siebie zdania: ,,Ziemie Wschodnie są inkorporowane do Związku Sowieckiego i uznane przez wszystkie mocarstwa świata za integralną część Sowietów... Odnośnie tej granicy wszystko jest ratyfikowane, przypieczętowane i zapięte na ostatni guzik''.

Te z gruntu fałszywe twierdzenia są poprzedzone zdaniem częściowo prawdziwym: ,,w polityce i w życiu liczy się przede wszystkim stan faktyczny''. Istotnie z doświadczenia wiemy, że argumenty prawne czy moralne nie zawsze odnoszą triumf, nawet wówczas gdy są naprawdę ,,zapięte na ostatni guzik''. Pomimo to zważywszy, że nie wszyscy czytelnicy ,,Kultury'' są dostatecznie biegli w międzynarodowym prawie publicznym — nie wydaje mi się, aby było celowym dopuszczanie na jej łamach do nazywania absolutnie ,,białym'' tego, co dla fachowców jest ,,czarne'' i odwrotnie.

Z poważaniem

*Wiktor SUKIENNICKI*

◆

Genewa, 16. 9. 1957.

Łaskawy Panie Redaktorze,

W numerze 9/119 ,,Kultury'', ,,Londyńczyk'' pisze między innymi: ,,Ziemie wschodnie są inkorporowane do Związku Sowieckiego i uznane przez wszystkie mocarstwa świata za integralną część Sowietów. ... Wschodnia granica nie podlega ani ratyfikacji ani finalnemu ustaleniu w ramach traktatu pokojowego. Odnośnie tej granicy wszystko jest ratyfikowane, przypieczętowane i zapięte na ostatni guzik''.

Jak na kilka wierszy druku, jest to obfita ilość twierdzeń równie kategorycznych, co niezamąconych ani znajomością tematu ani nawet obyciem z terminami technicznymi, których w takim wypadku lepiej nie używać. Tego rodzaju tekst nie zachęca do polemiki z autorem. Wydaje mi się jednak, że czytelnikom ,,Kultury'' należy się parę słów wyjaśnienia. Jest

przy tym rzeczą jasną, że całokształt zagadnień, związanych ze stanem prawnym granicy polsko-sowieckiej, nie mieści się w ramach listu do redakcji.

1. Stwierdzenie, że ziemie wschodnie RP. są od paktu Ribbentrop-Mołotow przedmiotem aneksji sowieckiej (nie wiem, dlaczego „Londyńczyk" ucieka się do neutralnego pojęcia „inkorporacji") jest truizmem. Mam nadzieję, że bezprawności tego paktu nie muszę tutaj dowodzić. Pozostaje zatem pytanie, czy ustalona w nim granica państwowa sowiecka, będąca dzisiaj — abstrahując od pewnych korektur — faktyczną granicą polsko-sowiecką, została w dalszym przebiegu zdarzeń w jakikolwiek sposób zalegalizowana.

2. „Londyńczyk" nie powołuje się na tak zwany traktat graniczny polsko-sowiecki z dnia 16 sierpnia 1945. Zatem nie w sensie polemicznym, ale w sensie wyjaśnienia przypominam, że traktat ten został zawarty przez Związek Sowiecki ze stworzonym przezeń w tym celu marionetkowym organizmem, którego międzynarodowa *capacitas contrahendi* była taka sama, jak uprzednio „demokratycznego rządu fińskiego" Kuusinnena w stosunku do tegoż Związku sowieckiego, jak Protektoratu Czech i Moraw w stosunku do Rzeszy hitlerowskiej, czy Albanii w stosunku do faszystowskich Włoch.

3. Natomiast „Londyńczyk" powołuje się na rzekome uznanie aneksji sowieckiej, i to „przez wszystkie mocarstwa świata". Argument zaiste druzgocący w swojej uniwersalności, a jednocześnie na niczym nie oparty. Nie można bowiem twierdzić, że takie uznanie miało miejsce, skoro go nie miało.

Wręcz przeciwnie, Stany Zjednoczone *expressis verbis* odmówiły uznania aneksji polskich ziem wschodnich przez Sowiety, tak jak konsekwentnie odmawiają uznania aneksji państw bałtyckich. Z nabytków terytorialnych sowieckich w Europie wschodniej, Stany Zjednoczone uznają tylko te, które oparte są na solidnych podstawach traktatowych, a więc: inkorporację Rusi Zakarpackiej (traktat cesji sowiecko-czechosłowacki z roku 1945), Besarabii i Bukowiny (traktat pokojowy z Rumunią z roku 1947), oraz części terytorium pruskiego (traktat pokojowy fińsko-sowiecki z roku 1947). Tyle o Stanach Zjednoczonych. Żadne inne państwo nie dokonało żadnego pozytywnego aktu uznania nowej granicy polsko-sowieckiej.

Należy zauważyć, że pojęcie uznania ma w prawie międzynarodowym ściśle określone znaczenie. Dlatego — dodaję to dla uniknięcia wszelkich nieporozumień — na przykład uchwały jałtańskie nie stanowią w żadnym wypadku aktu uznania żadnej granicy. Jakkolwiekby kwalifikować te uchwały, stanowią one decyzję polityczną w sprawie *przyszłej* granicy polsko-sowieckiej, która w chwili podejmowania tej decyzji jeszcze nie istnieje. Akt uznania — czy to państwa, czy rządu, czy zmian terytorialnych — następuje z natury rzeczy *ex post* w stosunku do uznawanego faktu. Stąd też obecne nie-uznanie przez Stany Zjednoczone aneksji wschodniej Polski nie stoi w żadnej sprzeczności prawno-technicznej z udziałem tychże Stanów Zjednoczonych w uchwałach jałtańskich.

4. Dalsze uwagi na temat wywodów „Londyńczyka" są już natury czysto porządkowej. „Wschodnia granica nie podlega ratyfikacji". Istotnie, wcale nawet nie może. Ratyfikacji bowiem może podlegać tylko i wyłącznie umowa międzynarodowa. Granica może podlęgać co najwyżej zasłupieniu. Wschodnia granica nie podlega także — zdaniem „Londyńczyka" — „finalnemu (?) ustaleniu w ramach traktatu pokojowego". Istotnie. Traktat pokojowy, jeśli kiedykolwiek w ogóle do niego dojdzie, będzie bowiem z natury rzeczy traktatem pokojowym z Niemcami (traktaty pokojowe ze wszystkimi europejskimi sojusznikami Niemiec z drugiej wojny światowej zostały już zawarte w roku 1947), ergo przedmiotem jego będą stosunki byłych aliantów z Niemcami, nie zaś stosunki między państwami byłej koalicji. W końcu dowiadujemy się, że jakkolwiek granica „nie podlega ratyfikacji", to przecież „wszystko" (?) odnośnie tej granicy jest „ratyfikowane, przypieczętowane

i zapięte na ostatni guzik". Co ta seria kwalifikacji ma konkretnie oznaczać — nie wiem i nie próbuję odgadnąć.

*Satis.* Zostaje podsumować ten jakżeż niewyczerpujący szkic stanu prawnego polskiej granicy wschodniej: faktyczna aneksja polskich ziem wschodnich przez Związek Sowiecki nie została dotychczas zalegalizowana ani ważną umową dwustronną, ani autorytatywnym aktem — czy serią aktów — społeczności międzynarodowej. (Warto tu dodać, że walor prawny takich aktów ze strony państw trzecich jest w doktrynie prawa międzynarodowego sporny). Sytuacja prawna pozostaje zatem otwarta. Nie ma to oczywiście nic wspólnego z pytaniem, czy ziemie wschodnie, względnie jakakolwiek ich część, powrócą do Polski bez wojny. Co do mnie, naprawdę nie wiem, co się stanie w przyszłości. „Londyńczyk" wie.

Nie zajmuję się w tym liście w ogóle polityczną stroną zagadnienia. Niemniej przeto, trudno mi określić jako budujący widok polskiego dziennikarza, który — wbrew istniejącemu stanowi prawnemu i nie zadawszy sobie trudu sprawdzenia tego stanu — biegnie na ochotnika z pseudo-legalistyczną odsieczą sowieckiej aneksji. Równie trudno jest mi entuzjazmować się kultem niekompetencji na łamach „Kultury".

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy poważania

*Krystyna MAREK*



Toronto, październik 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 9 ogłosił Pan list p. Tadeusza Romera, w którym wyjaśnia sprawę czterech dywanów, rzekomo zabranych na użytek osobisty przez śp. min. W. Babińskiego. Merytoryczne wyjaśnienie nie budzi absolutnie żadnych wątpliwości, natomiast nasuwa je numeracja inwentarzowa. Opierając się na parafowanej, oficjalnej kopii inwentarza tak zwanych Skarbów Wawelskich opisane przez p. Romera dywany winny mieć następującą kolejną numerację: 263, 268, 286 i 252 a nie Nr Nr 31, 34, 279 i 338. Czy nie byłoby celowe, by p. Romer łaskawie wyjaśnił tę różnicę numeracyjną? Być może nastąpiła jakaś omyłka a być może istnieje jakiś inny inwentarz z odmienną numeracją.

Z wyrazami poważania

*B. HEYDENKORN*

---

Londyński korespondent „Kultury" : Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.



*Wydawca:* Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

*Directeur-gérant:* Mme Christiane Karasiewicz.
*Dépôt légal: 4e Trimestre* 1957

**KULTURA**

REDAKTOR : **JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji :
91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

| PRZEDSTAWICIELSTWA | Egz. poj. | Prenumerata 1/2-roczna | Prenumerata Roczna |
|---|---|---|---|
| **AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski,** 54, 15 th St., Parkhurst, Johannesburg ........ | 3 sh. 9 d. | 21 sh. | 42 sh. |
| **ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski,** «Libreria Polaca», Serrano 2076, Buenos Aires ........ | 17 peso | 102 peso | 204 peso |
| **AUSTRALIA : «Vistula» (Australia) PTY Ltd.,** Daking House, Rawson Place, Sydney ........ | 5 sh. (a) | £.A.1.7.6. | £.A.2.12.6 |
| **BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky,** 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20 ........ | 30 frb. | 145 frb. | 260 frb. |
| **BRAZYLIA :** Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Hanna Lekszycka,** r. Guiara 139, vila Pompeia, Sao Paulo .. | 40 cruz. | 200 cruz. | 380 cruz. |
| **BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski,** POBOX 5979, Nairobi, Kenya | 3 sh. 9 d. | 21 sh. | 42 sh. |
| **FRANCJA : «Libella»,** 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-4 | 180 fr. | 900 fr. | 1.800 fr. |
| **HOLANDIA : T. Szpilczynski,** Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538 ........ | 2 fl. hol. | 12 fl. hol. | 24 fl. hol. |
| **KANADA : M. Jaxa-Debicka,** 220 Howard Park Ave, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **H.R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel.: HY-0829; **Vatra Trade,** 277 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.; **«Zwiazkowiec»,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491. ........ | 75 cent. | 4 dol. | 6 dol. |
| **MEKSYK : Victor Stanislawski,** A. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. ........ | 75 cent. | 4 dol. | 6 dol. |
| **NIEMCY : « Ostatnie Wiadomosci »,** Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301; **St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1 ........ | 2,50 DM | 13,50 DM | 25 DM |
| **NORWEGIA : Br. Lubinski,** Moss. Kongesgt. 2 .... | 3 sh 9 d. | 21 sh. | 42 sh. |
| **SZWAJCARIA : Maria Wasung,** 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431.... | 2,50 fr. s. | 13,50 fr. s. | 25,00 fr. s. |
| **SZWECJA : Red. Norbert Zaba,** Kallskärsgatan 3/IV Stockholm ........ | | 18 kor. | 33 kor. |
| **U.S.A. : W. Bienkowski, «Gryf Publ.»,** 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew Ossetynski,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; **M.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1471 Lakeland Ave., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 183 Chancellor Ave, Newark 8, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book Co** 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; **The Polish Book Importing Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **K. Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. | 75 cent. | 4 dol. | 6 dol. |
| **W. BRYTANIA : «Gryf»** Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11 ........ | 3 sh 9 d. | 21 sh. | 42 sh. |
| **WLOCHY : Aleksander J. Mikucki,** Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27 ........ | 300 lir | 1.750 lir | 3.000 lir |

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
**Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)**

## *Zapowiedzi wydawnicze*

### BIBLIOTEKA "KULTURY"

Tom XXII

PAWEŁ ZAREMBA

**HISTORIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH**



Tom XXIV

ALEKSANDER HERTZ

**AMERYKAŃSKIE STRONNICTWA POLITYCZNE**

(Mechanizm demokracji)



Tom XXVI

JAN WINCZAKIEWICZ

**IZRAEL W POEZJI POLSKIEJ**

(Antologia)



Tom XXVII

MILOVAN DJILLAS

**NOWA KLASA BIUROKRATÓW POLITYCZNYCH**

(Analiza systemu komunistycznego)

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe)

**Cena 180 frs.**